

**Małgorzata Musierowicz**

# **Frywolitki, czyli ostatnio przeczytałam książkę!!!**

**(Wybór z lat 1998–2000)**

W oczekiwaniu na wiosnę przestałam pisać własną książkę, gdyż przeszkadzało mi to w czytaniu cudzych. E, tam, co ja tak będę pisać i pisać, bliźnich swym pisaniem nieustannym rozjuszać — pomyślałam sobie. Cisnęłam do kosza książkowe dodatki do „Rzeczpospolitej”, w których skarcono mnie za to, że dzieci chcą kupować i czytać „Jeżycjadę”, a także obrażono pisarzy, którzy mieli pecha znaleźć się na liście bestsellerów, oraz publiczność, która — jak zawsze i jak wszędzie — woli książki wesołe od ponurych, ciekawe od nudnych, a zwłaszcza preferuje te, które krzepią i pomagają żyć. Następnie spokojnie zaparzyłam sobie herbatę, obłożyłam się książkami i udzieliłam sobie rozgrzeszenia: tak, faktycznie, ulegam przedwiosennemu rozleniwieniu i owszem, tak, nawalam z terminem i nie będzie „Kalamburki” na majowe Targi Książki. Ale przynajmniej sobie spokojnie poczytam, odpocznę, pospaceruję. W kórnickim arboretum kwitną już całe pola żółtych zawilców, w ogródku — wysyp przebiśniegów, a bez ma już zielone, grube pączki. Co za radość. Przynajmniej raz zobaczę, jak — krok po kroku — nadchodzi wiosna.

Z ulgą zamknęłam pudło maszyny i pograżyłam się w rozkosznej lekturze.

Ze wszystkich nagromadzonych na biurku i wokół niego nowości, największą przyjemność sprawiła mi „**Prywatna historia poezji**” **Małgorzaty Baranowskiej**, wydana przez „Sic!” (1999). Pomijam najbardziej oczywistą przyczynę — tę mianowicie, że w książce pełno jest wzmianek o moich bliskich i znajomych — i natychmiast podaję powód najistotniejszy: urzekającą oryginalność tej „Prywatnej historii”, pasję, radość, mądrość i pełnię człowieczeństwa samej Autorki. (Niewielu znam ludzi tak bardzo ludzkich, jak Małgorzata Baranowska). Ogromna to frajda dla czytelnika — zabrać się we wspólną z Autorką podróż w czasie, poprzez zachwycające ją obszary sztuki, dać się prowadzić przez jej znawstwo i zarazem jej prostotę, przez świeżość odbioru. Ta oryginalność spojrzenia, wesoła przenikliwość, wnikliwa powaga — uderzają mnie za każdym razem, gdy Małgosia mówi lub pisze o sztuce, o aniołach, o chorobie i śmierci, o życiu wreszcie. Uczona zajmująca się badaniem literatury, poetka tworząca niezwykle wiersze, a więc osoba żyjąca w poezji teoretycznie i praktycznie — a wciąż tak nią rozbawiona, zaciekawiona, zafascynowana, tak o niej smacznie opowiada, a nawet plotkuje!

I nieustannie o niej myśli.

Ta książka, obejmująca dwanaście lat życia, jest jej prawdziwym pamiętnikiem (dziennikiem?), zapisem uczuć i rozmyślań, wspomnień, obrazów i anegdot. Od innych pamiętników i dzienników różni się tym, że kompletnie pomija ego Autorki, nic też nie mówi o jej codziennych sprawach bytowych, o jej troskach i udrękach. Zajmuje się wyłącznie poezją oraz po trochu malarstwem, muzyką, filmem, także — życiem jako takim. I aniołami.

Czyta się to jednym tchem, z zaciekawieniem i podziwem. I z uśmiechem! Oto, na przykład, zapis z dnia 15 I 1993.

*Kiedyś spotykam Sternowa na placu Zamkowym, a ona: Małgosiu! Natychmiast idziemy na Stare Miasto! Wiosna!*

*Więc ja: Poczekaj chwilkę, tylko obiad zjem.*

*Na to Sternowa: Wy, poeci! Wszyscy tacy sami! Za grosz w was romantyzmu! Wyjeżdżamy już z ukochanego Związusia. Koniec wojny. Jedziemy dniami, nocami pociągami. Widoki wspaniałe, więc mówię do Anatola: „Anatol, popatrz, Tień Szań”. A on: „Głodny jestem”.*

Myślę, że Małgorzata B. wpisała do swego pamiętnika tę anegdotkę, bo zawiera kawałek prawdy o niej samej — o jej trzeźwym i sceptycznym spojrzeniu na świat, o jej ironii i autoironii — które przenigdy nie potrafią odebrać jej zachwyty i oczarowania Poezją. Poezją, która przenika i przepaja wszystko, i którą trzeba tylko umieć zauważyć.

6 V 1995:

*Moja prywatna diagnoza, że błędy w leczeniu popełniane na całym świecie zarówno przez*

*lekarzy, jak i przez chorych, mają swe źródło w braku wykształcenia w poezji, potwierdza się.*

*Poezja to skrajny przykład porozumiewania się, to domena uczuć, w której ciągle trzeba tworzyć i rozwijać porozumiewanie się za pomocą myślenia metaforycznego. Zmusza do przeniesienia punktu ciężkości z fizjologicznego myślenia jednostki na szukanie porozumiewania się z jak największą liczbą osób przez język symboliczny.*

*Domena uczuć!*

Poezja jest dla Małgorzaty B. domeną uczuć. Czytając poezję, wchodzi w najżywsze i najprecyzyjniejsze porozumienie z autorami. Wierzyński, Lechoń, Kochanowski, Jan Andrzej Morsztyn, Białoszewski, Słowacki, Świrszczyńska, Kamieńska, Grochowiak, Jules Supervielle — ona ich zna do najmniejszego drgnienia duszy, wie o nich wszystko. Widzi w nich więcej, niż widzą inni. Nie traktuje poezji jak materiału do badań, tylko zwyczajnie ją kocha, i najwyraźniej nigdy się nie znudzi. Nie może. Poezja jest jej sposobem bycia. Rozmową ze światem. Ratunkiem przeciwko zamknięciu w klatce ciała. Czym jeszcze?

*14 XII 1990:*

*Umarł Kantor. Chyba z siódmego na ósmego.*

*Zaczął od happeningu — Linia podziału.*

*Właściwie nie on zaczął, tylko Pan Bóg.*

*To stało się tajemnicą wygnania z Raju — podział na sacrum i profanum, na życie i nieżycie, to, co wieczne, i to, co śmiertelne, ograniczone ja i nieograniczone Niepoznane.*

*Linia podziału jest podstawowym wzorem istnienia zarówno duchowego, jak cielesnego. Człowiek, który cierpi na zaburzenia czucia, nie wie, gdzie kończy się i zaczyna jego ciało. Wbija sobie widelec w palec, nic o tym nie wiedząc, nie mogąc rozpoznać ani odległości, ani granicy między nim a przedmiotem.*

*Człowiek nie odczuwający tak zwanego Strachu Bożego przed linią podziału jest potworem zdolnym, przez swą nieświadomość, zniszczyć świat.*

*Inna sprawa, do czego dąży poezja (to znaczy sztuka). Chce przekroczyć ograniczenia, chodząc po tej linii.*

Obrazek ten — Poezji balansującej na Linii Podziału i łączącej — niekiedy — to, co śmiertelne, z tym, co Niepoznane, sam jest poezją i zapada natychmiast w pamięć i w wyobraźnię. Tworzenie takich błysków wizji to specjalność Małgorzaty B. — Ciekawe, jak by ona malowała, gdyby nie pisała? I co by malowała? Miasta i lustra — to wiem, na pewno. Anioły? Portrety wewnętrzne? Wodę? Z całą pewnością ta poetka ma oko malarza i precyzję naukowca. Ma też, rzecz jasna, to swoje specjalne poczucie humoru, które, np. pozwala jej ujrzyć „dziwne pokolenie” poetów lat sześćdziesiątych, zwane Nową Falą, jako usiłujące zdążyć świadomie do celu, stojąc na dwóch co najmniej tratwach nierówno sunących do najbliższego wodospadu. Co za obraz!!!

A ciekawe, jakim byłaby filmowcem (nawiasem mówiąc, sporo miejsca w pamiętniku poświęca filmom Rybczyńskiego), skoro — pod datą 15 VII 1990 — przedstawiła następującą scenę:

*W czasie powstania warszawskiego wielka bomba przebiła od góry do dołu ośmiopiętrową wieżę kamienicy wydawnictwa Gebethnera i Wolffa. (...) Po uderzeniu bomby wyleciała na ulicę książka znana wszystkim. (...) Byli to „Krzyżacy”.*

*Starożytni wróżyli z wnętrzości zwierząt. U starożytnych ich wróżby. U nas nasze znaki.*

*Na tym polega cała interpretacja poezji, żeby zrozumieć, dlaczego po uderzeniu tej właśnie bomby z tej wieży musiała wypaść ta właśnie książka. Nawet w obliczu wulgarnie namacalnej bomby trzeba się umieć zachować symbolicznie.*

*A popatrzmy na taki oto obraz:*

*4 VII 1993*

*Mamy do czynienia jakby z wielką obrotową sceną myśli. Po okresach bujnej niewidzialności i*

metafizyki wylaniają się z cienia okresy rozumowe i przyziemniejsze. Teraz ma się zbliżyć okres metafizyczny.

*Chciałoby się przyczepić do tej sceny i przenieść się wystarczający kawalek, by zobaczyć, czy sprawdzą się przepowiednie końca wieku.*

Dwanaście lat takiego myślenia i odczuwania, dwanaście lat niezwykłego zapisu — czasami dzień po dniu — koegzystencji ze Sztuką. Imponująca książka imponującego człowieka. Autorka „**Surrealnej wyobraźni i poezji**” oraz niezwyklej i przejmującej książki „**To jest wasze życie. Być sobą w chorobie przewlekłej**” nie ma właściwie ani chwili wolnej w tym swoim bogatym, wypełnionym po brzegi życiu. Dziwne rzeczy zdarzają się jej co chwila. 13 czerwca 1993 pisze o metafizyce miejsc. 15 czerwca zagląda do książki „L’univers secret du labyrinthe”. *Książka oczywiście otworzyła się na zaginionych labiryntach z żywopłotów — miejscowość Veruiers. Patrzy na nazwę rozdziału: Labirynty zaginione. A przecież była w Verviers dwukrotnie, w 1969 i 1971 roku. Zajrzałam pod każdy szary kamień. Jak może zaginać coś, czego nigdy nie było?* 17 czerwca — ciąg dalszy zagadki labiryntu: w roku 1972 rada miejska Verviers posadziła krzewy, tworząc labirynt 25x40 m. Żywopłot miał półtora metra wysokości. *I to wszystko tak niedawno! 1972. Tyle że dowiadujemy się, dlaczego znalazł się w części „zaginione”. Rada miejska jak w okresie tłustym posadziła labirynt, tak w okresie chudym, nie mając na jego utrzymanie, wyrwała go z korzeniami.*

Trzeba się umieć zachować symbolicznie. 20 czerwca (to już równy tydzień chodzi za nią ten labirynt) poetka zapisuje wiersz Cocteau (*odwróć się do drzewa i odlicz do pięciu*), po czym notuje: *Ja się tylko na chwileczkę obróciłam do drzewa, na jakieś dwadzieścia dwa lata, a tam już Verviers zrobiło labirynt i zniszczyło go. Nigdy nie będzie jak przedtem. Wisi między nami jakaś matryca w powietrzu, jakiś „labirynt z możliwością istnienia”, skoro już istniał. Zawsze istnieje —jako idea platońska. I ona oddziela mnie od Verviers, którego nie widuję i nie zobaczę. A ją, ideę, mogę, bez trudu, bez barier przestrzeni i czasu.*

Ktoś taki, żyjący poza barierami czasu i przestrzeni — jednym słowem: Feniks warszawski — nie ma czasu na nudę. Życie takiej istoty jest nieprawdopodobnie zajmujące i właśnie po to, by nauczyć się żyć z poezją, powinniście tę książkę przeczytać, Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy.

Zresztą, jak wszystko, co Małgorzata Baranowska pisze, także i „Prywatna historia poezji” dodaje sił.

Co do mnie, siadłam jednak przy biurku i otworzyłam maszynę do pisania. Co tam wiosna. Co tam bliźni.

Trzeba się umieć zachować symbolicznie.

\* \* \*

— *Wiesz, że mam umrzeć? — spytałem i rozplakałem się.*

*Jonatan zastanawiał się przez chwilę. Może wolał nie odpowiadać mi, ale w końcu powiedział:*

— *Tak, wiem.*

*Wtedy zacząłem jeszcze bardziej płakać.*

— *Przecież to okropne. Jak tak może być — pytałem — żeby niektórzy ludzie musieli umierać, nie mając nawet dziesięciu lat?*

— *Wiesz co, Sucharku, nie wydaje mi się, żeby to było takie okropne. Myślę, że ci będzie wspaniale.*

— *Wspaniale? — zdziwiłem się. — Czy to wspaniale leżeć w ziemi i nie żyć?*

— *E, tam. To jest tak, jakby tylko twoja skorupa leżała. A ty od fruniesz całkiem gdzie indziej. (...) Do Nangijali. (...) Gdzieś po drugiej stronie gwiazd. (...)*

— *Tam są jeszcze czasy ognisk i bajek — dodał. — To ci się spodoba. (...)*

*Długo na mnie patrzył, bardzo miło, jak zawsze. Widziałem, że jest smutny, bo powiedział bardzo cicho, jakby z bólem:*

— *A ja tymczasem będę musiał żyć na świecie bez mojego Sucharka. Może nawet dziewięćdziesiąt lat!*

Astrid Lindgren stworzyła „Braci Lwie Serce”, swoją najlepszą książkę (Nasza Księgarnia, 1988, przekład Teresy Chłapowskiej), mając już 66 lat. Napisała ją dla wnuka, który bał się śmierci, i chyba ta właśnie motywacja twórcza — miłość, a więc współczucie i zrozumienie — sprawia, że książka jest tak przejmująca i piękna. Jest w niej prawda i moc, odwaga jasnej prostoty, urok czystości, surowości, przejrzystości, jest w niej szlachetność, duma i tęsknota, są kontrasty światła i cienia, i wyraźny podział na dobro i zło. W naszych brzydkich, błazeńskich czasach czytelnik zanurza się w tej książce z ulgą i radością, jak w najczystszym z górskich potoków.

Stara pani o świetlistych oczach w twarzy pokrytej pięknymi zmarszczkami, ta pani, która ma ostry język, gdy trzeba kogoś bronić, i filuterny uśmiezek, gdy trzeba kogoś osądzić — ta pani jest bardzo mądra i wie wszystko o tajemnicach i tęsknotach ludzkiego serca. Jest w niej — dziś dziewięćdziesięcioletniej — siła, która decyduje o prawdzie wyrazu. Jeśli Astrid Lindgren pisze: jasny, pogodny dzień — to stwarza jakimś cudem obraz całkiem odmienny od tego, który potrafiłyby stworzyć ktoś inny; tak jakby — używając tych samych trzech słów — wywoływała za ich pomocą jedyne w swoim rodzaju napięcie, będące czymś najzupełniej jej własnym; tak jakby pomiędzy tymi słowami zaczynało iskrzyć jej osobiste piękno, odbicie takiego obrazu świata, jaki widzą jej oczy, a raczej: jej serce.

Oto dlaczego wszelkie nasze referaty, recenzje, próby oceny jej książek z reguły mijają się z celem. Nie można nazwać czegoś najbardziej nieuchwytnego w jej twórczości; nie można zdefiniować tego, co się zaledwie wyczuwa, a co przerzuca łuki tęczy między słowem a słowem.

Wzrusza mnie jej miłość dla życia, dla wszystkich jego prostych uroków i zwyczajnych radości, które dla niej oznaczają: kwitnące wiśnie, zielone ścieżki zasypane białymi płatkami, pachnące dzikie róże, miłe leśne doliny, rzeki, poziomki, świeży chleb — i które chciałaby odnaleźć po śmierci, po drugiej stronie gwiazd, w Nangijali, która nie jest rajem, nie jest też czyścem, tylko — inną rzeczywistością poza czasem. I tam ma się duszę i ciało, które cierpią ból i głód, i tam pachną kwiaty, je się chleb i baraninę, pali się ogniska i kocha się ludzi. I tam szumią wodospady, snuje się dym, parszają konie. I tam, za wszystkim, co dobre i piękne, czai się niewymowna groza zła. I tam również trzeba z nim walczyć, i tam są rzeczy, które się musi zrobić, bo inaczej nie jest się

*człowiekiem, tylko nędznym śmieciem.* W Nangijali też istnieje ból, nienawiść i śmierć — a po tej kolejnej śmierci przechodzi się do rzeczywistości jeszcze innej — do Nangilimy, tam gdzie jest światło, gdzie znów *jest jeszcze czas ognisk i bajek*, gdzie spotykają się nareszcie wszyscy dotąd rozdzieleni, bliscy sobie, ludzie i mieszkają w drewnianych chatkach pośród zieleni i kwiatów, pomagając sobie nawzajem.

Opowiadać dzieciom baśnie — po co to się robi? Niektórzy sądzą, że po to, by dzieci oszukać; samemu żyjąc dorosłym, brzydkim życiem, wmawiać dziecku, że musi być dobre, że każdy zły uczynek zostanie przykładnie ukarany, a dobry — nagrodzony. Ale są i tacy, którzy wiedzą, że najłatwiej jest przekazywać dzieciom ważne prawdy i zasady w formie przykładów. I są wreszcie tacy, którzy chcą dzieci umocnić — sprawić, że przestaną bać się zła i odważą się stawić mu czoło, że odnajdą w rzeczywistości wokół siebie głębszy sens, że zdołają się pogodzić z nieuchronnym tragizmem własnego losu. Dorosły, który opowiada dzieciom w tym ostatnim właśnie celu, budzi zawsze mój podziw.

Jeśli ktoś tworzy dla dzieci, tylko dla dzieci, specjalnie dla dzieci — znaczy to, że dzieci właśnie są dla niego ważne.

Ale jeśli ktoś tworzy specjalnie dla dzieci przez całe długie życie — i tworzy arcydzieło, przepełnione prawdą i miłością — oznacza to, że dzieci są dla niego najważniejsze na całym świecie.

W istocie — o n e s ą n a j w a ż n i e j s z e — bo są Przyszłością, a zarazem są tak bezgranicznie bezbronne i ufne, tak bez reszty wydane na łaskę i niełaskę dorosłych, skazane bez odwołania na taki właśnie świat, jaki im dorośli urządzili. Dziecko zginie, jeśli nikt o nie nie zadba, wydane na głód, zimno i choroby. Zostanie zniszczone przez kłamstwo i nienawiść, jeśli nie wskaże mu się drogi miłości i prawdy.

Każda kobieta, która urodziła dziecko i doglądała go przez pierwszy rok jego życia — zna to uczucie grozy, bezsilności i wreszcie skrajnej determinacji na myśl o wszystkim, co na dziecko czyha. Zna też poczucie odpowiedzialności za jego losy, zdrowie, bezpieczeństwo — i za jego rozwój duchowy.

Astrid Lindgren, matka dwojga dzieci, rozumie to wszystko doskonale. A dzięki wielkości i wspaniałości jej ducha poczucie odpowiedzialności rozprzestrzeniło się z jej własnych dzieci — na cudze; na wszystkie dzieci świata. Wszystkie dzieci bowiem są do siebie podobne: tak samo bezbronne. To poczucie odpowiedzialności sprawiło, że w miarę upływu własnego życia Astrid Lindgren pisze coraz bardziej prawdziwe baśnie. Nie oszukuje dzieci także w powieści „Bracia Lwie Serce”: Od świtu do zmierzchu nic tylko krew, strach, śmierć. W tej baśni wszystko jest jak w życiu: bo tyrani naprawdę boją się najbardziej, marzenia o wolności ziszczają się naprawdę, miłość naprawdę zdolna jest przenosić góry i pokonywać straszliwe przeszkody. Astrid Lindgren nie kłamie — a jej słowa mają taką wagę i moc dlatego właśnie, że ona sama jest silna, mężna, mądra i pełna miłości — jest wielka.

Wyrasta się z dzieciństwa nieuchronnie; wyrzuca się za małe kurteczki, zdarte buciki. Dzieciństwo i książki dzieciństwa pozostawia się daleko za sobą — lecz nigdy nie traci się ich z oczu. To dziecko, którym kiedyś byliśmy, żyje w nas do samej śmierci, a te książki, nad którymi śmialiśmy się i płakaliśmy, są tworzywem, z którego buduje się i wzrasta nasza dorosła dusza.

Doprawdy, kiedy człowiek zda sobie sprawę z tego, ile milionów dzieci Astrid Lindgren wychowała, pocieszyła, podniosła na duchu, skierowała na właściwą drogę, ilu dała oparcie, wiarę w dobro, ile z nich utwierdziła w pragnieniu wolności i prawdy — trudno mu się oprzeć myśli, że ta pisarka jest postacią opatrnościową.

\* \* \*

*Krzyk po niebie, po obłokach  
Słysząc przy wesołych skokach,  
Aniołowie Święci, radością objęci  
Wyśpiewują, wykrzykują,  
Już i skrzydła połamali,  
Kiedy z radości latali.  
Michał ponad budę  
Lecąc spadł na grudę,  
W bok się ubił, skrzydła zgubił.  
Gabriel, który zwiastował Boga  
Także przelatował,  
Natrafił na dudy,  
Zbił biodra i udy  
I szwankował, nahramował.  
Gdy tak skrzydła połamali,  
Jak barany się tarzali,  
Jeden przez drugiego  
Śpiewał ochoczego,  
A śpiewając hoc wołali.*

Tę rozkoszną pastorałkę, pochodzącą z XVII wieku, znalazłam w książce **Marii Borejszo** „**Boże Narodzenie w polskiej kulturze**” (W Drodze, 1996). A że mam w domu jeszcze piękny, dwutomowy album „**Kolędy polskie — średniowiecze i wiek XVII**” pod redakcją **Jana Nowaka–Dłużniewskiego** (PAX, 1966) — urządzam sobie teraz miłe studia adwentowe. Zagłębiam się w historię i anatomię kolęd i pastorałek, zanim zacznę je wyśpiewywać i słuchać ich w najprzeróżniejszych wykonaniach oraz, jak co roku, zastanawiać się, którą z nich właściwie lubię najbardziej. Każda Wigilia przynosi mi nowe rozstrzygnięcia w tej kwestii, lecz chyba najczęściej typuję do pierwszego miejsca kolędę „Bracia, patrzcie jeno, jak niebo goreje” w wykonaniu chóru męskiego, z przewagą porywających do czynu, elektryzujących barytonów i basów. Najmniejszych natomiast wahań nie odczuwam przy określaniu, której z kolęd najbardziej nie lubię; jest to dzieło Teofila Lenartowicza, z muzyką Jana Karola Galla, powstałe około roku 1849. Odrobinę nieprzyjemne zabarwienie nadała tej kolędzie raz na zawsze (o, siło wspomnień!...) moja łacinniczka, pani Maria Graczykowa. Ilekroć uczennica liceum im. Dąbrówki w Poznaniu udzielała złej odpowiedzi, zwłaszcza w zakresie gramatyki łacińskiej, pani Graczykowa obrzucała nieszczęsną litościwym spojrzeniem, wyrażającym, w sposób nieco teatralny, bezmiar ubolewania, po czym stuknęła ją boleśnie w głowę ołówkiem i mówiła z drwiną: — Mizerna, cicha stajenka licha, co? Popraw się! Niedostateczny.

Bardzo śp. profesor Graczykową lubiliśmy, bo była poza tym serdeczna i ludzka, doskonale opanowałyśmy też łacinę, a jednak „Mizerna, cicha”, choćby nie wiem jak czule rozbrzmiewała, nie jest do dziś zdolna wzbudzić we mnie lirycznych wzruszeń, lecz jedynie buntowniczy śmiech. Zresztą, zapewne i bez udziału naszej łacinniczki nie lubiłabym przesadnie tej kolędy. Chyba najbardziej irytują mnie utwory pozbawione siły oraz blasku — w każdej zresztą dziedzinie sztuki, a także w życiu. Nie muszę przecież wyjaśniać, że owa siła i blask mogą występować nawet w *moderato cantabile*. Rzecz nie dotyczy bowiem spraw zewnętrznych, jak forma, lecz wyłącznie wewnętrznych: chodzi o promieniującą z głębi dzieła samoistną, zachwycającą, tajemniczą moc.

Tą właśnie mocą przeniknięta jest przecież jedna z najbardziej czułych i łagodnych kołysanek — „Lulajże, Jezuniu”.

Lecz wracajmy do ciekawej i pouczającej książki pani Borejszo, a ściślej — do jednego z rozdziałów: „**Geneza i dzieje polskich kolęd**”. Zaczniemy od przypomnienia, że nazwa „kolęda”, określająca pieśń religijną o tematyce bożonarodzeniowej, upowszechniła się w języku polskim dopiero na przełomie XVIII i XIX wieku. Wcześniej pieśń taką zwano kantyką, kantyczką, rotulą, symfonią lub hymnem. Słowo „kolęda” ma oczywiście związek z *Calendae Ianuariae*, które, po reformie Cezara, rozpoczynały w Rzymie nowy rok. Był to uroczysty dzień odwiedzin, życzeń i podarków. W V i VI wieku ten rzymski obyczaj poprzez Balkany przywędrował na Ruś i do Polski. Obyczaj przyjął się. W świadectwach z czasów Władysława Jagiełły i obu Zygmunatów czytamy o powszechnym zwyczaju wymieniania podarunków i o rozdawaniu kolędy, czyli upominków dla służby i podwładnych. Pierwotna pieśń kolędowa miała charakter powinszowania i nie wiązała się ściśle z kultem religijnym. Przypuszcza się — pisze pani Borejszo — że pierwsza polska kolęda o treści religijnej musiała powstać za przyczyną polskich franciszkanów–obserwantów, zwanych w Polsce bernardynami. Zaprowadzili oni w naszym kraju włoski obyczaj urządzania w kościołach, w okresie Bożego Narodzenia, żłóbków, przy których wierni śpiewali pieśni religijne (dodajmy, że z żywota św. Franciszka wiadomo, iż założyciel zakonu franciszkanów urządził w roku 1223 taką właśnie szopkę w Greccio).

Najstarszą polską kolędą jest ta, którą Aleksander Bruckner odnalazł pod koniec XIX wieku w zbiorach Biblioteki Załuskich w Petersburgu. Rękopis, w którym ją odnotowano, zawiera kazanie magistra praskiego Szczekny, późniejszego spowiednika królowej Jadwigi. Pieśń ta zapisana została w roku 1424:

Zdraw bądź, królu anjelski  
K nam na świat w ciele przyszły.  
Tyś za jisty Bóg skryty,  
W święte, czyste ciało wlity.

W XV i XVI wieku napływały do Polski pieśni bożonarodzeniowe z Europy, napisane w języku łacińskim. Typowym przykładem kolędy hymnicznej — poważnej, przypominającej nawet kościelny chorał — jest śpiewana do dziś „Anioł pasterzom mówił” (*Angelus pastoribus dixit vigilantibus*).

Obok hymnicznych pojawiły się wtedy w Polsce pierwsze pieśni paraliturgiczne, w których, obok przekazu ewangelicznego, zaczęły istnieć i elementy świeckie, przenikające prawdopodobnie z apokryfów i widowisk jasełkowych. I tu chyba przyłapujemy kolędę polską na tworzeniu jej najbardziej uroczych cech. Jak wiadomo, Ewangelie nie podają zbyt wielu szczegółów z życia Jezusa w dzieciństwie. W średnich wiekach powstała więc literatura apokryficzna, nasycona baśniowością i naiwnym realizmem, dopowiadająca to wszystko, czego domagała się ludzka wyobraźnia i wiara. Stąd właśnie, z tej bogatej wyobraźni, wspartej o skromne realia, i z tej żywej, mocnej, radosnej wiary, płynie ów charakterystyczny urok. Wątki takie pojawiały się w legendach i w pieśniach — to właśnie z apokryfów przejęto miłe postacie wołka i osiołka, które w mroźną noc rozgrzewają Dzieciątka swymi oddechami.

W tym też okresie powstają kolędy–kołysanki, oryginalne już, polskie utwory, śpiewane w czasie adoracji figurki Dzieciątka, złożonej w żłóbkę. Są to często liryczne monologi skierowane ku Nowonarodzonemu lub opisujące czułość Matki Bożej; zawierają liczne zdrobnienia i spieszczenia typowe dla liryki ludowej i potocznych odmian polszczyzny.

Na przełomie wieków XVI i XVII — pisze pani Borejszo — nowatorscy poeci: Stanisław



Grochowski, Kasper Twardowski i Kasper Miaskowski — tzw. pontaniści, od nazwiska Jakuba Pontana, który w roku 1595 opublikował księgę „*Floridorum libri octo*” — za przykładem tego włoskiego jezuitę stosują bardzo realistyczne i ludzkie spojrzenie na narodzenie i wczesne lata Jezusa, słabego niemowlęcia, które jest wrażliwe na głód i zimno, wymaga opieki, przewijania i karmienia. Bez wątpienia nowatorstwo to rodziło pewną poufałość wobec Majestatu, jak np. w utworze Kaspra Twardowskiego, opisującym, jak to pasterze

*Wnidą w szopę, a tu mali  
Aniołkowie heblowali  
Złotej wierzby suchą lipkę  
Jezusowi na kolébkę.*

*Ci suche drewka zbierają  
Drudzy ogień rozdymają,  
Usługuje każdy z duszy.  
Ten pieluchy mokre suszy,*

*Ów na kąpiel wodę grzeje,  
A miesiąc się z nieba śmieje (...)  
A miluchne Dziecko w żłobie  
Śpi sen smaczny o tej dobie,  
Smokce usta swej gębusie  
Właśnie jakby ssal Matusie.*

Ten nowy typ kolędy sielankowej został szybko zapomniany (a szkoda!), jednak twórczość pontanistów uutorowała drogę nowemu nurtowi kolędy polskiej, który upowszechnił się w czasach baroku. W roku 1630 mianowicie wydano w krakowskiej drukarni Marcina Filipowskiego „Symfonie anielskie, albo kolędy mieszkańcom ziemskim od muzyki niebieskiej wdzięcznym okrzykiem na dzień Narodzenia Pańskiego śpiewanych” Jana Żabczyca. Trzydzieści sześć utworów, zamieszczonych w zbiorze, po raz pierwszy w tak znacznym stopniu wprowadza niekonwencjonalne motywy świeckie, bogate i różnorodne. Są to zwykle obrazki z życia pasterzy, ukazane w lekkiej, często humorystycznej formie. Zgodnie z zaleceniem autora, miały one być wykonywane z melodiami ściśle określonych, świeckich pieśni. Żabczyc dołączył specjalne instrukcje w tej sprawie — i tak np. X symfonia anielska rozpoczynająca się słowami „Panna przedwieczna była bezpieczna” powinna być śpiewana na melodię znanej pieśni „Poszła niewiasta z kurem do miasta”, zaś XXXI symfonię anielską — „Przybieżeli do Betlejem pasterze” — należy śpiewać na melodię ówczesnego przeboju „Otóż tobie, pani matko”, co też czynimy, nieświadomi, do dziś.

To zjawisko przenoszenia świeckich melodii do tekstów o tematyce religijnej nazywa się kontrafakturą i jej właśnie zawdzięczamy fakt, że sporo polskich kolęd ma melodie typowo taneczne, np. poloneza („Bóg się rodzi”, „Dzisiaj w Betlejem”, „W żłobie leży”), mazura („W dzień Bożego Narodzenia”) czy kujawiaka („Jezus malusieńki”). „Symfonie anielskie” wprowadziły nową odmianę kolędy zwaną pastorałką — czyli ludową interpretację wydarzeń biblijnych, z przymieszką ludowych wyobrażeń, ludowego humoru i gwary, z użyciem polskich imion, typowo polskich darów czy popularnych w Polsce instrumentów muzycznych. Pastorałki, z charakterystycznym dla baroku upodobaniem do kontrastów, przechodzą od wzniosłości do

rubaszości i wyraźnie mają na celu rozweselenie prostego, zwykle ubogiego słuchacza oraz odniesienie się do jego życiowych doświadczeń. Również barok wydał w dziedzinie kolęd nurt spekulatywno–mistyczny (jak go nazywa pani Borejszo), a jego najdoskonalszy przykład to kolęda „Bóg się rodzi” Franciszka Karpińskiego, do dziś śpiewana w wersji prawie nie zmienionej. W wieku XVIII powstały najobszerniejsze rękopiśmienne zbiory polskich kolęd, liczące niekiedy ponad trzysta pięćdziesiąt pozycji. Sporządzano je przeważnie na użytek klasztorny, a gromadziły dorobek wielu pokoleń anonimowych twórców.

Do zebrania, uporządkowania i ogłoszenia drukiem polskich kolęd doszło dopiero w następnym stuleciu. Dziewiętnastowieczni wydawcy, działający pod patronatem Kościoła, sięgnęli do wcześniejszych druków, rękopisów i do tradycji ustnej. Dzięki współpracy z organistami wszystkie teksty zostały opatrzone właściwym zapisem nutowym. I to już koniec historii polskiej kolędy. Żyjemy bowiem, jak już wielokrotnie oświadczałam, w głupich czasach. *W czasach powojennych do liturgii mszalnej nie wprowadzono niemal żadnych nowych kolęd — zauważa Maria Borejszo — chociaż w latach 60. i 70. powstało wiele pieśni religijnych, które zdobyły dużą popularność. Biorąc pod uwagę bogaty dorobek wieków minionych, trudno ustalić, jakie względy zdecydowały o tym, że kolęda przestała budzić zainteresowanie bardziej i mniej profesjonalnych twórców.*

Ciekawe, czy to już tak na zawsze zostanie?

Z tym pytaniem zostawiam Was na Święta, Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy, życząc, żeby były jak zwykle wesołe i żeby jak zwykle przyniosły Nową Nadzieję.

\* \* \*

*Nauczanie to nie napełnianie zbiornika, lecz rozpalanie ognia* — Carl Gustav Jung.

*Prawdziwy to cud, że nowoczesne metody nauczania nie zdołały całkowicie zdławić świętej pasji dociekania* — Albert Einstein.

Obie te opinie znalazłam w książce **Dawny Markovej i Anne Powell „Twoje dziecko jest inteligentne — jak poznać i rozwijać jego umysł”** (Książka i Wiedza, 1996). Kiedyś już wspominałam o tej książce na łamach „TP”, zresztą — wciąż o niej wspomynam, komu się da, i wciąż ją kupuję, komu się da; niestety, już więcej nie kupię jej nikomu, bo nakład, jak to sprawdziłam w wydawnictwie, został wyczerpany (mam nadzieję, że nie wyłącznie przeze mnie).

Każdy polski rodzic, czytając tę książkę, doznaje uczucia ulgi i nadziei. Oto bowiem okazuje się, że nie jest nadopiekuńczy, wścibski, niezdyscyplinowany i wrogi, gdy twierdzi, że nie podoba mu się to, co szkoła robi z jego dziećmi. Okazuje się, że taki rodzic ma po prostu rację.

Amerykańskie autorki, które są i matkami, i nauczycielkami zarazem, piszą: *Zbyt wielu z nas zbyt często zbyt długo wstrzymuje się od głosu. Nadszedł czas, by rodzice przerwali milczenie i rozmawiali ze sobą nawzajem i ze szkołą — o zdolnościach i potrzebach swoich dzieci, które przecież dobrze znają. Impuls, który zapoczątkuje zmiany, musi wyjść od rodziców, pierwszych i najważniejszych opiekunów duchowych dziecka. Zmiana jest możliwa. Każde osiągnięcie w historii ludzkiego wysiłku było dziełem kogoś, kto nie chciał się pogodzić z niezadowolającym stanem rzeczy. Szkolnictwo nie spełnia oczekiwań i nawet dzieci, które odnoszą w szkole sukcesy, wykorzystują tylko niewielką część zdolności, a przy tym gwałtownie tracą wiarę w siebie, pogrążają się w rezygnacji i cynizmie. Jest rzeczą niezwykle istotną, że autorki są psychologami, nauczycielkami, konsultantkami do spraw nauczania; nie mogą być podejrzane o to, że walczą z kastą nauczycielską. Zresztą, piszą o tym wyraźnie: *Przeświadczenie, że rodzice i nauczyciele są jakby przeciwnikami, jest błędne, odczłowiecza i odbiera siły. Zdrowy rozsądek i dostępność informacji pomagają znaleźć drogę, która doprowadzi do współodczuwania i wzajemnej pomocy, i stanie się mostem, łączącym nas we wspólnym celu: rozwijanie umysłów naszych dzieci.**

Zauważmy w tym miejscu, że ów wspólny cel to nie jest bynajmniej realizacja programu nauczania. Nie. Jest nim: *rozwijanie umysłów naszych dzieci.*

To, co dalej piszą autorki na temat głębokiego kryzysu, w jakim tkwi dzisiaj system szkolnictwa w Stanach Zjednoczonych, odnieść można do sytuacji polskiej oświaty, tyle że wszystkie zarzuty należałoby wzmocnić dziesięciokrotnie. U korzeni niepowodzeń — piszą autorki — leży niezdolność naszych szkół do uczynienia nauki przystępną. Nauka bowiem to nie tylko przyswajanie nowych informacji — to także wspomaganie dzieci w rozwijaniu ich zdolności, tak aby umiały jak najlepiej je wykorzystać w życiu. Oznacza to wykształcenie w dziecku postawy zaufania do własnego umysłu, postawy, która pozwoli mu odkrywać coraz to nowe możliwości, pozwoli tworzyć, mieć własne zdanie, różnić się od innych.

I rodzice, i nauczyciele powinni zrezygnować z roli ekspertów od edukacji — piszą autorki — a stać się przewodnikami w procesie nauczania. Gdy wyobrazić sobie wiedzę jako lampkę na kasku górnika — łatwo spojrzeć na nauczyciela jako na źródło wszelkiej wiedzy, które promieniuje światłem i oświetla obiekt, czyli dzieci. Ale gdyby tak założyć, że każde dziecko ma w sobie światło, a zadaniem nauczyciela jest pomóc uczniowi w roznieceniu tego światła? Praca nauczyciela przypominałaby wtedy raczej pracę trenera czy przewodnika. *By umieścić lampki tam, gdzie powinny być, czyli na głowach dzieci, trzeba pojmować edukację jako proces wymagający współuczestnictwa. Nie potrzeba rewolucji w tym, co się z dziećmi robi, tylko odmiennego sposobu robienia tych samych rzeczy. W szkole dzieci powinny jak najszybciej uzyskać wiedzę o tym, jak funkcjonuje ich umysł.*

I rodzice, i nauczyciele, zdaniem autorek, powinni skupić się nie na zmuszaniu dzieci, by gromadziły informacje, które zresztą tracą aktualność, zanim umysł na dobre je przyswoi — lecz raczej na tym, by poznać, w jaki sposób uczą się dzieci, na tym, by uznawać i szanować różnorodność dróg przyswajania sobie przez nie wiedzy.

Zacząć zaś trzeba od zrozumienia, w jaki sposób funkcjonuje umysł dziecka. Nie wszyscy myślimy i uczymy się w ten sam sposób; istnieje kilka różnych sposobów używania umysłu.

*Dzieci są z natury zdolnymi uczniami. W pewnym bardzo ważnym sensie są mądrzejsze, gdy przychodzą do szkoły, niż gdy ją opuszczają. Mądrzejsze — to znaczy żywsze, bardziej chętne do eksperymentów, gotowe myśleć i śmiać się z tego, ryzykować i dążyć do celu. Zanim pójdą do szkoły, poruszają się po świecie ze swobodą, jaką daje poczucie, że są panami samych siebie, że mają zaufanie do własnego rozumu. Nie ma przepaści między ich prawdziwą naturą a zdolnością wyrażania jej. Jak to się dzieje, że zaledwie kilka lat później te same oczy zasnuwa cień podejrzliwości? Jak to się dzieje, że ciała dzieci sztywnieją, zamykają się? Jak to się dzieje, że ich prawdziwą osobowość przysypuje lawina popiołów, lawina ograniczających prawd podanych do wierzenia?*

*Zamiast uczyć dzieci, by wykorzystywały swą wrodzoną inteligencję, ciekawość, zdolność dziwienia się i współodczuwania, reaktywność — uczymy je, by bały się przyznać, że nie znają odpowiedzi. Klasyfikujemy je w różnych kategoriach według ich braków. Przyjmujemy, że wszyscy uczą się w taki sam sposób, i skazujemy tych, którzy nie pasują do schematu, na miano niezdolnych. Opuszczają oni szkołę w najlepszym razie znudzeni, w najgorszym — okaleczeni, ograniczeni w swych umiejętnościach, nieufni i poniżeni. Przyzwyczailiśmy się to uważać za normalną składową procesy dorastania. Gdy patrzymy, jak z wolna gasną iskry w oczach naszych dzieci, a ich barki kulą się w obronnym geście, wrzuszamy ramionami i przypominamy sobie, jak było z nami. Ale czy naprawdę musi tak być?*

*Przez klęski dzieci uczą się nienawiści — do siebie, do szkoły, do społeczeństwa.*

Rewelacyjną dla mnie nowością jest zawarty w książce „**Twoje dziecko jest inteligentne**” bogaty, lecz jasny system określania wzorca myślenia każdego dziecka, system mający umożliwić rozpoznanie, w jaki sposób umysł danego człowieka przetwarza informacje, w jaki sposób człowiek ten myśli, uczy się i komunikuje ze światem.

Umysł ludzki „trawi” myśli, obracając nimi na trzech poziomach: świadomym (to są jakby wrota umysłu, miejsce, gdzie informacja jest pobierana i porządkowana), podświadomym (miejsce, gdzie umysł transportuje to, co nadeszło z poziomu świadomości, do banków pamięci) i nieświadomym (tu wiadomości zdobywane łączą się z już wyuczonymi i na bardzo głębokim poziomie powstają związki myślowe). W istocie każdy z nas ciągle w ułamku sekundy przeskakuje z jednego z tych trzech stanów do drugiego wskutek nieustannej stymulacji odbieranych przez nas bodźców czuciowych.

Lecz istnieją także trzy kanały, trzy odmienne rodzaje postrzegania: wzrokowy, słuchowy i ruchowy. Nauczyciele na ogół wiedzą już, że większość ludzi ma jeden zmysł dominujący, którym najłatwiej im się posługiwać w procesie przyswajania sobie wiedzy — słyszy się np. o „wzrokowcach”. Ale nie wystarczy powiedzieć, że dziecko jest typem wzrokowym, słuchowym czy ruchowym. Trzeba zrozumieć cały proces przyswajania przezeń informacji, wędrówkę myśli przez jego świadomość, podświadomość i nieświadomość. Trzeba pojąć, dlaczego na lekcji arytmetyki Jaś zdaje się chwytac wszystko w lot, sprężony na samym brzegu krzesła, gotów pytać i odpowiadać na pytania, Basia rysuje na okładce zeszytu skomplikowany labirynt linii, zaś Marek siedzi jak słup, gapi się w okno i najwyraźniej w ogóle nie uważa. Nauczycielka, która właśnie mówi o ułamkach, powinna zdawać sobie sprawę, że każdy z tych uczniów w inny sposób, na

innym poziomie, przyswaja sobie jej nauki. Jej sposób przedstawiania wiedzy o ułamkach pobudza różne sfery umysłu uczniów. Jaś słucha — i przyswaja sobie wiedzę świadomie, zadając pytania, które pozwolą mu zrozumieć temat. Basia przetwarza to, co słyszy, podświadomie, jej umysł analizuje, próbuje dociec, czy te informacje przydadzą się jej do czegoś i jak się mają do wcześniejszych doświadczeń. Marek, gapiąc się w okno, dokonuje nieświadomego przetworzenia informacji. Być może myśli o tym, jak wygrał bieg o ułamek sekundy, albo wyobraża sobie wzory kalejdoskopu, złożone z ułamków kolorowych szkiełek. Nauczycielka, wykładając, posługuje się kanałem słuchowym uczniów. Ale tylko Jaś używa kanału słuchowego do świadomego myślenia, toteż objaśnienia werbalne go pobudzają. U Basi natomiast kanał słuchowy związany jest z podświadomością, toteż słowa nauczycielki wywołują w jej umyśle rodzaj chaosu. Z kolei kanał słuchowy Marka przypisany jest do stanu nieświadomości, do najgłębszych pokładów jego umysłu, toteż słowa wyzwala ją u niego myślenie nieświadome, powodując, że wyłącza się i przestaje uważać.

Gdyby o Marku było wiadomo jedynie to, że jest typem ruchowym, nauczycielka mogłaby mu dać np. układankę, co zapewne utrzymałoby jego uwagę. Lecz myślenie nieświadome uruchamia się u niego poprzez słuch. Dlatego Marek się wyłączył, gdy nauczycielka mówiła, mówiła i mówiła. Nie wiedząc o przyczynie jego nieuważności, nauczycielka z pewnością skarci Marka, gdy ten nie potrafi odpowiedzieć na jej pytanie. Ponieważ Marek jest wrażliwy na wszystko, co słyszy, słowa krytyki zachwieją jego poczuciem wartości; po skończonej lekcji Marek uzna, że jest głupi. Nauczycielka zaś w pokoju nauczycielskim rozgłosi, jaki to on jest tępy i nieuważny.

Podając rozliczne kryteria oceny (Język dziecka, Sfera wzrokowa, Wrodzone zalety, Jakie stwarza problemy, Mocne strony, Trudności w nauce), autorki proponują ustalenie wzorców myślenia dzieci. Wyróżniają sześć typów takich wzorców i nazywają je z uderzającą trafnością: Przewodnik Stada, Akrobata Słowny, Żywe Srebro, Wędrujący Poszukiwacz, Wszędobylski Obserwator i Prezenter Gawędziarz. Wreszcie — podają najwłaściwszy dla danego typu sposób uczenia się, najwłaściwszą formę wypowiedzi, wiadomości o sferze fizycznej i sferze wzrokowej dziecka tego typu, przykładowy portret i rady: jak się porozumieć. Proszę tylko nie sądzić, że ma to cokolwiek wspólnego z horoskopami lub inną hochsztaplerką. Jest to porcja rzetelnej wiedzy psychologicznej, zestaw celnych i prawdziwych obserwacji, który każdemu rodzicowi i każdemu nauczycielowi może być nieocenioną pomocą.

To, do czego namawiają autorki — a więc całkowite przewartościowanie myślenia, odwrócenie niejako dotychczasowego systemu nauczania, generalne uporządkowanie priorytetów — w warunkach polskich jest jeszcze bardziej niezbędne niż w USA. Odkąd jestem matką, a więc od dwudziestu sześciu lat, obserwuję, że w Polsce wciąż się dokonuje Reforma Edukacji. Zmieniano już i ilość klas podstawówki, i podręczniki, i system nauczania matematyki, i ilość godzin WF. Nie zmieniało się tylko jedno: podejście do ucznia. I nic dziwnego: nie zmieniły się przecież także przepisy o liczebności klas. Owszem, nie wolno już formować klas czterdziestopięciosobowych, ale i dwadzieścia pięć osób to za wiele, by nauczyciele mogli zanalizować umysłowość, usposobienie i uzdolnienia każdego z uczniów. Żeby „zrealizować” przeładowany program, musi nauczyciel — nie oglądając się na nic i na nikogo — gnać z nauką do przodu. Musi więc, spotykając nieuchronne trudności w przyswajaniu wiedzy przez dzieci, zamieniać się w Egzekutora i Kata, miast być Mistrzem, Przewodnikiem i Przyjacielem. To dlatego właśnie rodzice dostają w dzienniczku dziecka uwagę: Nie uważał na lekcji — i głowią się, co mają z tym zrobić i czyja to wina, że nie uważał. Dziecka? Czy ich?

Mam pomysł na reformę szkolnictwa.

Zmniejszyć dopuszczalną liczbę dzieci w klasie do tyłu, ile jest w stanie opanować przeciętna matka. A więc, powiedzmy — do dziesięciorga (to i tak wiele).

Płacić nauczycielom tak, jak ministrom lub spikerom telewizyjnym. Szczerze mówiąc, praca nauczyciela jest o wiele ważniejsza. I o wiele trudniejsza.

Nie nudzić. Nie tępić dzieci, nie gnębić i nie upokarzać. Zrozumieć!

Zamiast przeładowywać umysły dzieci wiedzą encyklopedyczną — nauczyć je, by posługiwały się intelektem i samodzielnie przetwarzały nowe informacje.

A dedykację z książki Dawny Markovej i Anne Powell — *Dzieciom — prawdziwemu skarbowi narodowemu* umieścić na okładce programu reformy edukacji w Polsce.

Ponieważ bez zrozumienia, że dzieci są naszym prawdziwym skarbem, nie może się udać żadna reforma.

\* \* \*

W poznańskim Radiu „Merkury” prowadziłyśmy — Grażyna Wrońska i ja — rozmowy z dziećmi i młodzieżą pod hasłem „Kto czyta — nie błądzi”. Któregoś dnia goszcząca w tej audycji licealistka opowiedziała o przeczytanej ostatnio książce „**Oddajcie mi świętego Mikołaja**”. I oto nazajutrz zadzwoniła do mnie Autorka — pani profesor **Wanda Kocięcka**, pracująca w Klinice Chorób Pasożytniczych i Tropikalnych Instytutu Mikrobiologii i Chorób Zakaźnych AM w Poznaniu — zadzwoniła tylko po to, by podziękować za wzmiankę o swojej książce i wyrazić radość z tego, że właśnie młodzież tę książkę czyta i lekturę tę przeżywa.

Błędem byłoby sądzić, że reakcja Autorki wynika z — jakże ludzkiej w końcu — chęci ocalenia od zapomnienia własnej osoby, własnych uczuć i przeżyć. Powściągliwa, elegancka relacja, z jaką mamy do czynienia w tej książce, usuwanie w cień siebie, a eksponowanie postaci swoich najbliższych lub celne portretowanie sąsiadów, przyjaciół czy wrogów (swoją drogą, jakże silne musiały być wrażenia tej dziewczynki ówczesnej, skoro zapamiętała tak wiele z tamtych wydarzeń, i z taką wyrazistością!) — świadczą o nadrzędnym celu tej opowieści. Jest nim danie świadectwa i — jak pisze w przedmowie do książki o. Marcin Babraj OP — „przechowanie dziedzictwa”. Tym bardziej zrozumiała staje się radość Autorki, która przekonuje się, że cel ten osiągnęła: książka żyje, jest czytana, jest przeżywana tak głęboko, że dzisiejsza młoda dziewczyna, rówieśniczka ówczesnej małej Wandy, opowiada o lekturze z ogromnym przejęciem.

Na okładce książki (Wydawnictwo Literackie Parnas, Poznań, 1993) widnieje fotografia matki z córką; pani o twarzy mądrej, dobrej i stanowczej, o ciepłym, głębokim spojrzeniu ciemnych oczu, ubrana w letnią jasną sukienkę, siedzi na krzeselku w jakimś letnim pejzażu, którego fragment zaledwie widać nad ramieniem dziewczynki — małej Wandy. Dziewczynka ma może osiem, może dziewięć lat, jej opalone nóżki wylaniają się z białych skarpetek, biała jest też jej sukienka. Jedną rękę dziewczynka wspiera o kolano matki, w zagięciu łokcia drugiej ręki trzyma ładną lalkę. Patrzy prosto w obiektyw poważnymi, czarnymi oczami spod silnie zarysowanych brwi. Swobodny układ ciała dziecka, które wspiera się z ufnością, ale i z szacunkiem, na ciele matki, wiele mówi o wzajemnych relacjach tych dwóch istot. W rzeczy samej, książka „Oddajcie mi świętego Mikołaja” jest przede wszystkim hołdem złożonym właśnie matce — jej odwadze, mądrości, szlachetności i dumie. Józefa Brzozowska, z domu Jarmołowicz, żona legionisty, była kobietą bohaterską, choć o jej czynach nie przeczytamy w podręcznikach historii; ograniczają się bowiem tylko do tego, co stało się udziałem jakże wielu matek: do walki o ocalenie rodziny, a zwłaszcza dzieci, przed szaleństwem wojny. Ocalenie nie tylko od chorób, głodu, wywózki, od fizycznej zagłady; być może najbardziej przejmujące w książce są wspomnienia o tym, jak matka usiłowała ratować dzieci od śmierci duchowej, jak walczyła o to, by nie straciły nadziei, aspiracji, wiary.

Jesienią roku 1943, wobec narastającego niebezpieczeństwa w miasteczku (był to Kobylnik na Wileńszczyźnie, w pobliżu Naroczy), napadów partyzantów, represji gestapo, pacyfikacji całych wsi, wobec pogłębiającego się głodu i niedostatku, rodzina państwa Brzozowskich postanowiła przenieść się na wieś. Zamieszkali w białoruskim chutorze, wynajmując izbę w zamian za pracę w gospodarstwie i na roli. Doświadczenie okazało się ciężkie, niemal ponad siły.

*Znosiliśmy wszelkie poniżenie — byle przetrwać. Najbardziej tym stanem rzeczy martwiła się nasza Mama. Mijał czas, rośliśmy — a nie uczyliśmy się i nie rozwijaliśmy umysłowo. (...) Zasypialiśmy szybko po całych dniach ciężkiej pracy, nierzadko w ubraniach, by nazajutrz znów zerwać się o świcie do swoich obowiązków. Mama ratowała nas w rozpaczliwy sposób. Było to dla nas denerwujące, wręcz niekiedy śmieszne i naiwne. Zmuszała nas po prostu do myślenia. Zadawała nam lekcje z geografii, historii, języka polskiego i rzucała zdania z języka francuskiego; usiłowała przerabiać z bratem „Pana Tadeusza” i co pewien czas wyjmowała z ukrycia naszywkę*

*od mundurka gimnazjalnego brata, który tuż przed wybuchem wojny zdał egzamin do Gimnazjum Jezuitów w Wilnie. Czyniła, co mogła, aby przekazać nam choć strzęp jakiegoś nastroju, choć cień jakiegoś innego świata, który przecież na pewno powróci, ślad jakiejś wiedzy. Choć nie mogliśmy sprostać wymaganiom Mamy i niewiele skorzystaliśmy w tym okresie z Jej edukacji, to jednak sama świadomość istnienia czegoś więcej poza przytłaczającą nas pracą gospodarską w tym okresie, obecność naszej Mamy, pełnej godności, nieugiętej, otoczonej rekwizytami z dawnych dobrych czasów, mówiącej piękną polszczyzną (...) były dla nas oparciem i pokrzepieniem. Dziś, analizując to wszystko, wiem, jaką miało to wartość i znaczenie.*

To, co dał Autorce dom rodzinny, okazało się najcenniejszym posagiem na całe życie: zasady postępowania, system wartości, na których odebranie sobie człowiek nie powinien pozwolić. *Dom był głównym źródłem wrażeń i przeżyć, które pozostawiły we mnie niezatarty ślad — pisze pani Kocięcka. — Na zawsze pozostał mi opoką. Z osobliwym wzruszeniem przeżywano w nim Święta Bożego Narodzenia, z autentyczną pokorą — okres Wielkiego Postu, a z radością Dzień Zmartwychwstania Pańskiego. Czczono dzień Konstytucji 3 Maja, w dniu 11 listopada uczono nas składać hołd poległym i dziękczynienie Bogu za Polskę Niepodległą. Słowa „ojczyzna ponad wszystko, patriotyzm, ofiarność i poświęcenie” — nie były czczymi frazesami w ustach Rodziców, lecz cnotami obowiązującymi już od dziecka.*

*W domu naszym od dawna panowała zasada, że dzieci mogły się bawić z każdym dzieckiem, niezależnie od statusu społecznego, narodowości czy wyznania, byleby pochodziło z porządnej rodziny. Dzięki temu wychowywaliśmy się w zdrowej atmosferze i otoczeni byliśmy dużym gronem kolegów i koleżanek, zarówno polskiego, iak i żydowskiego bądź tatarskiego pochodzenia. Ze względu na zrozumiałe uprzedzenie naszych Dziadków (długoletni pobyt w Petersburgu) zabroniono nam jedynie wchodzić do cerkwi, lecz batuszce i popadii kazano się grzecznie kłaniać. (...) Rośliśmy wśród ludzi różnorodnych, ciekawych i to nas wzbogacało wewnętrznie. Niezwykłe lubiłam przychodzić w wieczór szabasowy do naszej znajomej, Żydówki Chojki, mieszkającej przy rynku. Stół biało zastłany, ze świecznikami miedzianym; ona odświętnie ubrana, ogień trzaskający w piecu. Do błyszczącego miedzianego rondla wkładała pocięte ryby, dodawała masę cebuli, przypraw i przystawiała do ognia.*

Tę samą Chajkę zobaczyła Wanda już wkrótce, błakającą się w rozpacz po lesie, zawodzącą, nawołującą po imieniu swoje dzieci. Jedynie ona ocalała z masowej egzekucji Żydów w pobliskim miasteczku.

Świat spokojnego, pięknego dzieciństwa skończył się 18 września 1939, kiedy do miasteczka Kobylnik wkroczyły wojska sowieckie. Zaczęła się przymusowa sowietyzacja i tępienie wszelkich przekonań religijnych. Wkrótce groza się spotęgowała: zaczęły się rewizje NKWD, masowe deportacje w głąb Rosji, głód. Z nadejściem Niemców nastał nowy porządek: egzekucje, pacyfikacje i naloty. Wreszcie najgorsze z wydarzeń: matka Wandy zaginęła (uwięziona przez NKWD na Łukiszkach w Wilnie). Troje dzieci, dorastających w tych warunkach, musiało znosić strach, niepewność, grozę. Mała Wanda, która w wojnę wkroczyła jako dziewięcioletnie dziecko, w sierpniu 1944 była już kilkunastolatka. Po latach tułania się i ucieczek znów mieszkała w rodzinnym, drewnianym domu wśród kwiatów — i znów trzeba było go opuścić.

*Przeżuwałam, że oto rozpocznie się nieznany i bolesny etap w moim życiu. Chciałam gdzieś uciec przed nim, schować się i po prostu nie być, nie istnieć... W jakiejś niemej rozpacz przybiegłam wówczas do Babci, siedzącej z różańcem w ręku, i bez słowa, jak niegdyś, gdy byłam małą dziewczynką, zwinęłam się w kłębek na jej kolanach. (...) Tak naprawdę, było to moje pożegnanie z dzieciństwem. I dalej: Woźnice poganiali, by odjeżdżać, gdyż słońce niedługo miało wschodzić, jednak Babcia w ostatniej chwili odwróciła się w stronę domu i zawołała do nas bolesnym głosem: „Dzieci, odwróćcie się, choćby jeszcze raz popatrzeć....”’. W tym jej zawołaniu*



*było wszystko, co chciała nam przekazać w ostatniej chwili, żeby zapamiętać, żeby nie zapomnieć! Nigdy w życiu nie zapomniałam tego gestu, tego spojrzenia i tego głosu. (...) Podniosła rękę i szerokim krzyżem przeżegnała naszą siedzibę... Ruszyliśmy. Wszyscy płakaliśmy cicho i żałośnie, przeczuwając, że było to nasze ostateczne rozstanie z miejscem, w którym się urodziliśmy i wychowaliśmy.*

Tę piękną, wzruszającą książkę, napisaną z pełną prostoty szlachetnością, czyta się z niesłabnącym zainteresowaniem i z podziwem dla siły wewnętrznej opisywanych tam ludzi: niby zwyczajnych — a przecież wyjątkowych. Jak słyszę, wspomnienia pani profesor Kocięckiej ma zamiar wznowić wydawnictwo „W Drodze”. Polecam więc tę książkę jak najgoręcej wszystkim Czytelnikom, a zwłaszcza — młodym.

\* \* \*

Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy, po przydługiej przerwie melduję się z usprawiedliwieniem za nieobecność na służbie: pisałam powieść „Imieniny” (nieobecność usprawiedliwiona). Niegdyś pisanie powieści nie przeszkadzało mi w wykonywaniu innej pracy, a nawet w rodzeniu dzieci. Teraz jednak czasy się zmieniły: druk książki trwa dwa tygodnie (!) od chwili złożenia tekstu, toteż i od autora wymaga się wyścigowego tempa, czyli — maksymalnej koncentracji. No, ale książka już w sprzedaży, a ja po szycie, trwającej dwanaście lub więcej godzin na dobę. Męczące. W tym napiętym czasie zdołałam — na otwarcie Wielkiego Tygodnia — wyrwać się do Filharmonii, by posłuchać „Pasji według św. Jana” w wykonaniu Poznańskiego Chóru Chłopięcego i Męskiego pod dyrekcją Stefana Stuligrosza, z udziałem znakomitych solistów. Wrażenie z sobotniego koncertu było tak potężne, że — całkowicie wbrew rozsądkowi i rozkładowi pracy — pobiegłam na ten sam koncert nazajutrz. Chór jest w szczytowej formie, a jego twórca i dyrektor, który 26 sierpnia 1998 roku skończy lat siedemdziesiąt osiem — w rewelacyjnej kondycji: tryskający energią, promienny, uśmiechnięty i pełen zapału.

„Pasja według św. Jana” brzmiała doskonale i — rzecz przedziwna — naładowana była tak wielkim wzruszeniem i uczuciem, jak w żadnym innym wykonaniu — a znam ich parę, i to wybitnych. Zdanie moje podzielała na pewno i publiczność, która na zakończenie sobotniego koncertu zerwała się z miejsc i dała wielką, długotrwałą i entuzjastyczną owację na stojąco. Może ten sobotni koncert był tak zachwycający i dlatego, że poprzedzony został krótkim, poruszającym do głębi słowem wstępnym profesora Stuligrosza, a poprowadzony przez niego z jakimś szczególnym ogniem i zachwytem. Jak się potem dowiedziałam, Profesor dedykował ten koncert pamięci zmarłego właśnie przyjaciela — stąd ta osobista nuta, tak wyraźna w czasie sobotniego wieczoru. Lecz za każdym razem, gdy widzę profesora Stuligrosza w akcji, odnoszę wrażenie, że dyryguje on, przepełniony czułością i zachwytem wobec muzyki, która go prawdziwie porywa i unosi.

To wrażenie potwierdza lektura wspomnieniowej książki Stefana Stuligrosza — „**Piórkiem Słowika**” (Media Rodzina), do której zabrałam się z nowym zainteresowaniem, zaraz po powrocie z niedzielного koncertu. *Wzruszało mnie do tez organowe tutti — wspomina twórca „Poznańskich Słowików”. — W latach mego dzieciństwa rodzice chętnie wybierali się na niedzielne sumy do poznańskiej fary, gdzie przy trzymanualowej klawiaturze soczyście brzmiącego instrumentu o kilkudziesięciu arcywspaniałych głosach zasiadał ceniony w Poznaniu Adam Klichowski. (...) Jako dziecku wydawało mi się nieraz, że pod naporem potężnego tutti drżą grube mury majestatycznej kolegiaty poznańskiej. Subtelne, ledwo słyszalne dźwięki „eolskiej harfy” wywoływały tak przejmującą ciszę, jakby tłumy wiernych wypełniających przestronne nawy farnego kościoła przestały nagle oddychać. Zdarzało się często, że w takich momentach wtulałem się w fałdzistą suknię mojej matki i zaczynałem cicho płakać ze wzruszenia. A było mi przy tym tak dobrze, jakbym znalazł się w krainie jakiegoś niewysłowionego szczęścia. (...) Pamiętam pierwsze, niezwykle silne, wręcz wstrząsające „zderzenie” z Haendlowskim „Mesjaszem”. Miałem wówczas trzynaście, a może już czternaście lat. W rodzicielskim domu pojawił się aparat radiowy. (...) Nagle uderza we mnie z nieprawdopodobną siłą niebiańsko radosna, a zarazem porywająca muzyka z chóralnym śpiewem. Coraz wyżej wznosi się przecudowne, wielokrotnie powtarzane „Alleluja”. Wspierane srebrzystym blaskiem trąbek i uroczyście dostojnymi uderzeniami w kotły.*

*Pod koniec rozszalały się radością i precyzyjnymi figurami szesnastkowych nut dźwięki skrzypiec. (...) Daremnie usiłuję powstrzymać szloch. Nawet nie zauważyłem, kiedy pochyliła się nade mną zaniepokojona matka. (...) — Synku! Co tobie, że tak płaczesz? Jakże tu się przyznać, że to tylko z radosnego wzruszenia, które i głos odbiera, udaremniając odpowiedź? (...) W*

*młodzieńczych marzeniach nie wiązałem mej przyszłości z muzyką. Żyłem nią „na co dzień”. Była mi po prostu do życia potrzebna. Jak słońce, powietrze. Jak gorąca wiara w Boga i dająca poczucie bezpieczeństwa miłość najbliższych i przyjaciół.*

*Uczęszczając do gimnazjum św. Marii Magdaleny, nie uczyłem się dobrze. Zupełnie pozbawiony uzdolnień matematyczno-fizycznych, związane z nimi przedmioty zaniedbywałem na rzecz mojej, ponad wszystkie inne dziedziny umiłowanej, muzycznej sztuki.*

W tym punkcie lektury uwaga moja została pobudzona do ostatnich granic, gdyż natknęłam się na nazwisko profesora Mariana Węgrzynowicza. Był on i moim profesorem fizyki i wychowawcą mojej klasy w latach sześćdziesiątych. To on uratował mnie przed klęską życiową, wygłaszając na maturalnym egzaminie ustnym słynne zdanie: „Są ludzie, którzy umieją liczyć, i są ludzie, którzy nie umieją liczyć. To dziecko nie umie. Ale umie pisać i rysować. Zasługuje na świadectwo dojrzałości”. On też powiedział mi, że w przyszłości będę pisać książki i sama je ilustrować — i właściwie do dziś nie wiem, czy stało się tak dlatego, że zanosilo się na to od dawna, czy też dlatego, że mój Wielki Autorytet mi to przykazał, a ja mu po prostu uwierzyłam.

Okazuje się, że identyczne doświadczenie z profesorem Węgrzynowiczem miał i Stefan Stuligrosz w latach trzydziestych! Zawezwany przez Radę Pedagogiczną ojciec Stefana usłyszał od profesora Węgrzynowicza, że grono pedagogiczne od dawna obserwuje wybitne uzdolnienia muzyczne chłopca. *Z relacji ojca wynikało, że właśnie profesor Węgrzynowicz, znakomity matematyk i fizyk, człowiek przy tym mądry i życzliwy, a wobec uczniów nieustępliwie wymagający, wcale nie potępiał mojej tępoty w zakresie przedmiotów ścisłych. Rozważny wychowawca chciał mnie w przyszłości widzieć szczęśliwego. (...) Stefan będzie dobrym śpiewakiem operowym! — przekonywał ojca.*

Zaskakująca zbieżność! — i zarazem temat do rozważań dla nauczycieli oraz ludzi w jakikolwiek w ogóle sposób związanych z wychowywaniem dzieci i młodzieży. W którym momencie życia zaczyna się ujawniać talent? Co zrobić, by w dziecku ten talent dostrzec? Jakich użyć sposobów, by go rozwinąć, a w żadnym razie — nie stłamsić? Z całą pewnością trzeba w tym celu wyjść naprzeciw drugiemu człowiekowi, zainteresować się nim, zajrzeć mu w głąb duszy, umieć go obserwować w kolejnych fazach jego rozwoju i wyobrazić go sobie w przyszłości. Pewnie, że to kosztuje trochę trudu — ale też zostanie on w pewien sposób nagrodzony. Pamiętam z lat sześćdziesiątych wielką uroczystość 50-lecia pracy pedagogicznej profesora Mariana Węgrzynowicza. Pamiętam, ilu sławnych ludzi przybyło, by okazać swemu dawnemu wychowawcy miłość i wdzięczność. Teraz rozumiem, że nasz wychowawca wskazał właściwą drogę życiową bardzo wielu spośród swych uczniów. Pamiętam też obecnego na owym jubileuszu profesora Stuligrosza — był wtedy młodszy o kilkadziesiąt lat, lecz już znany i podziwiany. Przybył wraz ze swym chórem, żeby uświetnić uroczystość. Mam fotografię zrobioną tego dnia: profesor Węgrzynowicz, przygarbiony, szlachetny stary pan, stoi przy krawędzi podium, z którego uśmiecha się Stefan Stuligrosz i wyciąga do wychowawcy ramiona. Na twarzy „Dziadka” widać śliczny, czuły uśmiech. Pamiętam tę scenę nie tylko z fotografii: siedziałam, ubrana w białą bluzkę, na sali, w grupie uczennic, ciesząc się radością naszego „Dziadka”. Nie dotarło do mnie wtedy, że profesor Stuligrosz, słynny już ze zdolności pedagogicznych i ze swej troski o powierzonych mu chłopców, spłaca dług zaciągnięty u wychowawcy. Nie podejrzewałam nawet, że i ja w przyszłości będę miała potrzebę i możliwość spłaty mojego długu. I bardzo jestem ciekawa, na jakie sposoby płacą swoje długi wobec profesora Węgrzynowicza inni jego niezliczeni wychowankowie.

Panu Stefanowi Stuligroszowi dziękuję za wspaniałą „Pasję” i za piękną, ciekawą książkę, tak wiele mówiącą o naszym Poznaniu. Jeśli wolno, chciałabym też podziękować za cały jego wielki trud i za serce. To serce właśnie sprawia, że profesor Stefan Stuligrosz obdarza nas wszystkich Dobrem i Pięknem. Bóg zapłać!

\* \* \*

Uwielbiam Aleksandra Fredrę! — zakrzyknęłabym, gdybym była w Waszym wieku, Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy, i gdyby mi jeszcze wypadało wznosić entuzjastyczne okrzyki. Ale... właściwie... ech, co to jest tych parę latek różnicy. Wzniosę sobie okrzyk. A więc: UWIELBIAM ALEKSANDRA FREDRĘ! — jest to jeden z moich najulubieńszych pisarzy i jeden z najulubieńszych ludzi. Jego słowa, powiedzonka, żarciki z bajek i sztuk teatralnych towarzyszą mojej rodzinie już od czterech pokoleń. Zresztą, nic nadzwyczajnego; w niejednym polskim domu mawia się na co dzień: *Znacie? — no, to posłuchajcie! albo: Ej, serdeńko, bo cię trzepnę!, albo: Osiołkowi w żłoby dano — w jednym owies, w drugi siano, lub wręcz: O, zbrodniarzu! O, przekłety! Taka piękną niszczysz różę!* Fredro, po prostu, jest ulubionym pisarzem wielu spośród nas — i całe szczęście, bo dobrze jest, kiedy naród kocha tych pisarzy, którzy się śmieją. To od nich można się nauczyć błogosławionej pogody ducha, wspaniałomyślności i dobroci. Nie ma nic lepszego dla ludzi czytających. Zresztą, dla nieczytających też. *Uratował Polskę od ogólnej melancholii* — napisał w roku 1876 Stanisław Koźmian. A Tadeusz Boy-Żeleński w „Obrachunkach fredrowskich” zauważył: *Molier to czyn, Fredro to marzenie; ale właśnie to przepojenie utworu komicznego poezją, to nasycenie go pogodną, jakby epicką wizją współczesności lub przeszłości, ten jakiś szlachetny czar, to wszystko czyni Fredrę czymś odrębnym, jedynym w literaturze świata. Komedia, satyra, rodzi się w znacznej mierze z nienawiści; spojrzenie jest to najczęściej spojrzenie z dołu: Molier i Beaumarchais wypili w życiu wszelką gorycz i wszelkie upokorzenie i w nich hartowali swój talent. Fredro przyglądał się światu z ganku wiejskiego dworku; komedia jego jest dzieckiem nie nienawiści, ale miłości lub bodaj beztroskiej, nieco pańskiej pobłażliwości, i to może główne jej źródło niepodobieństwa do innych.*

Człowiek, który się śmieje, niekoniecznie jest ślepy na całe zło świata i na nieszczęście bliźnich. Pisarzowi, który żartuje, nie zawsze los oszczędził goryczy i upokorzeń. Być może pisarz w ten sposób — **na swój** sposób — stara się świat odrobinę naprawić, oswoić, a może nawet — ratować. Może też, całkiem po prostu, śmieje się — żeby nie płakać.

*Śmiech serdeczny potrzebny choćby dla odmiany,  
Bo śmiech, również jak smutek, od Boga jest dany.  
A chociaż się nań zżyma purytan posepny,  
Czysty niechaj się śmieje, a zgrzyta występny.*

— pisał na powitanie Fredry w Krakowie w roku 1869 Lucjan Siemieński.

*15 lipca 1876 roku (...) na poprzek szerokiego łóża siedział, na wół leżąc, człowiek wybladły, w spokojnym, prawie dziecięcym uśpieniu. Dusza sprawiedliwego, dusza wzniosła, szlachetna, poczciwa, kochająca, staczała ostatnią walkę, rozłączając się z ciałem — pisała Zofia Fredrowa o śmierci męża. Nie był aniołem, ale był dobrym człowiekiem. Jako człowiek ulegał namiętnościom, pokusom, słabościom ludzkiej natury. Skazany od młodości do grobu na dwie ciężkie choroby (...) nie umiał znosić cierpienia z cierpliwością i poddaniem się.* (Wojciech Natanson, „Sekrety fredrowskie” LSW 1984). Ten niepokodzony z cierpieniem człowiek, któremu w dodatku życie, jak to ono, nie szczędziło wymyślnych udręk, a bliźni, jak to oni — zawiści i dokuczliwości, stworzył dzieła rozkosznie śmieszne, radosne, czułe i soczyste, przepełnione barwami, rozprzestrzeniające, Od tyłu już lat, dobroczynną energią celnego, jędrnego humoru. Jeśli są one niekiedy zbyt celne, złośliwe i ostre wobec ludzkich wad, słabości i śmieszności — to przecież zawsze z przymieszką ciepła i wspaniałomyślnej wyrozumiałości.

Spośród arcydzieł Fredry najbardziej lubię „Zemstę” i „Pana Jowialskiego”. Nic więc

dziwnego, że wyczytawszy w prasie wieści o przedstawieniu w Teatrze Polskim („Zemście” w reżyserii Andrzeja Łapickiego!), popadłam w obsesję. Ot i kłopot! — do Warszawy jeździć nie lubię, bo jest rozdzierająco brzydka ze swoimi nuworyszowskimi wieżowcami, wszechobecnym brudem i zapachem smażonego tłuszczu, ze smutnym bałaganem i rozbebeszonym handlem ulicznym. Jednakże raz w roku udać się tam muszę — na Targi Książki, więc wymyśliłam, że można by za jednym strzałem ubić dwa drozdy. Bardzo chciałam zabrać na to przedstawienie młodsze dzieci, żeby choć raz w życiu zobaczyły „Zemstę” na żywo, w najlepszej obsadzie i w reżyserii Mistrza. Być może, myślałam sobie, jest to już ostatnia okazja ujrzenia aktorów, którzy potrafią nosić kontusz i mówić prawidłowo wiersz Fredry. Za parę lat to się może zmienić. Kto wie, czy nie znajdzie się śmiały młody reżyser, który obali konwencję i wystawi „Zemstę” w stylu amerykańskim, a potem już tak zostanie w tradycji teatralnej na zawsze.

Sprawa z wyjazdem okazała się jednak niełatwa, bo najwyraźniej podobnie jak ja rozumowały całe rzesze rodaków. Po bilety na „Zemstę” w Teatrze Polskim trzeba — powiedziano mi — ustawiać się w kolejkach z co najmniej miesięcznym wyprzedzeniem. Nie miałabym więc żadnych szans na realizację swego marzenia, gdyby nie „Łejery” — szkoła podstawowa o profilu teatralnym, działająca w Poznaniu. Jej dyrektor, Jerzy Hamerski, specjalista od realizacji marzeń, zwrócił się do zaprzyjaźnionej z „Łejerami” znakomitej pisarki Wandy Chotomskiej, a ta wspiana kobieta zdobyła dwadzieścia parę biletów na spektakl 15 maja.

Pięknie jest, kiedy marzenia spełniają się co do joty — myślałam, siedząc pośród oczarowanych dzieci w piątym rzędzie parteru, na wprost Daniela Olbrychskiego (zdecydowanie najbardziej rycerskiego i najprzystojniejszego ze wszystkich znanych mi Cześników), oraz wpatrując się rozkochanym wzrokiem w ulubionego Wiesława Michnikowskiego, który jako Dyndalski przeszedł — co nie do wiary — samego siebie. Lecz zaledwie przez parę chwil zdolna byłam myśleć na tak oderwane tematy. Potem porwał mnie wartki strumień fredrowskiej energii i czaru i już do końca spektaklu nie mogłam się opamiętać. Szczerozłoty wiersz, cudownie mówiony przez Olbrychskiego i Michnikowskiego, przez Papkina–Damięckiego, przez Rejenta–Gogolewskiego (!), przez Podstolinę–Barszczewską, porywa widza i unosi, pośród wybuchów śmiechu i uczucia prawdziwego szczęścia, do najmiłszego finału. Nic dziwnego, że zachwycona widownia dała wielką, burzliwą owację na stojąco. Ach, a ten Damian Damięcki! — co za Papkin kapitalny! — przede wszystkim miły, dzięki czemu ogląda się go bez męczącego uczucia bezradnej litości, przemieszanej z odrazą. Miły — choć przecież nadal tchórzliwy fanfaron, łgarz i pieczeniarsz bez godności. Ma jednakże tyle ludzkiego ciepła, tyle typowo damięckiego wdzięku, tak niewinnie rozwiera jasne oczęta, tak dziecinnie się śmieje — że musi wzbudzać sympatię, co chyba Fredro właśnie założył: wszystkie postacie tej arcykomedii mają być miłe; nawet świętoszkowaty Rejent obdarzony został tyloma śmiesznościami, że trzeba go lubić.

Niestety, najsympatyczniejsze z założenia postacie — pozbawieni choćby jednej wady kochankowie, Waclaw i Klara, już w samym tekście Fredry nieco nużą, zaś w wykonaniu dwojga nieco sztywnych aktorów — wprost irytują. Ale ich nienaturalność (Klara) i znudzona obojętność (Waclaw) to jedyne minusy tego przedstawienia, które poza tym można już tylko chwalić: za tempo i poczucie miary, za wdzięczną scenografię i piękne kostiumy, za czarującą muzykę Andrzeja Kurylewicza. Ten spektakl toczy się tak zgrabnie i dynamicznie, że w pewnym, aż trudnym do zniesienia, momencie człowiek już nie wie, na kogo ma patrzeć: na Olbrychskiego, na Damięckiego czy na Michnikowskiego (ach, te jego fantastycznie śmieszne, milczące komentarze do dialogu Cześnik–Papkin!).

Jednym słowem: Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy, idźcie czym prędzej na „Zemstę” do Teatru Polskiego w Warszawie! Zapewniam Was, że jeszcze nie widzieliście takiego Olbrychskiego, który nie ma chyba w swym dorobku roli zagranej tak frenetycznie, z takim

żywiółowym talentem komicznym (kiedy opowiada, jak się oświadczał Podstolinie, drobi nawet, składa rączki i trzepocze rzęsami! A jego scena z karabelą, z lubością rozbudowana, każe myśleć, jak też wyglądałby około pięćdziesiątki nasz ulubiony Andrzej Kmicic). Nie słuchajcie malkontentów, którym się wydaje, że człowiekowi inteligentnemu nie wypada się zachwycić niczym, choćby nie wiem jak było piękne i udane. My, ludzie młodzi, będziemy się zachwycać szczerze i całym sercem, zwłaszcza że przedstawieniem w reżyserii Andrzeja Łapickiego zachwyciłby się nawet Aleksander Fredro!

\* \* \*

Dobrze mi pod starą czereśnią, Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy. Gałęzie, oblepione owocami, zwieszają się nad stołem, mam też piękny widok na rabatę bylinową. Pachną róże (najmocniej — koralowa „Duftwolke”, żółty „Artur Bell” i blad różowa angielska „Heritage”). Szumią drzewa. U sąsiadów monotonnie mruczy betoniarka. Ciepło. Czytam sobie „**Ćwiczenia pamięci**” **Erwina Axera** (Wyd. Literackie 1998) — wybitnego reżysera, który jest świetnym pisarzem. Czytam i zachwycam się, a trochę mi przy tym smutno, jak zawsze, kiedy zajrzę w Otchłań Czasu. Czytam i wiem, że ta mądra i piękna książka w całej pełni zrozumiała będzie raczej dla czytelników od mojego rocznika wstecz. Młodsze roczniki, czytając, nie przypomną sobie brzmienia głosu Jana Kurnakowicza — bo na żywo go nie widziały, a telewizja już od lat go nie pokazała, poprzestając na nadawaniu w kółko amerykańskich seriali. (Och, jak chętnie stałabym się telewidzem, gdyby tak dano wielką retrospektywę najlepszych polskich przedstawień teatralnych!) Ludzie młodzi nie wiedzą też, o jakim to wydarzeniu mowa, gdy Axer wspomina swój spektakl „Kariery Artura Ui” — po prostu nie mogą tego pamiętać. Ja sama byłam licealistką, kiedy w latach sześćdziesiątych wybrałam się do Warszawy specjalnie, by zobaczyć to przedstawienie. Było dla mnie wielkim wstrząsem — chyba najsilniejszym w życiu, jeśli idzie o wrażenia teatralne. Do dziś pamiętam najdrobniejsze nawet szczegóły, scenografię, kostiumy, a przede wszystkim — wielką rolę Tadeusza Łomnickiego.

Widziałam później kilkakrotnie fragmenty „Kariery Artura Ui” — w kronikach filmowych i w TV — ale, rzecz jasna, był to blady cień tego, co przeżyłam w teatrze. Tym bardziej nie da się tego opisać. Sam Axer stwierdza z pewną rezygnacją: *Nie pozostaje w pamięci późniejszych generacji zmysłowa warstwa przeżycia teatralnego, nie pozostaje klimat. (...) Barwa, ton, wyraz gestu i sytuacji, atmosfera stworzona przez trudny do określenia układ wielu elementów pozostających w nieustannym ruchu, przesłanie czytelne dla obecnych na przedstawieniu, choć niełatwe do wysłownienia, niemożliwe do przekazania przy pomocy najlepszego nawet sprzętu elektronicznego, wszystko to rozwiewa się z ukończeniem spektaklu. Artysta — to zresztą jeden z uroków jego sztuki — nie może na drugi dzień, a choćby i tego samego dnia, powtórzyć swojej roli, niczego ani na jotę nie zmieniając.*

Fragment ten pochodzi z początkowego rozdziału „O nietrwałości aktorstwa”. Potem następuje piękna coda: *W pamięci świadka pozostały, zdawałoby się, na zawsze, niepowtarzalna intonacja, gest, poza, spojrzenie, prostokąt sceny, oddech zaciemnionej widowni. Wewnętrzny okiem, z zachwytem, ale nie bez grozy, ogląda rzeczy, których nie ma, które minęły dawno czy przed chwilą, to obojętne, i które jednak są.* — Wreszcie następuje cudownie napisane wspomnienie o Irenie Eichlerównie oraz fascynujący portrecik wielkiej aktorki niemieckiej Elżbiety Bergner. Szkic „Lear” zawiera bardzo przekonującą podobiznę Lawrence’a Oliviera i jego „Otella”, lecz i migawkę o Łomnickim, i refleksje o roli Leara. „Trzy po trzy o Kurnakowiczu” to już większy tekst, smakowity, pełen anegdot i zadumy, przedstawiający wielkiego aktora wiernie, plastycznie i żywo. *(Był radością serca)* — i dalej, o roli z lat trzydziestych: *Sir Toby, kreacja przepyszna, nie przeszedł do historii. (...) Bo też raczej żywotność, humor i zmysłowe oddziaływanie artysty zapewniły mu wtedy sukces u widzów. (...) Zresztą i tak nic by nie pomogło.* „Wieczór Trzech Króli” przeszedł do historii jako przedstawienie przerwane w połowie premiery. *Z lekka podochocony Grabowski każdą kwestię poprzedzał lakonicznym „tępier ja”. Reżyser Karol Borowski nie wytrzymał nerwowo i kazał spuścić kurtynę. Po czym wstał na proscenium i uzasadnił swoją decyzję nagłą niedyspozycją artysty. W recenzji z tego spektaklu Słonimski napisał, że „pijany reżyser wtargnął na scenę i przerwał pięknie się zapowiadające przedstawienie”. Łatwo pojąć, że bohaterami zdarzenia na wieki pozostali Borowski i Słonimski.*

Zupełnie nie pamiętam, czy mogłam na żywo obejrzeć największą rolę Kurnakowicza — księcia Konstantego w „Kordianie”, czy też raczej widziałam ją utrwaloną na jakimś filmie, ale wiem, że Erwin Axer z wielkim talentem opisał tę rolę i sportretował aktora najlepiej, jak w ogóle można to zrobić za pomocą słowa. Jest to portret ciała i duszy, i kreacji aktorskich, i emploi, i nawet sposobu pracy nad tekstem: *Osiągnął wtedy apogeum. Rola odpowiadała jego naturze, natura postaci. (...) Księcia pojmował dosłownie i słowo po prostu, najzwyczajniej, stało się na naszych oczach ciałem. Konstantego, jak go sobie Polacy wyobrażają, więc Kalmuka, Azjatę z duszą słowiańską, choć dziką, uosabiał doskonale, Rosję znał na wskroś, akcent i wymowa były mu pomocą, nie przeszkodą, ale te przychylnie okoliczności zdawały się fraszką bez znaczenia, kiedy na pierwszej próbie (...) zaczął czytać, a właściwie mówić na pamięć, po swojemu, tą swoją wymową przez zęby, zamilkliśmy wszyscy, wszyscy uszu nadstawialiśmy, bo każdy poczuł, nie było wątpliwości, że jesteśmy świadkami czegoś, co zdarza się raz na pokolenie albo i na dłużej, czegoś niesłychanego. (...) Grał w natchnieniu całą rolę już gotową (...) tu było wszystko, i żar jeszcze, namiętność, z którą ten Kalmuk wszystko stawiał na szale, żeby swojego żołnierza uratować.*

Łapię się na tym, że chciałabym cytować Autora bez końca, a to znak, że podoba mi się cała książka, bez wyjątku wszystkie szkice i opowiadania. Tych ściśle teatralnych jest dziewięć, na samym początku, potem następuje „Durrenmatt. Szkic do portretu” — niezwykle zajmujący i celny, dalej wypowiedź o książce życia (przeczytałam z zapartym tchem) i przejmujący, króciutki obrazek, impresja jak z Czechowa „Ah, les beaux jours!” — a potem już najciekawsze: obrazki z własnego życia, małe filozoficzne powiastki — delikatnie rysowane anegdoty, z upodobaniem tropiące żarty losu i w żart obracające jego wyroki. Chciałabym doprawdy przytoczyć w całości obrazek „Kelnerka” albo „Mołotow”, bo przecież niepodobna o nich opowiadać — są tak misterne i zwięzłe, napisane tak doskonale. Jest w tej książce wciąż obecna spokojna, znużona mądrość, nieco sarkazmu i pewna wyniosłość: jest zarazem i wiele emocji, starannie stonowanych, lecz z ukrycia nadających tym opowiadaniom blask ciepła i uroku. Znakomite poczucie humoru przepaja wszystko dyskretnym wdziękiem; czytając, nie będziecie rechotać i walić się po kolanie, lecz poprzestaniecie na rozbawionym uśmiechu, który zaraz zgaśnie, gdy Autor zechce przedstawić obrazek tragiczny — lecz uśmiech szybko pojawi się z powrotem, bo Erwin Axer zbyt wiele ma autoironii, by tragizować. Jest człowiekiem teatru — wybitnym przedstawicielem swojego zawodu, a ten uczy sztuki obserwacji, daje też w nagrodę, za trudy z tą pracą związane, poczucie zbawiennego dystansu wobec życia na tym świecie. Co najciekawsze: w tej książce nie ma cienia smutku, choć nie przypuszczam, by Autor go nie odczuwał, nie ma melancholii przemijania, nie ma odrobiny użalania się nad sobą czy bliźnim. Jest dyscyplina. To imponujące: nie ma ani jednego zdania, które byłoby „ZBYT”, ani słowa za wiele. Mały wgląd w przyczyny tego stanu rzeczy daje utwór zamykający książkę: „Zbrodnia i kara”. Być może od niego właśnie należałoby zaczynać lekturę „Ćwiczeń pamięci”. Odnalezione po roku w szufladzie zapiski, dotyczące pewnego wydarzenia w Leningradzie, ukazują sposób pracy nad tekstem: staranne szlifowanie, odwaga decyzji, bezlitosne skreślenia, poszukiwanie precyzji, w efekcie: czystość formy.

Dla Was (i dla mnie także) „Ćwiczenia pamięci” to szkoła pisania i myślenia. Szkoła bardzo dobrego stylu, smaku, który, jak się zdaje, z wolna zanika, sposobu myślenia i odczuwania, wypieranego usilnie przez... nie, powstrzymam się od ostrych wyrażań, powiem tylko: przez sposób myślenia i odczuwania właściwy dla Kaczora Donalda lub Myszki Mickey. Żeby nie zmienić się w Donaldów — czytajcie. Czytajcie książki pisane przez prawdziwych inteligentów. „Ćwiczenia pamięci” są nie tyle ćwiczeniami, co tratwą ratunkową.



\* \* \*

Ale zimno, Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy! W dodatku deszcz leje gęsto i hulają zachodnie wichry. Żeby nie tkwić całymi dniami w naszym letnim domku, palimy w kominku, który znajduje się na zewnątrz, pod dachem. Nie do wiary, jak porządnie można się ogrzać przy ogniu ze starych desek! Wczoraj dzięki temu tkwiliśmy na tarasie do drugiej w nocy; czytając zajadle przy świetle słabej żarówki, w ciszy wypełnionej szumem deszczu, szelestem liści i ostrym trzaskaniem iskier (deski bowiem są żywiczne, sosnowe). Jedni czytali Miłosza „Ogród nauk”, drudzy Gombricha „O sztuce”, a znów jeszcze inni, a mianowicie nasz dwunastolatek — „Siedemnastolatka” Bootha Tarkingtona, rozkoszne dzieło, wznowione (dziękujemy!!!) przez Prószyńskiego, w bardzo dobrej serii „Klasyka dziecięca”. Dwunastolatek co chwila wybuchał grubym lub też piskliwym rechotem albo wykrzykiwał, wzorem Williama Sylvanusa Baxtera, siedemnastolatka: „O, bogowie!”. Starsi go uciszali, ale już wkrótce mieli do uciszenia i mnie, gdyż skończywszy czytać Shirley Jackson, zabrałam się do książki, którą mi podarował na imieniny ksiądz Aleksander. Jest to „Chwała córę królewskiej” Bruce’a Marshalla, napisana w roku 1942, a przełożona smakowicie przez Jana Józefa Szczepańskiego. (Pax-owskie wydanie z roku 1993 jest zarazem szóstym wydaniem polskim). Spodziewałam się, że przejrzę tylko tę książkę i zostawię ją sobie na jutro, udając się roztropnie na spoczynek przed północą — ale nic z tego. Dość szybko przestałam się śmiać, potem poszłam po ołówek, żeby podkreślać ważne fragmenty, a po północy musiałam się odseparować od reszty towarzystwa, by nikt nie zauważył, że mam mokre oczy, a rękawem swetra wycieram nos. Skończyłam kompletnie zapłakana i bardzo podniesiona na duchu, zastanawiając się jeszcze długo potem, jak to się stało, że — znając przecież inne książki Marshalla — tej właśnie, tak ważnej, nigdy nie czytałam. Ksiądz Aleksander wyznał, wręczając mi ten prezent, że kiedy był dawno temu w seminarium, „Chwała córę królewskiej” stała się dla niego gwiazdą przewodnią.

Tak, mogę to zrozumieć. W istocie, jest to książka wielkiej mądrości, pełna przy tym łagodnego humoru i budząca wiele ciepłych uczuć. Od pierwszego rozdziału (kolejne ukazują, w różnych momentach życia, od 1908 do 1942 roku, skromnego proboszcza katolickiego w Szkocji, księdza Smitha) postać głównego bohatera budzi sympatię czytelnika; z pustym żołądkiem, zmordowany, ksiądz Smith pedałuje w deszczu i zimnie przez dwadzieścia mil, by odprawić dwie msze w odległych od siebie parafiach. Początkowo usiłuje się modlić o nawrócenie protestanckiej w większości Szkocji, lecz rychło rezygnuje, gdyż czuje, że modły te nie na wiele się zdadzą. Zaczyna więc modlić się za dusze tych, którzy muszą umrzeć w dniu dzisiejszym *w liczbie stu czterdziestu tysięcy, zgodnie ze statystyką*. Te akurat modły nie sprawiały mu nigdy trudności *ponieważ nappełniała go litość dla tylu nieświadomych bluźnierców, kłamców, tchórzów, skąpców, cieszących się powodzeniem biznesmenów i rozpustników, którzy przy ostatnim drgnieniu powieki muszą pojmować nagle straszliwy fakt, że ostatecznie objawienie było prawdziwe i że spis ich mactw, pijatyk, okrucieństw, obłapiań i plotek zostanie im odczytany przez Wszechmocnego Boga we własnej Osobie*. *Moknąc na swoim rowerze, ksiądz Smith myślał o wszystkich tych lekkomyślnych ludziach, których oglądał codziennie, wędrujących z pustym spojrzeniem po brzydkich ulicach. Bowiem tacy właśnie ludzie umierali w tej chwili, nudni mężczyźni w Moskwie i w Madrycie, uszminkowane stare kobiety w Perth i w Nowym Jorku, zebrani wszyscy w koszyku Boga jak mnóstwo zdziwionych, dyszących ryb. Oczywiście nie wszyscy oni pójdą do piekła, tak samo jak nie wszyscy poszliby do nieba. Jest przecież czyściec, gdzie ludzie słabi i światowi stają się czystymi, ponieważ nawet najlepszy z ludzi nie może się spodziewać, że dopcha się wprost przed Boskie Oblicze, strawiwszy całe swe życie na rozmówkach o parasolach i katarach.*

Ale zgodnie ze swą miłą, łagodną naturą — ksiądz Smith nie mógł zbyt długo poprzestawać na wyobrażaniu sobie takiego piekła, jakie malują teolodzy, ani takiego, jakie przedstawił krwisty ksiądz prałat O'Duffy na zebraniu stowarzyszenia męskiego w Tobermorry. Toteż, pedałując nadal w deszczu pod górkę, doszedł do następującego przekonania: *Wiemy, że piekło istnieje (...), ale nikt nam nie kazał wierzyć, że w piekle przebywa ktokolwiek. Nawet Judaszowi z Kariotu Bóg udzielił łaski ostatecznej skruchy pomiędzy jego upadkiem z drzewa a chwilą, gdy wypłynęły mu wnętrzności.*

Przedmiotem książki jest trwająca lat trzydzieści cztery droga księdza Smitha do świętości — i otóż, gdybym tylko tak Wam zarekomendowała „Chwałę córy królewskiej” (a trzeba przyznać, że i tytuł — cytat z psalmu — nie jest specjalnie zachęcający) — pewnie nie dalibyście się do niej przekonać, Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy. A przecież ta droga skromnego księdza jest zarazem (rzecz dziwna) drogą każdego z nas; i my żyjemy „w brzydkich miastach”, co prawda w zupełnie już innej, bo komputerowej, erze, lecz wciąż w tym samym okrutnym świecie osaczani hałasem, reklamą, paskudztwem oraz głupstwem. I my jesteśmy stale poddawani testowi przyzwoitości; co dzień, co chwila, mamy dane do wyboru dwa warianty postępowania: dobry i zły. Ksiądz Smith jest o tyle lepszy od nas, że ma całkowitą pewność tego, która z możliwości jest słuszna. Mimo to jednak błądzi, ginie w mylnych rozważaniach, podejmuje niewłaściwe decyzje, współuczestniczy w życiowych błędach innych ludzi. Ponadto, jego wiara i jego miłość zostają wystawione na dwie straszne próby: przeżywa dwie wojny światowe, a w tej pierwszej musi nawet brać udział jako kapelan frontowy. I wiara, i miłość księdza Smitha wychodzą z tych prób jeszcze bardziej niewzruszone. *Jest coś oburzającego i ohydneho w tym — konkluduje — że miliony ludzi uczy się nienawidzić i zabijać miliony innych ludzi. (...) Bowiem ludzie są na ogół jednakowo przeciętni, czy to będą Brytyjczycy, Niemcy, Rosjanie, Hiszpanie, czy Francuzi: przechwalający się rzeczami, które przekraczają ich siły, nie doceniający skromnie tego, co umieją zdziałać, kłamcy w bezpieczeństwie, prawdomówni w czasie grozy; tchórzliwi w palarniach, odważni w lejach armatnich; rozwieźli z obcymi kobietami, a czuli dla swych żon; wzdrygający się z obrzydzeniem na nędzę, której nie widzą, i spieszący z pomocą tej, która staje im przed oczyma; głupi do książek, mądrzy do śrub i obcęgów; wszyscy z brzuchami i wszyscy osamotnieni pod obojętnymi gwiazdami i niebem; wszyscy tak bardzo żałośnie wyglądający, gdy widzi się ich we śnie; i wszyscy uczynieni na obraz i podobieństwo Boga; przeraźliwi i wspaniali, z rzeszami, paznokciami i uszami. Na pewno obowiązkiem Kościoła jest sprawić, by kochali się między sobą.*

Łatwo powiedzieć. Sam ksiądz Smith odczuł na własnej skórze nienawiść rodaków, kiedy rozjuszony tłum obrzucił go kamieniami. A jeszcze przedtem, kiedy jechał z biskupem tramwajem i rozmawiał o modlitwie liturgicznej (*Poezja jest tym szeptem, który rozlega się w sercu młodzieńczym; wszystko inne jest tylko literaturą* — rzekł ksiądz Smith, na co biskup: — *To jest słuszne w pewnym zakresie, tylko że zakres jest zbyt wąski. Kiedy młodzi ludzie szepczą poezje w swych sercach, szukają Boga, chociaż mogą wcale o tym nie wiedzieć. Poezja właśnie jest odblaskiem religii, a nie religia poezji*) — zauważył, że ludzie w tramwaju zaczynają przyglądać się jemu i biskupowi wytrzeszczając na nich nieprzyjazne, błyszczące nienawiścią oczy. *Wiedział jednak, że patrzą tak tylko dlatego, ponieważ do tego stopnia przyzwyczaili się słuchać rzeczy bez znaczenia, iż gorszyło ich, gdy ktoś mówił o rzeczach istotnych. Gdyby biskup i on rozmawiali o akcjach stalowni lub o cenach juty, nikt nie spojrzałby na nich w ogóle. Skoro jednak mówili o sprawach, które jedynie nadawały sens życiu, słowa ich wzbudzały nienawiść, gniew i pogardę.*

Zetknięcie księdza Smitha z przejawami tej ludzkiej wrogości jest niezmiernie przykre dla czytelnika, któremu postać ta staje się bliska już od pierwszych stron książki. Czytelnik przecież sam dobrze wie, że nie ma nic bardziej bolesnego i zdumiewającego niż bezinteresowna wrogość — co mówię, każda wrogość — ze strony drugiego człowieka. Ksiądz Smith jest aż bezbronny w

swej dobroci i mądrości, i niemal po dziecinnemu zawiedziony, gdy spotyka się oko w oko z podłością. Nic dziwnego, że przy cechującym go dobrotliwym humorem ma ksiądz Smith w sobie także wiele smutku. Nie żywiąc w zasadzie złudzeń co do natury ludzkiej, pełen jest zarazem wielkiej wobec ludzi miłości. Mimo to *od czasu do czasu przerażało go wciąż na nowo straszne odkrycie, że dla większości ludzi na świecie sprawy duchowe, usiłowanie współdziałania z dobrem i pięknem, po prostu nie mają znaczenia.* A przecież nie wini za to samych ludzi. Już jako sześćdziesięcioletni kanonik, ksiądz Smith wygłasza przemówienie, w którym tłumaczy księżom *dłaczego świat nie został przekonany.* Ludzie — twierdzi — identyfikując Kościół z klerem, uważają, że ten pierwszy naucza moralności o małym, nie o dużym zakresie. *Słyszą, jak z kazalnicy naszych potępia się cudzołózców, złodziei i morderców, nie słyszą natomiast, byśmy potępiali pracodawców—wyzyskiwaczy, akcjonariuszy przedsiębiorstw zbrojeniowych, ludzi ciągnących zyski z filmów gangsterskich lub polityków godzących się na okrucieństwa w dalekich krajach — i pyta na koniec: — Czyż możemy sobie powiedzieć uczciwie, że zadaliśmy sobie trud, by wyjaśnić ten fakt ludziom dobrej woli? (...) Musimy uczyć ludzi, że zło nie staje się dobrem przez to, iż uprawia je zbiorowo cała społeczność. Musimy obstawać przy tym, by tak zwane bezużyteczne przedmioty wykładane były w naszych szkołach, bowiem to nie poeci są sprawcami wojen. Krótko mówiąc, musimy starać się uratować świat od nowej wojny, póki jeszcze czas, a jeden jest tylko sposób uczynienia tego: przez głoszenie pełnej, nieustraszonej nauki Chrystusowej —* mówił kanonik Smith w roku 1929 na zebraniu kapituły, ale nikt go nie zrozumiał. Zresztą, w roku 1942, gdy prawdopodobnie Bruce Marshall wkładał owe słowa w usta swego bohatera, nie było jeszcze wiele wiadomo o Oświęcimiu, Zagładzie i końcu tamtego świata.

Czy mógł się obawiać, że rzuca słowa na wiatr? Cóż, jeśli nawet się obawiał, to niesłusznie. Sześć polskich wydań tej książki wskazuje, że znalazł tu wielu czytelników, i to w różnych generacjach. Zachowam dla siebie swoje zuchwałe i różnorodne przypuszczenia szczegółowe, gdyż z całą pewnością wiem tylko jedno: że książka Bruce'a Marshalla przyczyniła się do uformowania pewnego wspaniałego księdza w Poznaniu. Miejmy nadzieję, że będzie wznawiana i czytana jeszcze długie lata! — nie zestarzała się nic a nic, przeciwnie — czas nadał jej zaskakującą aktualność, mimo wszystkich zmian, jakie przyniosły — także i Kościołowi — ostatnie dziesięciolecie.

Bardzo bym się cieszyła, gdyby mi się udało Was do niej zachęcić. Dodam z naciskiem jeszcze jedno: jest piękna i czyta się ją świetnie, z uczuciem radości, i to nawet w zimną, deszczową noc na owiewanym wichrem tarasie.

Jak tylko poprawi się pogoda — wsiadam na rower i pędzę do biblioteki gminnej w miasteczku po wszystkie książki Marshalla.

A potem może już padać.

\* \* \*

Niestety, nie mogę zaakceptować takiego klimatu, Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy: na widok tego, co się dzieje, ogarnia mnie gwałtowny sprzeciw. Co, u licha — co to ma być za lato? Najpierw ziąb jak w listopadzie, wilgoć i wiatr, teraz znów okropnie gorąco. Jak to mają rozumieć te biedne rośliny? Graham Thomas, angielska wielkokwiatowa róża parkowa, wyhodowana w 1983 roku przez samego Austina — ciepłozółta, pełna, taka sama jak te wdzięcznie przegieęte kiście ze starych tapet — nie wytrzymała żaru lejącego się z nieba: wygląda, jakby spłonęła. Jestem niepokieszona, choć ocalały mi jeszcze dwa krzewy tego gatunku. Ale też do czego to podobne, żeby słońce szkodziło róży, o której Niemcy mówią: „Sonnenkind”!

Jednakże... zaglądam do swej ulubionej książeczki o poźółkłych, miękkich kartkach (prezent od pani Wandy B., za który raz jeszcze serdecznie dziękuję) — **„Róże w ogrodzie jako najpiękniejsza, najekonomiczniejsza ozdoba — ich przeszłość, terażniejszość, przyszłość — napisał Bronisław Gałczyński. Nakładem autora — Piaseczno pod Warszawą, rok 1927, cena 5 zł”** i czytam: *Róża jest jak dobrze urodzona i wychowana dama, która nie lubi przesady pod żadnym względem. Lubi słońce, ale nie lubi smażyć się od rana do wieczora. Zwłaszcza różom czerwonym szkodzi w upały pełne południowe słońce. (A! No, właśnie! Żółtym też szkodzi, jak się okazuje). Po południu róża, zwłaszcza czerwona, lubi cień. Ale spróbujmy ją posadzić w zupełnym cieniu, pod drzewami itp., albo w głębi przeciętnego warszawskiego podwórka — a zrobimy z niej brzydką i nieszczęśliwą istotę. Nie lubi miejsc wystawionych na wszystkie wiatry. Pod tym względem nie zgadza się ze Słowackim i nie wybrałaby nigdy „zamiast domu—gniazda na skalach orla”, nie umiałaby spać, „gdy źrenice czerwone od gromu i słyhać jęk szatanów w sosen szumie”. Nawet góralka między różami — róża Alpejska — rośnie w górach tylko w miejscach zacisznych. (...) Ale róża nie lubi także miejsc szczelnie przed wszelkim wiatrem zasłoniętych. W takich miejscach jej duszno.*

Pan Bronisław Gałczyński pisał o róży per „istota”. Musiał to być miły człowiek. Lubię sobie wyobrazić, że był, dajmy na to, stryjem Konstantego Ildefonsa, albo raczej jakimś bocznym dziadkiem; chociaż, zdaje się, to niemożliwe, pewnie były różne rody Gałczyńskich — skromne i zamożne. Ale pan Bronisław był poetyckiego usposobienia, co nie wykluczało zresztą posiadania dobrodusznego i miłego poczucia humoru; żartował, udzielając cennych porad ogrodniczych; swobodnie cytował Anakreonta, Goethego, Słowackiego i księdza Sarbiewskiego; znał się na świecie starożytnym i na średniowieczu równie dobrze, jak na ogrodnictwie, botanice, zoologii i chemii. Najwyraźniej zbyt lubił poezję, by mieć za złe Mickiewiczowi, że „depcze po różach”: *Za czasów Mickiewicza i Słowackiego — pisze — nie było jeszcze remontantek. Toteż róża dla Mickiewicza była obrazem rzeczy nietrwałej, szybko przemijającej, niemal płytkiej i powierzchownej. (...) „Lecz jak róża zabłyśnie i wnet oko zmruży, wnet giną w ziemi liście, w sercu pamięć róży”... Pamięć róży zginęła w sercu Mickiewicza. W Soplicowie nie ma róż. Nawet w sonetach krymskich nie ma róż. (...) U Mickiewicza wyraz „róża” owiany jest smutkiem: róża jest dla Mickiewicza tylko sposobnością do pomyślenia o marności tego świata. (...) Słowacki natomiast lubił róże i znał się na różach. W poezjach swoich używa on prawie tyle róż, co błyskawic, ale myliłby się, kto by sądził, że dla Słowackiego róża to tylko symbol. Słowacki zna róże nie z literatury, a z ogrodu, obserwuje je uważnie i opisuje po mistrzowsku. Rzadką bardzo u nas odmianę róży — *Rosa Lutea Bicolor* — którą Kluk nazywa turecką i której płatki kwiatowe są wewnątrz czerwone, a zewnątrz żółte — opisuje Słowacki jak ogrodnik, lepiej niż ogrodnik — jak botanik. Oto ten opis:*

*Nie płonie ona tak, jak miłość płonie,*

*Ani niewinność białym znaczy kwiatem —  
Lecz tak, jak ogień przy Eblisa tronie,  
Błyszczący na przemian złotem i szkarłatem.*

*Wszystkie wdzięki i wszystkie zapachy róż, które były wówczas znane, rozsiane są obficie w jego dziełach. (...) Wobec tylu dowodów znajomości róż i sympatii dla róży, jakie w dziełach swoich złożył Juliusz Słowacki — przyszłe polskie Towarzystwo Przyjaciół Róży powinno w lokalu swoim wmurować tablicę marmurową, na której byłby następujący napis:*

*Juljuszowi Słowackiemu  
Pierwszemu Polakowi  
Który kochał róże I znał się na różach.*

*Projekt tej tablicy, a jakże, zamieszcza pan Gałczyński na stronie trzeciej swego dzieła (Projektował architekt Adam Knauf). A na ostatniej stronie książki, tuż przed spisem treści, widnieje ogłoszenie:*

*Kogo obchodzi sprawa powstania Towarzystwa Przyjaciół Róży, niech przyśle swój adres autorowi niniejszej książki, a otrzyma zawiadomienie o czasie i miejscu zebrania organizacyjnego. Adresować proszę: B. Gałczyński, Piaseczno pod Warszawą.*

*Miałabym ochotę wybrać się do Piaseczna i popytać, gdzie był ów wielki ogród pana Gałczyńskiego. Może ocalał? Może istnieje jeszcze choć skrawek tego czarownego miejsca, pełnego arkad różanych, uroczych zakątków, widocznych na fotografiach z podpisem: „W ogrodzie autora”, wysokich bukszpanowych żywopłotów i ptaków. Śpiewem swoim, gwarem i świergotem sprawiają, że w ogrodzie jest nie tylko na co popatrzeć, ale i czego posłuchać. (...) Ogród bez ptaków byłby jak balet bez orkiestry. Skrzydlate te muzykanty i śpiewaki posiadają liczne talenty. Wybitni soliści o długich cienkich dziobkach są zwykle szaro ubrani, usposobienie mają nieśmiałe, stronią od tłumu, i śpiewają z ukrycia, najchętniej wieczorami, gdy inne ptaki śpią. Za to ci z chóru lub z orkiestry zwykle są pięknie postrojeni i tańcem swym wśród gałęzi niemało przyczyniają się do uroku tego widowiska, jakim jest ogród na wiosnę. Może przynajmniej kwitnie gdzieś stary krzew prześlicznej Mrs Henry Morse. Barwa jej jest bardzo trudna do opisanie. Można powiedzieć, że przypomina barwę twarzy młodej i ładnej, nieco zarumienionej blondynki (nie opalonej). Jest zresztą prawie równie zmienna.*

*Może też powinnam pochodzić po Warszawie i znaleźć park Skaryszewski, by sprawdzić, czy istnieje jakiś ślad po rozarium, tak dobrze się prezentującym na fotografiach pana Gałczyńskiego. Najpiękniej jednakże wygląda własny jego ogród, w którym łuki dla róż pnących wykonywało się — jak informuje podpis — z długich leszczynowych prętów, co tworzyło *bramkę piękniejszą niż tryumfalne bramy Cezarów*. Przed domem autora rozległe różane rabaty otaczają trawnik. Dom jest ładny, piętrowy, z podcieniami. Na jednym ze zdjęć przed tym domem stoi wdzięczna dziewczynka z białą kokardą na czubku krótko ostrzyżonej głowy. Ubrana jest w jasną sukienkę o modnej, przedłużonej talii i krótkich rękawkach. Przed nią ustawiono stolik z wazonem (*W wazonie stare remontantki, w ręku gałązka róży faldzistolistnej* — głosi podpis). Na innej ilustracji piękna młoda pani o przenikliwym spojrzeniu ciemnych oczu stoi przed drewnianą kratką altany, na głowie ma biały kapelusz o niskich, szerokich skrzydłach, spod których widać zaczesany na policzki czarny, gładki kosmyk włosów. W zagięciu łokcia pani piastuje bogaty bukiet. Podpis oznajmia: *Cóż lepiej ubiera kobietę niż róża. Obok ilustracji, w tekście dotyczącym powstania remontantek, bardziej trwałych niż dawne odmiany: piękne kobiety (każda kobieta jest dla kogoś piękna), skoro dowiedziały się, że istnieją róże, które, przypięte do sukni balowej, nie opadają**

*przed kolacją, tylko trwają aż do białego mazura, zażądały natychmiast jak najwięcej takich róż. Róża stała się artykułem codziennego zbytku.*

Na trawniku przed domem autora — *basen, w którym woda ogrzewa się i nabiera powietrza przed podlaniem. „Fot. B. Galcz”*. — informuje petit w prawym rogu. A więc to nie sam pan Gałczyński stoi w głębi, u końca jasnej alejki, biegnącej przez dywany róż ku ścianie olbrzymich, starych drzew. Ten mężczyzna, ledwie widoczny, bo fotografia jest źle zreprodukowana, pomniejszona, szara i nieostra — jest ubrany w ciemną marynarkę. Przez rękę przewiesił jasny płaszcz, głowę ma przechyloną w sposób właściwy dla człowieka uprzejmego. Jest wysoki i szczupły. Stoi w pozie swobodnej, wytwornej, przy krawędzi alejki, a po przeciwnej jej stronie widnieje sylwetka dziewczynki w jasnej sukience. Jakiego koloru? — nie wiadomo. Utrwalone na kliszy duchy niegdysiejszych róż są tak samo jasne jak ta sukienka i ten płaszcz, choć wyraźnie jaśniejsze niż niebo. Ten pan pewnie już nie żyje. A dziewczynka? Ciekawe, co się z nią działo, gdy wyszła z tego ogrodu. Ciekawe, czy przeżyła wojnę, która miała wybuchnąć za dwanaście lat.

Łapię się na tym, że tak samo żal mi tej dziewczynki, jak tego pana i jak tamtych róż. Wszystko przez Grahama Thomasa. Nie, no naprawdę: trudno lubić tutejszy klimat.

\* \* \*

Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy, nadal piszę do Was z wakacji, z mojego ogrodu, ale wiadomości nie są dobre: dostrzegam już pierwsze oznaki końca lata. Floksy przekwitają. Mieczyki wysuwają spomiędzy liści wąskie ostrza, za płotami widać puszyste czupryniki astrów. Na trawnik coraz częściej spływają pojedyncze żółknące liście. Co dzień objeżdżam na rowerze tutejsze cudowne okolice (morenowe wzgórza, pod którymi błyszczą oczka jezior, pola, ciche już po żniwach, i wielkie szumiące lasy bukowe i sosnowe) — i widzę, że w sadach czerwienieją już jabłka, a śliwy są oblepione fioletowymi owocami. Wracam do naszego domku i złowieszczo ogłaszam: — Idzie jesień! — Od melancholii ratują mnie, jak zwykle, własne dzieci, które odpowiadają, że to całe szczęście, bo one dość już mają wakacji i tęsknią za szkołą (jak co roku, przejdzie im to już w listopadzie). Ratują mnie także przyjaciele, którzy wpadają tu często i licznie, przywożąc pokrzepienie. Większość z nich przywozi też książki. Przyjaciółka–feministka zdobyła dla mnie „Smażone zielone pomidory” Fannie Flagg (Zysk i S–ka) — bardzo śmieszna i lekka w czytaniu powieść, której akcja toczy się w Alabamie, w dwu płaszczyznach czasowych, zaplatających się niespodziewanie, złośliwie i niebanalnie. Przyjaciółka–Matka Karmiaca pożyczyła mi „Trzy po trzy” Fredry, pogryzmołone kredkami przez jej pociechy. Paweł przywiózł nowość wydawnictwa „W Drodze” — „Najdroższej Dianie” — listy błogosławionego Jordana z Saksonii do błogosławionej Diany Andalo (jeszcze nie przeczytałam). Przyjaciele–artyści dostarczyli drugą powieść Fannie Flagg — „Daisy i cudotwórca” (też Zysk i S–ka) — niestety, dużo słabszą od „Pomidorów”, zaś ksiądz, zwany Molem Książkowym, przybył pewnej upalnej niedzieli, by wręczyć mi dziełko kupione w sklepie „Książki w ulubionej cenie”; jest stałym bywalcem wszystkich tych poznańskich składnic książki precenionej i zawsze znajduje w nich coś niezwykłego. Tym razem przywiózł reprint wydany w Poznaniu w roku 1990 — „**Gospodyni doskonała, czyli przepisy utrzymywania porządku w domu i zaopatrzenia go we wszystkie przyprawy, zapasy apteczkowe i gospodarskie, tudzież hodowanie i utrzymywanie krów, cieląt, świń, indyków, kur, kaczek, gęsi itd. (...)**”, Poznań, nakładem i drukiem Fr. Chocieszyńskiego, 1889”. Ksiądz Mól Książkowy zasugerował, bym wykorzystała we „Frywolitkach” fragment tej książeczki, wskazując na jego uderzającą aktualność, po czym założył okulary i z pełną surowości powagą odczytał rozdziałik pomieszczony między rozdziałem „Czem kury karmić w ogóle” a rozdziałem „O karmieniu młodego ptactwa robaczkami sztucznie wytworzonymi”. Oto odczytany fragment „Jak wyuczyć kapłona, aby wodził kurczęta”: *Do tego trzeba wybrać kapłona dużego i dobrze pierzem porosłego, i trzyma się go przez dwa lub trzy dni za nogę, uwiązanego niedaleko klatki, w której się kurczęta znajdują. Gładzi się go często przez ten czas po grzebieniu, kurczętom zaś tuż koło niego jedzenie posypuje, powtarzając często nad nim kwok! kwok! kwok!, jako też inny głos używany przez kwoki do ostrzeżenia piskląt, że im jakie niebezpieczeństwo zagraża, a który każdy łatwo naśladować umie. Po trzech dniach takiej nauki (...) można mu już je całkiem oddać w opiekę. Jeśli zaś jest upartym, można mu dawać przez trzy dni co rano chleba moczzonego w wódce, aby go przyprowadzić do stanu niejakiego odurzenia. Wyskubać mu przy tern piórka spod brzucha, a gołą skórę oparzyć pokrzywą. Gdy go się następnie zamknie w ciemnym miejscu z kurczętami, rad będzie, iż one cisnąć się będą pod niego, jak pod kokoszę, gdyż łagodzić mu będą świerzbień pokrzywą spowodowane. Takim sposobem przyzwyczaj się go i przywiąże do nich, a pewno żadna kura troskliwiej ich wodzić i staranniej ochraniać nie będzie. Trzeba go tylko przymusić, aby nie zjadał jadła kurczętom, dlatego dawać mu pokarm osobno należy, a od jadła kurcząt odganiać różgą. Po kilku takich naukach i karach nie tknie się już tego, co jedzą kurczęta. Tak wyuczony kapłon służyć może przez kilka lat za wyborczego przewodnika kurczętom.*

Wysłuchałam w osłupieniu przeczytanego mi fragmentu, usiłując dociec, jakie to treści wydają się Księdzu Molowi Książkowemu tak aktualne, oraz pojąć, dlaczego właściwie przyucza się kapłona, by wodził kurczęta, skoro pierwsza lepsza, nawet najgłupsza kura umie to robić bez przyuczenia. Zapytany o to Ksiądz M. K. wyjaśnił, że bynajmniej nie każda umie. Zdarzają się, powiedział, kokoszki wyrodne, albo też pełne wygórowanych pretensji lub zwyczajnie niedorozwinięte pod względem hormonalnym. Nie chcą one wodzić swych kurcząt lub też nie umieją, choćby chciały.

On objaśniał, a ja nadal nie rozumiałam, dlaczego kazano mi o tym pisać we „Frywolitkach”. Nie rozumiem do teraz i pewnie pozostanie to tajemnicą księdza M. K., który ostatecznie swych pobudek nie objaśnił, lecz przeszedł do wypytywania mnie o stan prac nad powieścią „Tygrys i Róża” (jest moim wiernym czytelnikiem). Usłyszawszy, że z powodu rozleniwienia wakacyjnego autorki powieść ta jest na razie w fazie mniej niż wstępnej, ksiądz M. K. udzielił mi nagany, po czym zażądał przechadzki. W trakcie spaceru wypytywał, czy przewiduję katharsis dla bohaterki zwanej Tygrysiem, oraz dowiadywał się o dalsze losy swej ulubionej postaci, pana Jankowiaka; chciał też wiedzieć, za kogo wreszcie wyjdzie Natalia, ale niestety nie mogłam mu odpowiedzieć, bo sama tego nie wiem.

Tak to było tej upalnej niedzieli. A znów któregoś chłodnego, deszczowego wtorku pojechałam z córką i synkiem do ślicznego Torunia, gdzie zwiedziliśmy chyba wszystkie kościoły, dom Kopernika oraz ruiny zamku krzyżackiego. Nieopodal tych murów, w starym spichlerzu, na piętrze, znajduje się antykwariat książkowy. Wchodzi się doń po wąskich schodkach skleconych w naszym stuleciu, mijając belkę stropową z czasów krzyżackich, która ma przekrój mniej więcej pół metra kwadratowego. Na drzwiach wisi tekturka z nagryzmołoną informacją, że nie prowadzi się tu żadnego skupu książek — tym większe więc zdumienie ogarnia wchodzącego, gdy widzi naprawdę ogromne zbiory, zgromadzone na licznych regałach i półkach. Podłoga ugina się nieco pod stopami; małe okienka spichrza wpuszczają nikłe światło, ale i tak widać, że każdy regał opatrzone jest kartonikiem, przypiętym pinezką, z wypisaną kopiającym ołówkiem nazwą działu („Teatr”, „Literatura bułgarska”, „Technika”, „Sport” etc). W dziale starych czasopism, obok roczników „Dookoła świata” znalazłam rocznik „Ty i ja”, oprawiony przez porządnego introligatora, za jedne 3 złote. W ogóle, znalazłam mnóstwo świetnych książek, bardzo tanich! Właściciel antykwariatu — chudy, wysoki pan o siwej czuprynie i płonących oczach, odziany w granatowy kitel magazyniera — zaskoczony, przerwał na krótko swe wyniosłe milczenie, gdy wtaszczyłam do jego kantorka stosy zakupów. Zapakował mi to wszystko do czterech dużych worków plastikowych i wyraził żal, że od dawna nie podwyższał cen książek.

Pojechaliśmy tam znowu, tydzień później. Lecz najwyraźniej za pierwszym razem zdołałam wybrać z półek wszystko, co najciekawsze, bo za drugim wróciłam z dwiema tylko książeczkami (wspomnienia Ireny Lorentowiczówny oraz „Znaszli ten kraj?” Boya, Czytelnik 1945, z pieczętką „Ośrodek Sportów Wodnych Kuratorium Okręgu Szkolnego Wrocławskiego”, Wrocław, ul. Na Grobli 30 i 32). To dlatego piszę tak otwarcie o tym antykwariacie, ryzykując, że zaraz połowa czytelników „TP” ruszy w zdradzonym przeze mnie kierunku i spenetruje tajemniczy obiekt. Bez obawy. To ja mam przedwojenne wydanie Makuszyńskiego. Natomiast, gdyby ktoś znalazł tam drugi tom „Dziejów Pendennisa” Thackeraya, to bardzo proszę zostawić go w spokoju: tom pierwszy jest u mnie.

Na tym kończę, Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy, bo czas nagli: zaraz wsiadam na rower i pędzę do miasteczka, gdzie w sklepie rolno-ogrodniczym odłożono dla mnie trzydzieści cebulek *lilium candidum* (przypominam wszystkim amatorom ogródków, że po połowie sierpnia czas sadzić ten właśnie gatunek lilii). Pojawiły się także cebulki tulipanów, ale z tym można jeszcze poczekać.



Zabawne. Nadzieja na nowe lilie, które ujrę już w połowie przyszłego lata, pozwala mi zapomnieć o jesiennej melancholii i o tym, że od widoku białych, pachnących kielichów dzieli mnie jeszcze dokładnie rok, w tym pięć miesięcy zimowych.

Dobrze jest mieć perspektywy na przyszłość.

\* \* \*

No, proszę! — a ja wiedziałam, że tak będzie: lato się skończyło. Skończyły się śniadanka na zalanym słońcem tarasie, w towarzystwie ptaków, dzieci i motyli. Skończyły się kolacyjki przy księżycu, świerszczach i Mozarcie oraz Elli Fitzgerald. Niestety!... niestety. Obiecywałam sobie (jak co roku), że zostanę sama na działce przez cały wrzesień, a może i październik, i będę pisać, w przerwach (długich, jak najdłuższych...) doglądając róż i wyprawiając się rowerem w nieznanne. Jak co roku, stało się inaczej. Gdyby nawet nie zwyciężyło we mnie to samo co zwykle poznańskie poczucie obowiązku (dzieci do szkoły, a kto ugotuje, kto zadba, kto dopilnuje, a jeszcze zebrania, a sympozja, a mnogie powinności) — i gdyby nawet nie nawiedził nas ów cyklon, który przywiał arktyczne zimno oraz deszcze — wypłoszyłyby mnie myszy. Coś z nimi jest nie tak — jak uzgodniliśmy w gronie rolników i działkowiczów, kupując w naszym ulubionym sklepiku małomiasteczkowym cebulki tulipanów Rose Wings. Paskudne gryzonie zachowywały się w tym roku nietypowo, i to nie tylko u mnie — to dałoby się z pewnością łatwo objaśnić nietypowymi zachowaniami gospodyni — lecz u wszystkich. Nie opuściły, mianowicie, siedzib ludzkich na lato; przeciwnie, zadomowiły się w nich na dobre, wyzerając korytarzyki i pasaże w styropianie ocieplającym ściany. Takie postępowanie myszy świadczy — zdaniem moich rozmówców, ludzi wielce doświadczonych i obytych z przyrodą — o zbliżaniu się wczesnej i srogiej zimy. Mrozy powinny nadejść już w październiku, domy zaś nasze zostaną opanowane i podbite przez hordy zziębniętych, wynaturzonych, zdesperowanych i zdeterminowanych myszy, a może nawet i szczurów. Okropna wizja! (dajcie mi flet! — królestwo za flet!) — zwłaszcza w połączeniu z takimi zjawiskami, jak kryzys w Rosji, protesty rolników, anarchia na zwirowisku etc. Znikąd pociechy, znikąd ratunku. Normalną reakcją normalnej kobiety, która natyka się w swej kuchni na ohydnie zwinne, obmierzłe stworzonko, węszące bezczelnie pomiędzy talerzami i wygryzające dziury w torbie z kaszą, jest natychmiastowe wydanie atawistycznego okrzyku wstępu i oburzenia (patrz: „Takie sobie bajeczki” Kiplinga). Zachowywałam się tak stereotypowo przynajmniej trzy razy dziennie, choć przecież uważam się za osobę zrównoważoną i daleką od stanów histerycznych, jak też od atawizmów. Jednakże nie były to jeszcze najgorsze chwile; najgorszy był widok myszy, wybiegającej aroganckim truchcikiem spod mojego łóżka. Ten widok właśnie skłonił mnie do kapitulacji i odwrotu. Bez zbędnych namysłów spakowałam cały majdan i ruszyłam w ślad za dziećmi, które uciekły już wcześniej, a działania moje cechował starannie maskowany popłoch. Za sobą pozostawiłam piękny ogród, wciąż jeszcze w fazie bujnego rozkwitu, oraz — chyba dla podreperowania sobie samopoczucia — dziesięć morderczych pułapek z przynętami (od kiełbasy poprzez słoninę, ser i chleb, aż po czekoladę Sucharda, którą — jak mi powiedziano — myszy wprost uwielbiają). Przedemną rozpościera się teraz szara i jałowa pustynia posepnych miesięcy wielkomijskich. W mieście — przeludnionym, hałaśliwym, zakopconym i zapchanym korkami — jest okropnie. Za to nie ma tu myszy. Na pociechę mam też w Poznaniu księgarnie i właśnie w jednej z nich (ARSENAŁ — Książki w ulubionej cenie) znalazłam — o, radości! — wspomnienie lata: biografię **Elli Fitzgerald**, wydaną w roku 1995 przez Amber (tylko trzy złote!), napisaną przez **Stuarta Nicholsona**, w beznadziejnym przekładzie, już nie powiem czym, bo potem taki człowiek okropnie cierpi. Cóż — przyznaję, że książka ta słusznie została przeceniona. Wydano ją niechlujnie i brzydko, a w dodatku jest nudna, gdyż autor — podobno krytyk jazzowy — zajął się nie tyle Ellą, co wirowaniem wokół niej chmary pasożytów, czyli funkcjonowaniem amerykańskiego przemysłu rozrywkowego. Nicholson omawia też niezmiernie szczegółowo przebieg kariery Wielkiej Damy Jazzu, drobiazgowo analizując składy kolejnych towarzyszących jej zespołów, wgłębiając się w działania mechanizmów promocyjnych i sypiąc mnóstwem nikomu niepotrzebnych dat, liczb, nazwisk i

faktów. Wielbicieli talentu Elli Fitzgerald, do których grona od lat się zaliczam, książka ta nie może zadowolić. Kogo bowiem obchodzą intrygi i roszady personalne w zespołach, kto chce wiedzieć, jak się nazywali kolejni producenci i promotorzy? Cała ta masa detali, najzupełniej nieistotnych z naszego punktu widzenia, nie objaśnia w najmniejszej mierze fenomenu Elli Fitzgerald; takiego objaśnienia — a przynajmniej jego próby — moglibyśmy przecież po autorze oczekiwać. Bez większych zresztą nadziei, by to się powiodło, gdyż każdy geniusz stanowi dla zwykłych śmiertelników zagadkę. Toteż, zamiast próbować tę zagadkę rozwikłać, lepiej jest po prostu się zachwycić tym, co geniusz tworzy. Innymi słowy — zamiast być analitykiem i krytykiem (jakże łatwo się w tej roli ośmieszyć!), lepiej jest stać się po prostu Oczarowaną Publicznością.

Sęk w tym, że nie każdy to umie. Nie każdemu na to próżność pozwala. Stuart Nicholson mocno się wymądrza, pisząc o wspaniałej artystce to pobłażliwie, to nieelegancko, to znów w tonie plotkarskim, i usiłując wydobyć na światło dzienne to, co ona sama najstaranniej skrywała. Uwypukla więc jej nieśmiałość, skrępowanie z powodu nadmiernej tuszy, wstyd z powodu pochodzenia i pełnych nędzy lat wczesnej młodości, braki w towarzyskim obyciu. W swoim dręczącym poczuciu niższości Ella Fitzgerald wołała kryć się w cieniu, nie udzielała wywiadów, była skromna (nadmiernie skromna — pisze Nicholson). Tylko wobec ludzi, których dobrze znała i którym ufała, potrafiła być rozbrajająco szczerą i bezpośrednią.

Jednakże książka Stuarta Nicholsona nie jest zupełnie pozbawiona zalet, nawet przy całej tej przykrej małostkowości i atmosferze magła (rażącej zwłaszcza w partiach dotyczących młodości Elli). Przynosi mianowicie porcję wzruszających starych fotografii (najpiękniejsza z nich pochodzi z lat 1938–1940 i jest dziełem Carla van Vechtena; przedstawia uroczo uśmiechniętą, pełną ciepła i dobroci Ellę, która siedzi w pozie zakłopotanej wieśniaczki) oraz kilka ujmujących wypowiedzi przyjaciół artystki.

*Ego Elli nie jest wielkie, ona nie zdaje sobie sprawy ze swych osiągnięć* — oto słowa Benny Cartera, potwierdzone przez wspomnienie fety na cześć dziewiętnastolecia jej działalności w branży rozrywkowej. Ella Fitzgerald otrzymała tego wieczoru osiemnaście nagród i — od Decca Records Company — plakietkę, upamiętniającą sprzedanie dwudziestu dwu milionów jej płyt. Przemówiła wtedy ze łzami: — *Myślę, że to, czego każdy z nas pragnie, to kochać i być kochanym. Wiedzieć, że kochacie mnie za mój śpiew, to zbyt wiele dla mnie. Wybaczcie, że nie znajduję słów. Może mi się uda to zaśpiewać, i zrozumiecie.*

Herb Caen: *W Elli nie ma chytryści. Jest dużą kobietą, której wykonania są naturalne i prostolinijne, tak że zmienia się w małą dziewczynkę. Piękną małą dziewczynkę. Ma w sobie godność niewinności i śpiewa niewinnie, mocno wkorzeniona w jazz, ten rodzaj szczęśliwego, zapadającego w serce jazzu, omal nie zamrożonego na śmierć przez chłodnych młodych ludzi.*

(W tym miejscu czuję się zmuszona do podkreślenia, że cytaty, jakie przytaczam, mogą służyć za wyjaśnienie mej niechęci do autora przekładu).

Idźmy jednak dalej.

Wypowiedź pianisty Lou Levy'ego: *Sądzę, że to jej uczciwość tak przemawia do publiczności.*

Wokalistka Rosemary Clooney: *To ciepłe brzmienie jest częścią jej samej, przedłużeniem jej osobowości. To jest ujmujące i wzruszające, bo ona jest otwarta i dziecinna. Istotą stylu Elli jest pokora. Śpiewa swoje piosenki prosto, bez sztuczności. Im akompaniament jest prostszy, tym większe zdaje się jej człowieczeństwo.*

W niewiarygodnie wielkim dorobku twórczym Elli Fitzgerald nie ma jednak ani jednej piosenki, która by ją obnażała, piosenki, jakich wiele można by znaleźć w repertuarze Billie Holiday, Judy Garland czy Edith Piaf — zauważa Stuart Nicholson i konkluduje nie bez pewnej przygany: *Śpiew Elli był wzorem dobrego smaku, połączonego z nadzwyczajną techniką.*

Autor, jak się zdaje, wychodzi tu z banalnego założenia, że artysta, który nie cierpi, to w ogóle nie jest artysta; a choćby nawet i cierpiał w kąciku, cichutko, to — jeśli się nie obnaży przed swą publicznością — nie jest w porządku i sam się dyskwalifikuje. Tymczasem nawet z własnej książki Nicholsona wynika, że Ella Fitzgerald z natury była damą w każdym calu i po prostu nie mogła zachowywać się inaczej, niż jej dyktował własny, osobisty styl. Z książki wynika też, że Wielka Dama Jazzu była nieopisanie samotna przez całe życie — ta uwięziona w obfitym ciele subtelna, delikatna istota, wciąż spragniona miłości i doznająca wiecznych rozczarowań, a przy tym tak spokojna, wybacząca i czuła. Tym wszakże, co najbardziej porywa w jej śpiewie, jest — przekazana cudownym, nieomylnym głosem, z idealną intonacją i nienaganną dykcją — czysta, radosna energia miłości. Żadnych tragedii — tylko radość tworzenia.

Stuart Nicholson utrzymuje, że Ella ukrywała się za swoimi piosenkami. Moim zdaniem trudno się temu dziwić: nie każdy umie i lubi wystawiać na widok publiczny swoje serce.

A ona cała była sercem.

\* \* \*

Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy, powiem Wam, że rzeczywistość, oglądana z miasta, jest groteskowa. Zupełnie inaczej widzi się i rozumie własną egzystencję oraz w ogóle świat cały — siedząc w wiejskim ogrodzie lub też pedząc rowerem po leśnych ścieżkach (najlepiej: z górki!). Na wsi jestem człowiekiem spokojnym, harmonijnym i doskonale szczęśliwym. W mieście... nie, nie to, żebym się nagle zmieniała w panią Hyde — nie, wsysają mnie tylko (z głową!) bezlitosne wiry najróżniejszych zadań, powinności, zobowiązań, zebrań oraz innego takiego zgiełku. W efekcie — zamiast robić to, co bym chciała (mieszkać w ogrodzie, czytać, pisać i słuchać muzyki), muszę robić to, czego chcą inni. Bliźni mają mnóstwo świetnych pomysłów na to, jak zagospodarować mój czas. Tracę go więc bezpowrotnie, przyczyniając się w ten prosty sposób do sukcesów różnych stowarzyszeń, polityków, szkół, domów kultury, klubów i redakcji, magistrantów, doktorantów, uczestników olimpiad przedmiotowych, mediów, dyrektorów, początkujących poetów i charyzmatycznych duszpasterzy oraz Urzędu Skarbowego. Czas mój więc, jak powiadam, tracę i nic mi nie pomaga świadomość, że zdarza się, iż dokonuję czegoś pożytecznego. Pożytek byłby zapewne większy, gdybym jednak zajęła się własną pracą.

Tak przytłoczona, nie poddaję się przecież łatwo i — choćby na pół dnia! — wymykam się nadal na moją działkę. Jest tam teraz mnóstwo roboty z cebulkami tulipanów i lili, poza tym są do obejrzenia, ze szczytu wzgórza, korony drzew w rezerwacie bukowym. Jeśli Was interesuje, jak wyglądają buki na przełomie września i października, to Wam powiem: wyglądają bajecznie! Na czekoladę złapały się dwie myszy. Żałosny widok. Dławiąc w sobie wyrzuty sumienia, założyłam rękawice ogrodnicze i wyniosłam pełne pułapki do kubła na śmieci, ku wielkiej uciechu sąsiadów, którzy preferują inny system: wyrzucają tylko mysz, a pułapkę zastawiają ponownie. Na moim wiejskim stole wciąż leżą stosy papierzyk! — wśród nich wielkie pudło z listami sprzed wakacji. Zamierałam odpisać na wszystkie przez lato, ale nie zdążyłam. Tymczasem w miejskim domu, na biurku, narósł przez wakacje olbrzymi stos nowych listów. Załamalam się. Ogłaszam niniejszym, że nie jestem już w stanie odpowiedzieć na wszystkie, zwłaszcza że muszę koniecznie zaczynać nową powieść. Kiedy byłam młodsza, zarywalam noce, żeby odpisać każdemu. Ale teraz już nie daję rady! — proszę mi to wybaczyć. Zapewniam natomiast, że czytam absolutnie wszystkie listy, jakie do mnie przychodzą, cieszę się nimi z całego serca, pasjonuję się i wzruszam! — a jakże by miało być inaczej, skoro każdy list — to odrębna, fascynująca opowieść — czyjaś historia, czyjś portret. A każda historia zawiera w sobie kolejną historię — a ta kolejna — następną...

Oto, na przykład, list pani Anny M. z Warszawy:

*Sądzę, że trafiłam na ślad Bronisława Gałczyńskiego, bohatera 82. odcinka Pani „Frywolitek”, w „Dziennikach” Marii Dąbrowskiej (Czytelnik, 1988). Matka pisarki — Ludomira Szumska była z domu Gałczyńska (nic nie wskazuje na pokrewieństwo z K. I. Gałczyńskim). Z porównania notek biograficznych wynika, że Bronisław Gałczyński to bratanek matki, syn także Bronisława, a więc wujeczny brat pisarki. Maria Dąbrowska bywała w Piasecznie, są o tym wzmianki w „Dziennikach”, a także fotografie domu, ogrodu, członków rodziny, więc mogłaby Pani porównać je z tymi w książeczce o różach. Być może nie pamiętałabym o tych rodzinnych koneksjach Dąbrowskiej, gdyby nie Halinka K., prawnuczka Bronisława, której byłam wychowawczynią i polonistką w warszawskim VI Liceum Ogólnokształcącym im. Tadeusza Reytana, w latach 1981–1983. Później Halinka i jej brat Broniek (jak widać, imię rodzinne), po tragicznej śmierci matki — Anny, wyjechali do ojca do USA i jeszcze przez pewien czas miałam z nią kontakt listowny. Po jakimś czasie wróciła do Polski, podjęła studia na Uniwersytecie Warszawskim (psychologia? socjologia?) chyba u schyłku lat osiemdziesiątych, wreszcie zniknęła mi całkiem z oczu, nawet nie wiem, czy mieszka w Polsce.*

*Owa Halinka to bardzo interesujący człowiek, już w I klasie liceum wydała mi się dojrzała i samodzielna, otwarta, śmiała, rzeczowa, o pogodnym usposobieniu, ale nie lekkomyślna. Dziadkowie Halinki — pp. C. mieszkali nadal w Piasecznie, skąd wniosek, że przynajmniej w jakiejś mierze dom i ogród należały ciągle do rodziny (pani C. to córka Bronisława Gałczyńskiego, autora broszury o różach) i być może w nie tak bardzo zmienionym kształcie. Była do nich ogromnie przywiązana, a po śmierci matki, zanim rodzeństwo wyjechało do Stanów, babcia sprowadziła się do nich na Stegny i opiekowała się nimi. W „Dziennikach” jest fotografia pp. C. z córkami, jeszcze małymi dziewczynkami — pisze pani M.*

A więc trafiłam dzięki Pani na ślad owej dziewczynki w jasnej sukience, z kokardą, stojącej w głębi pięknego rozarium pana Gałczyńskiego! — jak to dobrze wiedzieć, że dziewczynka przeżyła wojnę, wyszła za męża, miała dzieci i wnuki! Droga Pani Anno — bardzo dziękuję za ten piękny list, z którego fragment jedynie zacytowałam. Bardzo jestem Pani wdzięczna za ciepłe słowa i za zainteresowanie. Gdyby nie Pani, nie wpadłabym nigdy na ten trop: „Dzienniki” Dąbrowskiej mam, ale są to te cztery tomy, wydane przez „Czytelnika” w roku 1996. Wydanie z roku 1988 obejmuje lata wcześniejsze, przedwojenne. W tych, które mam, nazwisko Bronisława Gałczyńskiego występuje dwukrotnie (sprawdziłam to właśnie w indeksie nazwisk), ale zaledwie w formie wzmianki.

Te papierowe góry na obu moich biurkach są, rzecz jasna, przejrzane bardzo starannie, a listy posegregowane i opatrzone notatkami. Rzecz ciekawa, jak wiele osób dorosłych pisze do „Frywolitek” — choć przecież rubryczka nasza, z założenia beztraska, przeznaczona jest dla młodzieży. Zdaje mi się jednak, że rozsadziliśmy wyznaczone nam ramy (stały motyw mojego losu), bo ta kolekcja listów (przeważają wśród nich głosy czytelnicze na temat „Jeźycjady”) zawiera też mnóstwo spraw poważnych. Na przykład:

*Ogromnie ucieszył mnie fakt, że zachwyciła się Pani „Chwałą córy królewskiej”, podobnie jak ja na początku lat 60. (za pierwszym razem i za każdym kolejnym!). Chyba żadna inna książka tego autora nie może się z nią równać. Nie znam wszystkich, ale tak mi się wydaje. Tyle ciepła i tyle humoru! (Ten marynarz nie umiejący żałować, że nie żałuje, ten chór „Kogutów i kurek” panny O’Hara...) Tak się składa, że oboje z mężem jesteśmy emerytowanymi skrzypkami krakowskiej Filharmonii. Kiedy na wspólnych z chórem próbach coś nie wychodziło, mrugaliśmy do siebie i mówiliśmy: Panna O’Hara się kłania. Ale, ale, nie po to piszę, żeby dzielić się uwagami na temat tej książki. Ciekawa jestem po prostu bardzo, czy zna Pani inną, którą ja stawiam na równi z tą. Jest to książka Cronina „Klucze królestwa”. Na samo jej wspomnienie ciepła fala podchodzi pod moje emeryckie serce... Cudowna, wspaniała! No, może humoru w niej mniej (choć jest, taki misyjno-ekumeniczny...), ale poza tym! Gorąco polecam, jeżeli przypadkiem jeszcze jej Pani nie czytała. Moja rodzina jest w posiadaniu bardzo starego wydania (nie pamiętam roku), nie wiem, czy były wznowienia.*

*I wreszcie trzecia sprawa, która jak Filip z konopi wyskoczyła dzięki dwóm pierwszym. I znowu pytanie: czy słyszała Pani o ks. jezuitcie Władysławie Gurgaczu? W „Tygodniku Powszechnym” ileś numerów do tyłu (nie mogę sprawdzić, jestem na wakacjach), pan Rodziński, pisząc o telewizyjnym filmie dokumentalnym na temat procesów politycznych okresu stalinowskiego, krytykował autorów za brak relacji z procesu księdza Gurgacza, jedyne go księdza skazanego wtedy na śmierć, na którym wyrok ten wykonano (14 DC 1949, w więzieniu na Montelupich w Krakowie). Z tekstu tego wynikało, że p. Rodziński raczej nie wiedział o tym, iż w II obiegu jeszcze w 1988 roku ukazała się książka o ks. Gurgaczu (i „...jam to, nie chwając się, sprawił”, jak by powiedział pan Zagłoba), zaś 2 marca bieżącego roku jedna z audycji „Rewizji nadzwyczajnej” była jego osobie poświęcona. Jednak prawdą jest (niestety!), że wiedza o tym bohaterskim księdzu, kapelanie niepodległościowego oddziału partyzanckiego w latach 1948–1949 — jest prawie żadna!*

*Jezuici dopiero w tym roku zdecydowali się na oficjalne wydanie książki, przyjęta została do druku w WAM. Spowodowane to było między innymi tym, że dla bezpieczeństwa zakonu ks. Gurgacz został z niego fikcyjnie wyłączony, a potem konfratry długo czekali, aż jego „kult” rozwinie się i umocni w kręgach kombatancko–więźniarskich.*

*Od 1989 roku odbywają się rokrocznie modlitewne spotkania przy grobie księdza, uważany jest przez b. więźniów za Patrona, w Krynicy i Nowym Sączu są już tablice mu poświęcone, książka zaś nosi tytuł: „Gurgacz — Popieluszko lat stalinowskich”. Książka wyjdzie może jeszcze w tym roku, a na pewno w następnym, w którym wypada 50–lecie śmierci — pisze pani Danuta S. Felieton o książce Bruce’a Marshalla „Chwała córki królewskiej („F” 81) spowodował falę głosów na ten temat. Napisały osoby młode, niemłode i bardzo młode — a wszystkim podobała się ta powieść, niezależnie od tego, czy autor listu czytał ją już przed laty, czy dopiero po nią sięgnął, pod wpływem felietonu. Pan Józef K. z Katowic pisze:*

*Chociaż mam już 72 lata i raczej powinienem zająć się rachunkiem sumienia za cały przeżyty okres, moim chyba dozgonnym zainteresowaniem są książki. Pasja czytania (od 5 roku życia) nie opuszcza mnie i chociaż emeryt, jak to emeryt, ma ograniczone możliwości wydawania pieniędzy na kupno nowości — nie mogę odejść od wystawy księgarni, żeby czegoś nie kupić. Uskładała się wspaniała biblioteka, którą teraz mam zamiar posegregować, nareszcie ułożyć, część oddać do biblioteki szkolnej, a resztą sycić się, aż tchu zabraknie. (...) Od początku ukazywania się w „TP” „Frywolitek” — jestem ich stałym czytelnikiem. Dużo książek, o których Pani pisze, albo czytałem, albo je mam w bibliotece. „Chwałę córki królewskiej” czytałem już w 1950 roku. Mam wydanie I z roku 1950, z piękną przedmową X. Eugeniusza Dąbrowskiego napisaną 24 IX 1949. (...) Czy Sz. Pani czytała „Klucze królestwa” Cronina? A czy Pani wie, że ta właśnie książka jest powodem napisania „Chwały córki królewskiej”? Wspomina o tym właśnie X. Dąbrowski w swej przedmowie, pisząc: „Obraz katolickiego życia Szkocji podany przez Cronina w »Kluczach królestwa« nie zadowolił Marshalla. Gdy wspomniał o tym swej żonie, ta odrzekła: »Mógłbyś napisać coś lepszego«,.. Rezultatem tej rozmowy jest właśnie „Chwała...”. (...) Z „Kluczy królestwa”, utkwily mi w pamięci zdania: „Wiernie przyrzekam dzielnie stawić opór wszelkiej głupocie, bigoterii i okrucieństwu. Najwyższą cnotą jest tolerancja. Za nią kroczy pokora”.*

*Panie Józefie, serdecznie dziękuję za oba piękne listy, z których fragmenty połączyłam tu w cytacie. Żałuję, że nie starczy mi miejsca na więcej! Jak smakowicie opisuje Pan, na przykład, tę swoją wspaniałą bibliotekę!*

*Miejsca zostało tylko tyle, by podziękować nieśmiałej Ani, studiującej na I roku historii UJ w Krakowie. Na karcie z reprodukcją „La Classe de dance” Degasa napisała Ania tyle miłych rzeczy! — a tymczasem w powodzi papierów zaginęła mi koperta z jej adresem zwrotnym i nie mogę napisać listu z zapewnieniem, że absolutnie warto przełamywać nieśmiałość i zwracać się do ludzi z wyrazami przyjaźni czy sympatii!*

\* \* \*

Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy, spóźniona, zdyszana, piszę — ku własnemu zdziwieniu — wcale nie o tym, o czym zamierzałam. W planie miałam krytykę pewnej książki dla dzieci dyslektycznych, ale ponieważ temat jest potwornie denerwujący (jak zresztą wszystko, co w Polsce dotyczy kwestii edukacji, jej stanu oraz perspektyw), podświadomie zapewne zwlekałam z jego podjęciem. Stąd nieobecność „Frywolitek” przez kilka ostatnich tygodni (nie, proszę nie robić znaczących min; nie przeczę, że przez ten czas bywałam i w ogrodzie, okopując na zimę róże). Otrzymałam już z powodu tej nieobecności kilka listownych nagan od Was, całkiem jakbym nigdy nie uprzedzała, że regularne funkcjonowanie na jakimkolwiek polu nie leży w moich możliwościach i upodobaniach.

Do spraw denerwujących powrócę w kolejnym felietonie, a dziś mam wyraźny powód, by o nich nie pisać: przeczytałam ostatnio trzy książki niezmiernie zajmujące, które w dodatku oczarowały mnie i podbiły — a to przecież niezbyt często się zdarza w naszych beznadziejnie nudnych czasach. Zamiast się irytować, postanowiłam więc podzielić się z Wami emocjami przyjemnymi.

Powieść „**Klub Dumas**” **Artura Pérez-Reverte** (Galeria Wydawnictwa Muza, 1998) stanowi wspomnienie wszechstronnie miłe. Przeczytałam ją, co prawda, w warunkach nizu atmosferycznego, zimna, wichru i deszczu za oknem, siedząc jednakże na miękkiej kanapie koło kaloryfera, w świetle lampy o pomarańczowym abażurze, pociągając z kieliszka po łyżku czerwonego hiszpańskiego wina „Don Ramon”. Rozkoszne warunki dla rozkosznej lektury. „Klub Dumas” w pełni na to zasługuje. Jest to intrygująca opowieść o Lucasie Corso — *był najemnikiem bibliofilstwa, łowcą książek na cudzy koszt. Łączy się to z brudnymi paluchami, gładką mową, dobrym refleksem, cierpliwością i sporym szczęściem. A także z nieprawdopodobną pamięcią, pozwalającą przypomnieć sobie, w jakim to zakurzonej zakamarku jednego z tysięcy antykwariatów drzemie właśnie ten egzemplarz, za który inni gotowi są zapłacić fortunę. Jego klientela nie była liczna, za to doborowa: dwudziestu paru księgarzy z Mediolanu, Paryża, Londynu, Barcelony czy Lozanny — takich, co sprzedają tylko pozycje odnotowane w katalogach, inwestują w rzeczy sprawdzone i pewne i nigdy nie obracają naraz większą liczbą tytułów niż jakieś pół setki. Prawdziwi arystokraci starodruków, dla których pergamin w miejsce welinu lub szerszy o trzy centymetry margines może oznaczać tysiące dolarów. Szakale z galaktyki Gutenberga, piranie buszujące na targach antykwarycznych, pijawki aukcyjne, gotowe sprzedać własną matkę za pierwsze wydanie.*

Miłośnicy „Trzech muszkieterów” i Sherlocka Holmesa, kawalera de Lagardere, „Tajemnic Paryża”, powieści Sabatiniego i Mayne Reida (oczywiście, zaliczam się do tego grona) odnajdą w „Klubie Dumas” mnóstwo zaszyfrowanych (nawet w nazwach rozdziałów, jak „Wino andegaweńskie” czy „Remember”), miłych aluzji do swoich ulubionych lektur, wpadną też na wiele tropów, których nie odkryłby ktoś nie znający powyższych arcydzieł literatury popularnej. Podobnie jak Corso nie rozwiązałyby zagadki Delomelanikonu, gdyby nie skojarzył, kim właściwie jest śledzący go mężczyzna o dumnej postawie, orlim nosie i czarnym wąsie, z blizną na twarzy; i gdyby nie pojął, dlaczego młoda kobieta o jasnozielonych oczach przedstawia się jako Irene Adler. Namiętni wielbiciele pięknego papieru (znów się zaliczam) zachwycą się rozdziałem „O apokryfach i interpolacjach”, gdzie dwaj introligatorzy (*B-cia Ceniza, oprawianie i odnawianie książek*) udzielają Corsowi poufnych informacji o podrabianiu brakujących w starodrukach kart. Jeden z braci *z uwagą posłuchał szelestu kartek, gdy przesuwiał kciuk po brzegu książki. Znakomity papier. Nie to, co dzisiejsze celulozy. (...) Papier z włókien, jak Pan Bóg przykazał. Zrobiony z całych splotów, dzięki czemu jest odporny na działanie czasu i ludzkiej głupoty... Nie, skłamałem,*



*to len. Autentyczny papier z lnu — podniósł oko znad szkła powiększającego i popatrzył na brata. — Przedziwne, więc to nie jest papier wenecki. Gruby, porowaty, włóknisty... Hiszpański? — Walencki — odparł drugi.*

Amator starej grafiki (to znów ja) będzie mógł się zagłębić w tajniki ksylografii i sposoby fałszowania sztychów. Arturo Pérez-Reverte bowiem zna się na swojej robocie. To mistrz!

Pierwszy i piąty rozdział, jak wspomniałam, noszą tytuły pochodzące z „Trzech muszkieterów”. Już samo wyłuskiwanie tych zaszyfrowanych literackich aluzji byłoby pyszną zabawą dla moli książkowych, a tu w dodatku szalona akcja, spiski bibliofilów, mroczne tajemnice introligatorni, zagadki podawane z fantastyczną erudycją, opowieści jedna w drugiej, a druga — w trzeciej, miłość i zbrodnia — i to z powodu książki. Sam smak! Bez wątpienia sympatyczny Arturo przy pisaniu swojej powieści czytał „Mes Mémoires” Aleksandra Dumasa-ojca. Owe „Mémoires” łączą ją z drugim moim odkryciem — z książką **Andre Maurois** „**Trzej panowie Dumas**” (Muza, 1998). Z pewnością zajmie ona honorowe miejsce na moim regale z biografiami; rzadko się zdarza w tym gatunku dzieło tak subtelne i malownicze, tak ciekawe, rzetelne i wnikliwe psychologicznie, tak pełne łagodnej wyrozumiałości i tak pięknie napisane — dzieło sztuki samo w sobie.

Maurois namalował trzy znakomite, plastyczne i bogate portrety: generała napoleońskiego o nazwisku Dumas Davy de la Peilleterie — ogromnego Mulata, który był synem normandzkiego markiza i czarnej niewolnicy z San Domingo; jego syna, Aleksandra Dumas, autora „Trzech muszkieterów”; i wreszcie moralisty Aleksandra Dumasa-syna, autora „Damy kameliowej”. *Trzej ludzie, których żywoty opowiem — pisze Maurois — mieli, w rozmaitym natężeniu i na rozmaite sposoby, te same zalety: siłę, odwagę, rycerskość, wierność, czynny wstręt do złych, i tę samą wadę: potrzebę zdumiewania biorącą się z pragnienia odwetu. Ale temperament nie tłumaczy w dostatecznej mierze losu człowieka. Jest on tylko kanwą, którą zahaftowują wydarzenia i wola.*

Wreszcie trzecia książka: przyniosła mi ją poczta, dwa dni temu, wraz ze stosem codziennych listów i przesyłek. „**Madame**” **Antoniego Libery**, przysłana przez samego autora! — zadziwiające pendant do „Klubu Dumas”. Szczerze mówiąc, jestem pod wrażeniem tym większym, że się go nie spodziewałam: „Madame” była reklamowana dość intensywnie, a ja na intensywny rozgłos reaguję podejrzliwością, uważając — może już niesłusznie? — że prawdziwa wielkość i prawdziwa wartość nie potrzebują natrętnej reklamy. Nawet nie zamierzałam w związku z tym ryzykować kupna „Madame”; a tu proszę! — niespodzianka! Dedykacja od Autora jest tak miła, że z samej wdzięczności postanowiłam zajrzeć do środka, zaniehbując czytane właśnie, na przemian, dwa pierwsze tomy „**Ćwiczeń pamięci**” **Erwina Axera** (PIW, 1984 i 1991).

Zajrzałam do „Madame” o czwartej po południu. Nad ranem byłam już po lekturze całości. I od tej książki nie można się oderwać! — kolejny wyjątek w bieżącej produkcji wydawniczej. Napisana z użyciem narracji tradycyjnej (co za ulga! co za przyjemność w czytaniu!) jest finezyjna i dobrze zbudowana. Aura podobna nieco do „Klubu Dumas”; zawikłane zagadki i piętrowe opowieści, tajemnica, do której kluczem są książki. Antoni Libera też jest oczywistym bibliofilem i pożeraczem książek. Porozumiewa się z czytelnikiem za pomocą literackich skojarzeń i aluzji. Tropy wiodące ku Tajemnicy prowadzą przez kolejne bramy wtajemniczenia i gry erudycyjnej. Uwielbiam to. I, rzecz jasna, tak jak wszyscy bardzo lubię historie o miłości, a ta powieść — gruba i smakowita — jest właśnie o miłości wielkiej, „niespełnionej”, jak to się zwykle mówi. Jakże nieprecyzyjnie. Czymże bowiem jest spełnienie? Młody bohater „Madame” jest w tej kwestii dziwnie zgorzkniały i dziwnie doświadczony: *To nie czyni zadość. To jedynie uśmierza, to znaczy zabija uludę. Ale nie zaspokaja. (...) W dziedzinie słodkiej uludy zaspokojenia nie ma. Bo nie ma formy, w której mogłoby się ziścić.* — A przecież jego historia jest opowieścią o miłości spełnionej — w tym sensie, jakiego od miłości dwojga ludzi oczekujemy; a oczekujemy, by była tajemnicą i zarazem jej rozwiązaniem; by, karmiąc się dystansem, zaspokoila potrzebę bliskości; by, będąc

skomplikowaną grą strategiczną, łamała nieustannie własne reguły; by nie była grą strategiczną, ale rzeczywistością; żeby była zarazem i rzeczywistością, i marzeniem; żeby szarpała swe ofiary wieczną niepewnością i jednocześnie dawała im oparcie; żeby była lampą wśród szarości; i żeby nas wynosiła swoim ciepłym światłem ponad tę szarość, żebyśmy nareszcie w tym świetle byli jedyni, żebyśmy zaistnieli, wyjątkowi i niepowtarzalni — na wieki.

„Madame” traktuje o takim właśnie uczuciu, a przecież nie jest melodramatem. Przeciwnie, poczucie dystansu, cechujące autora, ocala go przed popadnięciem w sentymenty. Sceptyczny, realistyczny i groteskowy, miejscami nieodparcie śmieszny i nieodparcie rozpaczliwy obraz niedawno minionej rzeczywistości PRL-u stanowi doskonale, kontrastowe tło dla wyrafinowanej historii miłosnej.

*Dzieciństwo w zburzonej Warszawie. Makabra stalinizmu. Zdziczałe obyczaje. Ubóstwo, szarość, półmrok. Żałosne misteria ludzi biednej, podbitej prowincji. (...) Świat rzeczy używanych, starych, brzydkich, kalekich. (...) Tak, proza mego życia była całkiem wyzbyta, jak powiedział poeta, urody koniunktywu. Jednakże los to nie wszystko. Ostatecznie, Madame, mimo niezwyklej kolei i nietypowych przeżyć, także od wielu lat brnęła przez te ugory. Liczy się w równym stopniu ogień wewnętrzny — duch. Siła i jasność płomienia. Temperatura żaru.*

Podsycanego — co oczywiste — książkami. Jeśli chodzi o ogień wewnętrzny, to bez książek po prostu ani rusz.

Tym stanowczym stwierdzeniem kończę i wracam nareszcie do przerwanej lektury: Axer. Siła i jasność płomienia. Skończyłam „Sprawiedliwość dziejową”. Teraz kolej na „Gęsi”.

\* \* \*

Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy, nie masz to jak księgarnie przed Gwiazdką. Co za rozkoszna rozmaitość! Ile nowości! — istny Sezam. Jak miło się kupuje prezenty dla bliskich — przesuając się od stołu do stołu, węsząc po półkach i półeczkach, ladach i stojakach, wertując, kartkując, oglądając i zapadając w lekturę na stojąco!

Od razu wypatrzyłam „**Księgę potraw Jane Austen**”, ułożoną przez Maggie Black i **Deirdre Le Faye** (Prószyński i S-ka, 1998). Na okładce reprodukcja przyjemnego obrazu: młoda kobieta w stroju z epoki georgiańskiej (czerwona chusteczka chroni koronkowy czepek, a czerwone rękawki — sukienkę) oprawia ryby, uśmiechając się rozważnie i spoglądając romantycznie spod ciemnych brwi. Wewnątrz książki — sam smak! Ulubione stare ryciny, fotokopie ślicznych rękopisów ksiąg kucharskich, przepisy domowe w rodzaju „Ciasto funtowe pani Perrot”, „Pierniczki imbirowe Marty”, „Bułeczki lady Williams” etc. Natychmiast kupiłam „Księgę potraw” dla tej z córek, która jest zarazem rozważna i romantyczna, a w dodatku bardzo lubi Jane Austen, Anglię i pieczenie ciast. Niech się dziewczę uczy rzeczy podstawowych.

*Gospodarz pierwszy wkraczał do jadalni, towarzysząc najstarszej z obecnych dam, lecz potem zajmował swoje zwykłe miejsce u dołu stołu, vis-à-vis gospodyni przyjęcia, pozwalając damie wybrać krzesło według własnej woli. (...) Ten na pozór przypadkowy dobór miejsc miał jednak pewne zalety towarzyskie, gdyż młodzi dżentelmeni mogli tak manewrować, by zasiąść obok miłych im dam, a może też pozwalał młodym pannom sprytnie uniknąć towarzystwa nudziarzy na rzecz panów, z którymi wiązały plany przyszłego zamążpójścia.*

Na stole, ułożone symetrycznie wokół centralnego talerza, stały półmiski z różnorodnymi potrawami. Były tam zupy, ryby, mięsa, dziczyzna i drób, pasztety, warzywa, sosy i marynaty, słodkie i pikantne puddingi, kremy i galaretki — zwykle było tych potraw od pięciu do dwudziestu pięciu, w zależności od okazji. Te wszystkie potrawy określano mianem „dania”, a i tak stanowiły dopiero część pierwszą całego obiadu.

Po tym daniu następował „pośredni deser”, czyli sery, sałatki itp., a następnie stół opróżniano i wnoszono „drugie danie”, składające się z równie dużej liczby potraw słodkich i pikantnych, jak „danie pierwsze”. *Gdy wszyscy się najedli, ponownie opróżniano stół i zdejmowano obrus, pod którym mógł się znajdować drugi obrus lub już tylko pięknie polerowany blat stołu. Podawano wówczas deser złożony z orzechów i owoców (...), a czasem także słodycze i lody, do tego zaś zwykle porto i maderę oraz słodkie wina dla dam. Małe dzieci, które przed obiadem zostały odesłane do swoich pokojów (jadły tam swój obiad, znacznie prostszy i skromniejszy), teraz znów przyprowadzano, wciąż odziane w najlepsze ubranka. Dostawały nieco deseru i po zjedzeniu go — obdarzone taktownymi pochwałami i pocatunkami zebranych gości — były już układane do snu —* tak piszą autorki w rozdziale (bardzo ciekawym) „Społeczne i rodzinne życie w czasach Jane Austen”. Jak podają, listy, pamiętniki i dzienniki z tego okresu bardzo często zawierają szczegółowe opisy posiłków, w których autorzy uczestniczyli, i dostarczają fascynującego obrazu poziomu życia średniej i wyższej klasy społeczeństwa georgiańskiego. Sławny stał się podobno w dzisiejszej Anglii dziennik wiejskiego pastora, wielebnego Jamesa Woodfordela, zawierający niezwykle bogate i szczegółowe opisy obiadów, w których ów duszpasterz uczestniczył. Na przykład — w początku roku 1780 pastor gościł na obiedzie, gdzie dla sześciu osób podano *cielęcą głowę, gotowane ptactwo i ozór, pieczony comber barani (...) i wspaniałego pieczonego łabędzia z sosem porzeczkowym na pierwsze danie. Na drugie danie para dzikiego ptactwa, skowronki, Blancmange, tarty etc, a potem dobre desery owocowe, pomiędzy nimi powidła. Nigdy wcześniej łabędzia nie próbował i uważam, że dobry jest ze słodkim sosem. Łabędzie 3 tygodnie wcześniej ubito, a mimo to żadnego złego smaku czuć nie było.*

Ledwie przeczytałam te słowa, już mi się zrobiło żal skowronków i tego biednego łabędzia. Zaraz też przypomniałam sobie książkę, którą sama świeżo dostałam w prezencie od miłej pani Jolanty Ługowskiej: „Oczywisty urok biesiadowania” (**Towarzystwo Przyjaciół Polonistyki Wrocławskiej, 1998**). Pysznie się to czyta, bo też zestaw autorów i dobór tematów — imponujące. Zbiór tych pogodnych esejów i gawęd o jedzeniu i ucztowaniu zawiera jednakże tekst budzący grozę i ujawniający okrucieństwo rodzaju ludzkiego. Stefan Bednarek, pisząc „O niektórych osobliwościach przepisów kulinarnych w książkach kucharskich XIX wieku”, cytuje panią Ćwierciakiewiczową (*Indyki, kury, perlice, gdy potrzeba, aby prędko skruszały, utopić żywcem w zimnej wodzie, zostawiając w niej całą godzinę*) oraz Ochorowicz–Monatową (*Zabijając żywą rybę, trzeba najpierw ogłuszyć ją silnym uderzeniem żelazną pałką lub młotkiem w głowę, a potem (...) dobić ostrym i cienkim nożem, wbijając ostrze między głowę i kość stawową...*), a także inne kulinarne damy ówczesne. Zdaniem pana Stefana nie należy posądzać XIX-wiecznych kucharek o barbarzyństwo, gdyż czyniły one swą powinność w dobrej wierze i zgodnie z wymogami sztuki. *Postawione wobec konieczności zabicia, podejmują wyzwanie i patrząc ofierze w oczy, dokonują egzekucji.* W odróżnieniu jednakże od społeczności plemiennych, opisywanych przez antropologów, kucharki dziewiętnastowieczne nie odczuwają żadnej metafizycznej więzi ze zwierzyną. Zabijaniu zwierząt przeznaczonych do zjedzenia nie towarzyszy poczucie tabu czy mitologizacja. Kucharke XIX-wieczną cechuje rzeczowy stosunek do warsztatu pracy, *wyzbyty obłudy, ale też i nie pozbawiony humanitaryzmu.* Oczywiście to, co w tamtym pragmatyzmie zaledwie się ujawniało, w naszym złowrogim stuleciu przybrało na sile: *sfera czynności prowadzących do zaspokajania głodu stechniczowała się i oddzieliła od swych naturalnych źródeł, tracąc przy okazji swój metafizyczny i magiczny wymiar. Urzeczowiona żywność straciła swój wymiar aksjologiczny.*

Anna Brzozowska–Krajka („Kto popija i pojada, temu dobrze się układa — ludowa etykieta konsumpcyjna”) wskazuje na prastary związek etykiety i rytuału w odniesieniu do pożywienia jako podstawowego znaku życia, jako najstarszej formy komunikacji człowieka z Kosmosem poprzez pokarm–medium. *Otwarcie na Tamten Świat wymagało zawsze magiczno–rytualnych ubezpieczeń. Zapewniała je zgodność z etykietą, która nieustannie wskazywała na akt jedzenia jako na sytuację szczególnej wymiany darów. Do najstarszych form etykiety należało na przykład łamanie, nie zaś krojenie, chleba. Dawniej obowiązujący rytualny gest łamania się chlebem w zwyczajach towarzyskich utrwalony został przez Kościół katolicki w postaci wigilijnego łamania się opłatkiem.*

Franciszek M. Rosiński („Uczta w ujęciu biblijnym”) podaje szczegółowy wykaz produktów, potraw i napojów, jakimi raczono się w dawnym Izraelu, a także naświetla ich sens, symbolikę i znaczenie społeczne oraz religijne. I tu czytamy o łamaniu się chlebem, które symbolizowało wspólnotę, udział w dziękczynieniu i błogosławieństwie, wypowiedanym nad tym chlebem przez gospodarza, na początku uczy. Czytamy też o biblijnych ciastach: rodzynekowym, winogronowym, figowym, miodowym i oliwnym, które doprawiano cynamonem, miętą, kminkiem, a nawet proszkiem z suszonej szarańczy, aromatyzowano różą, jaśminem czy pistacją, dodając orzechów i migdałów.

Warto pamiętać, używając tych produktów pełnych mistycznych, mitologicznych i magicznych znaczeń, jak wiele pokoleń przed nami piekło takie ciasta na swoje świąteczne uczy. To nada daleką perspektywę naszemu świętowaniu i uchroni nas przed powierzchownym przyjmowaniem sensu naszej Wigilii. Mąka z pszennego ziarna (symbolizującego dar życia, śmierć i zmartwychwstanie, obfitość i błogosławieństwo), mleko (pokarm ducha, prawda, miłość i odrodzenie), miód (boska miłość, dostatek, bogactwo duchowe), jajka (Wszechświat, nieśmiertelność, zbawienie, siła życia), orzechy (orzech włoski w symbolice chrześcijańskiej

oznacza człowieka: zielona okrywa — ludzkie ciało, skorupa — kości, a słodkie jądro — duszę. Leszczyna i jej orzechy zajmują w „Słowniku symboli” Kopalińskiego aż dwie bite szpalty; z głównych znaczeń wymieńmy miłość, mądrość, prawdę, sprawiedliwość i pojednanie) — te tradycyjne produkty bożonarodzeniowe niosą ze sobą głęboki sens — oczywiście pod warunkiem, że c h c e m y o tym pamiętać!

Teraz podam, z braku miejsca w wersji lakonicznej, przepis na Wigilijne Ciasto Orzechowe mojej córki — przepyszne, zapewniam! — a Wy, piekąc je, zechciejcie pamiętać o symbolicznym jego składzie i mistycznej zawartości. Uwaga.

Kruche ciasto: 250 g mąki, 150 g masła, 70 g cukru, 1 żółtko, ćwierć łyżeczki soli. Zagnieść, włożyć na godzinę do lodówki, potem rozwałkować i wyłożyć ciastem formę.

Nadzienie: tyle samo mielonych orzechów włoskich (lub laskowych), co cukru i słodkiej śmietanki — połączyć w garnuszku, na małym ogniu, wciąż mieszając. Wyłożyć masę na ciasto. Z resztek kruchego ciasta wyciąć gwiazdki, serduszka lub paski i przykryć nim masę po wierzchu. Upiec.

Wesołych Świąt!

\* \* \*

Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy, no jak tam po Świątach? Nasze były, jak zwykle, Miłe i Wesołe. Trzymetrowa choinka, obwieszona aniołkami z papieru, frywolitkowymi gwiazdkami, pierniczkami i łańcuchami słomkowymi, pachnie mocno jeszcze do dziś. Ciasta udały się fantastycznie (zwłaszcza makowce i migdałowy „Mazarin”), goście i przyjaciele dopisali, a w prezencie dawaliśmy sobie głównie książki! A! — w tym miejscu muszę podziękować paniom Annie, Magdalenie i Marii Świszczowskim z Krakowa, które ofiarowały mi, jeszcze na październikowych Targach, **„Praktyczne przepisy pieczenia ciast świątecznych, zebrane przez Florentynę i Wandę, wydane we Lwowie przez drukarnię narodową St. Maniecki i Spółka, nakładem autorek”**, w nieznanym roku. Książka — brunatna ze starości — jest urocza, przepisy bardzo ciekawe i użyteczne, a wszystko razem skłania mnie do refleksji na temat roli naszej płci w historii świata; żeby nie wiem, co się działo, nie wiem, jakie wojny i rewolucje wstrząsały globem, zawsze w końcu znajdują się opatrnościowe kobiety, które umyją okna, powieszą firanki i upieką na święta pierniczki, po czym doprowadzą wszystko do jakiego takiego ładu. Prawdziwa magia!

Szczególnie ucieszyły mnie dwa spośród moich książkowych prezentów: „Listy wybrane” Jane Austen, wydane przez nieocenionego Prószyńskiego i S-ka, oraz poemat **„I, Jane Austen”**, stworzony przez niejaką **Mary Corringham** (na podstawie listów i powieści naszej ulubionej autorki, a także na podstawie komentarzy jej biografów), wydany przez Routledge and Kegan Paul, w Londynie, w 1971 roku. Mała próbka stylu Mary Corringham:

*How young I was when I began to write,  
or where, or why, I cannot now recall.  
But I filled several copy-books with slight  
and flimsy stories, which in general  
were spirited, though quite nonsensical.  
I exercised my youthful energies'  
on follies, whims and inconsistencies.*

Hm... no, bo ja wiem... być może Miss Austen odczuwa w zaświatach niejaką przyjemność na myśl o tym, że Miss Corringham aż tak wczuła się w jej duszę... ale równie dobrze może być przeciwnie. Równie dobrze nasza ulubiona autorka może silnie przewracać się w grobie. Silnie dlatego, że poemat ma 163 zwrotki.

Szczerze mówiąc, wołałabym cały felieton dzisiejszy poświęcić tym właśnie książkom, ale nic z tego. Obiecałam sobie przecież, że zajmę się wreszcie pewną przykrą sprawą. Chodzi o serię **„Lektury dla tych, którym czytanie sprawia trudności”** (dotyczy to, obawiam się, już sporej części Polaków), wypuszczoną przez Gdańskie Towarzystwo Psychologiczne. Trafiłam na dwie pozycje z tej serii: **„Krzyżacy — na podstawie powieści Henryka Sienkiewicza”** i **„O krasnoludkach i sierotce Marysi — na podstawie baśni Marii Konopnickiej”**. Trafiłam, poczytałam i do dziś się męczę. Czym? — zapytacie. — Co w nich takiego przykrego? Otóż to, że ta inicjatywa jest słuszna i odpowiada na wielkie, prawdziwe zapotrzebowanie ze strony dzieci dyslektycznych — a przecież jest niedobra. I to jest ten ból.

Dysleksja (a z nią dysgrafia, dysortografia, dyskalkulia) to nie choroba, to zaburzenie, którego przyczyną mogą być mikrourazy mózgu dziecka, powstałe w trakcie porodu, albo nieprawidłowości hormonalne, albo czynniki genetyczne. Dzieci dyslektyczne nie są głupsze od innych, przeciwnie, zazwyczaj, jakby w rekompensacie, cechują się wybitnymi uzdolnieniami i

twórczym myśleniem oraz wysoką inteligencją, toteż nie trzeba zniżać się do ich poziomu, ofiarowywać im ułatwień i bryków; przeciwnie, należy koniecznie ćwiczyć z nimi, i to całymi latami, kształcić je w sposób swoisty, prowadzić w sposób nietypowy — do czego, rzecz jasna, szkoła polska nie jest w ogóle przygotowana. W polskiej szkole to zaburzenie cieszy się złą sławą. Odkąd władze oświatowe umożliwiły — poza normalnym trybem — przyjmowanie do obłożonych liceów tych uczniów, którzy mają zaświadczenie z poradni psychologicznej, zaczęły się, jak to u nas, nadużycia, toteż cała sprawa z dysleksją zaczęła pachnieć podejrzeniem. Rodzice, którzy mają dziecko dyslektyczne z całą gamą typowych symptomów (trudności z pisaniem i czytaniem, z uczeniem się tekstu na pamięć, wyszukiwaniem wyrazów w pamięci, a więc opowiadaniem, streszczaniem itd., kłopoty z analizą dźwięków i z ich syntezą, tj. składaniem w wyrazy, problemy ze skupieniem przez czas dłuższy uwagi) — w polskiej szkole podstawowej usłyszą, że spłodzili tępaka lub, w najlepszym razie, zdolnego lenia. Ci, którzy podeprą się zaświadczeniem z poradni psychologicznej, spotkają się z podejrzeniami, że załatwili to sobie „na lewo”, bo chcą swemu dziecku ułatwić życie i przepchnąć je łatwo aż do liceum.

Owszem, Polskie Towarzystwo Dysleksji, założone przez panią profesor Martę Bogdanowicz, pracuje już w kilkunastu oddziałach, dla cięższych przypadków dysleksji założono w kilku większych miastach klasy i szkoły terapeutyczne — podają te wiadomości za jednym z nielicznych u nas tekstów poświęconych dysleksji, za artykułem pani Miry Kuś w „Przekroju” (42/98) — oraz trzy oddziały sanatoryjne. Ale to, rzecz jasna, kropla w morzu, ponieważ z jakichś przyczyn przypadki dysleksji są coraz częstsze lub przynajmniej bardziej widoczne niż kiedyś:

*Jeśli martwicie się tym, że Wasze dzieci i uczniowie nie chcą czytać, unikają „grubych książek”, lektury znają głównie z opracowań, a jeszcze częściej z opowiadań swoich kolegów, którzy naprędce streszczają je im przed lekcją; jeśli ze zgrozą patrzycie na rosnące zaległości wobec programu szkolnego — proponujemy Wam nowe rozwiązanie: lektury dla tych, którym czytanie sprawia trudności — piszą autorzy opracowania. — Aby umożliwić młodszym dzieciom i uczniom dyslektycznym kontakt z tekstem pisanym oraz by zachęcić ich do sięgania po oryginały, w krajach Europy Zachodniej wydaje się serie książek w uproszczonej formie. (...) Te niewielkie książeczki pozwalają dziecku zapoznać się z fabułą, eliminują lęk przed lekturą, dają poczucie sukcesu z powodu przeczytania całej książki. Oswajają dziecko z czytaniem.*

Moim zdaniem, prawdziwe poczucie sukcesu nie towarzyszy zadaniom celowo ułatwionym. Uproszczona forma książek nie daje żadnego pojęcia o oryginale i raczej do niego zniechęci. Propozycje GWP to książki rzeczywiście niegrube, pozbawione „zbędnych” opisów, a w przypadku Sienkiewicza — drastyczności i okrucieństw. Przy okazji pozbawiono też oba utwory ducha, poezji, stylu, charakteru oraz wszelkiego uroku.

Dziecko dyslektyczne nie powinno być pozbawione piękna, bo to nie z przyswajaniem piękna ma kłopoty, lecz z przetwarzaniem języka! Notabene, nie jest dla mnie oczywiste, że „Krzyżacy” i „Sierotka Marysia” koniecznie muszą znajdować się w spisie obowiązkowych lektur dla szkoły podstawowej. Obie pozycje zostały tam umieszczone przed laty, pewnie dla zobrazowania ciężkiej doli chłopca i wrażej natury Niemców — po czym zachowały się w tym spisie do dziś. Rzeczywiście, prawdą jest, że dzisiejsze dzieci mają trudności z czytaniem Sienkiewicza (wiem o tym dobrze z doświadczeń radiowych). Może więc lepiej dać im do czytania większy fragment „Krzyżaków” czy „Sierotki Marysi” w oryginale, niż skracać, okaleczać i zmieniać te książki tak arbitralnie? Z fragmentu poznają charakter całości. Zanurzą się w tamten świat — na krócej może, ale za to prawdziwie. *A kształcenie inteligencji słownej dziecka, kompetencję morfologiczno-syntaktyczną i semantyczną, przyswajanie sobie najważniejszych treści przeczytanego tekstu, udoskonalenie myślenia problemowego i przyczynowo-skutkowego może odbywać się na bazie prostszych w odbiorze tekstów współczesnych. O co bowiem naprawdę*

chodzi z tymi lekturami szkolnymi? Czy zlecamy dzieciom ich czytanie tylko po to, by skrupulatnie śledziły fabułę i związki przyczynowo–skutkowe? Czy też raczej chcemy, by odetchnęły pięknem, by poczuły zapach epoki, w której dzieło literackie powstało, by brzmienie słowa nauczyło dzieci, czym był duch tamtego czasu? Polszczyzna Sienkiewicza słusznie uchodzi za prześliczną. Polszczyzna skrótu wydanego przez GWP — chociaż sztab nauczycieli polonistów oraz psychologów czuwał, wyraźnie się starając zachować całe partie oryginału, jest sucha, bezkrwista i nieżywa. Cudowna tajemnica tworzenia światów zamkniętych, samowystarczalnych, za pomocą słów, znana jest wielkim pisarzom (Budowa zdań to w każdej literaturze najpewniejszy sposób odróżniania poety od grafomana — Zbigniew Raszewski) — lecz wcale nie musi być znana najbardziej uczonym polonistom. Można wiedzieć wszystko na temat teorii literatury — a być bezradnym, gdy przyjdzie do określania ducha tekstu literackiego. Ponadto: naprawdę to nie wszystko jedno, w jakim szyku stoją słowa, w jakim tempie bohaterowie wypowiadają swoje kwestie, ile zdań liczy opis bitwy, krajobrazu czy stanu uczuć. Nie jest też wszystko jedno, co iskrzy pomiędzy poszczególnymi słowami, jakie tworzą się pomiędzy nimi łuki napięć. Można przytoczyć całą partię tekstu oryginalnego i wyrzucić tylko dwa — trzy zbędne „zaś” lub „przeto” — i to już nie jest to! Pisarz, ten bardzo dobry, z pewnością nie wie — lecz na pewno czuje — dlaczego napisał tak, a nie inaczej; ale powodowany był przez swój osobisty, wewnętrzny rytm, tajemnicze dyktando własnego słuchu i smaku, oparte na tempie własnego tętna i oddechu, na tonie, którego nikt do końca nie podrobi, przez swój — krótko mówiąc — talent. Dokonywanie skrótów i uproszczeń w takim tekście jest niedopuszczalne i świadczy po prostu o braku wrażliwości — językowej oraz każdej innej. Zaznajomić ucznia z pisarzem to znaczy: dać mu do czytania oryginalne dzieło, pozwolić dziecku na zanurzenie się w czymś duchowym świecie, w czyjejs niepowtarzalnej — a utrwalonej w formie wyszukanej i określonej — osobowości. To o to chodzi. Nie o fabułę! To z tego należy ucznia odpytywać, a nie z tego, jakie były losy Zbyszka w trakcie pobytu na zamku wielkiego mistrza, oraz którego dnia weszła Marysia do wielkiego boru i do kogo załęknona szeptęła. Owszem, można i należy uczyć dziecko wielu ciekawych rzeczy o budowie zdań i o warsztacie pisarza — po to, by lepiej zrozumiało całość dzieła sztuki, z jakim obcuje. I w tym sęk. Książki zaproponowane przez GWP nie są już dziełami sztuki. Są, niestety, protezami — stworzonymi w dobrej wierze, ale szkodliwymi. Zastanówmy się: czy gdyby dziecko miało niedowład mięśni ręki, dalibyśmy mu od razu protezę, czy też raczej wysłalibyśmy je na rehabilitację, gimnastykę, terapię ruchową?

No, właśnie.

Te dwie książki GWP są protezami dla czegoś ważniejszego niż mięśnie; są protezami dla smaku, wyobraźni i poczucia piękna.

Bardzo mi przykro.



\* \* \*

Jeśli kobieta ma na imię Carmen, a w dodatku urodziła się w Salamance, jeśli pracując naukowo, stworzyła fascynujące książki o hiszpańskich obyczajach miłosnych w wieku osiemnastym i w naszych czasach, jeśli jej powieść otwiera dedykacją: *Dla Juana Carlosa Equillona, za metodę usta–usta, którą ratował Kapturka i mnie, zagubionych na Manhattanie pod koniec owego okropnego lata* — jest rzeczą oczywistą, Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy, że mamy co czytać wczesnym popołudniem i wieczorem, kiedy za oknem cicho sypie śnieg, zmierzch barwi go na fiołkowo, a latarnie uliczne rysują na nim różowawe kręgi.

Od pierwszej chwili nasze uczucia należą do Sary Allen, piegowatej dziesięcioletniej dziewczynki, która wraz z tatą hydraulikiem i zrzędzącą mamą mieszka na czternastym piętrze brzydkiego bloku w centrum Brooklynu. To jest bardzo niezależna i śmiała osoba, ta Sara, i wcale nas nie dziwi, że o wiele bardziej niż matkę, piekącą w kółko tort truskawkowy, kocha Sara swą babcię, była artystką musicalową. Babcia mieszka sama na Manhattanie, ma w domu okropny bałagan, pali skręty i przepada za likierem gruszkowym. Jest ruda, lubi ubierać się w suknię z zielonego jedwabiu, tańczyć przy dźwiękach starych piosenek i malować oczy przed potrójnym lustrem. Tata Sary mawia o babci ta sprytna jaszczura.

„**Kapturek na Manhattanie**” **Carmen Martin Gaité** (Muza, VIP, 1999, przekład Carlos Marrodan Casas) to piękna i niezwykła książka, a Sara Allen ma coś wspólnego z naszą drogą Pippi Langstrumpf (choć wcale nie jestem pewna, czy książka pani Carmen przeznaczona jest dla dzieci, czy dla dorosłych, czy dla jednych i drugich, a mam pewność, że pani Astrid pisała tylko dla dzieci). Sara Allen jest, jak Pippi, twarda, tajemnicza i dobra, bezwzględna w swojej szczerości i wzruszająca w swoim wszechogarniającym współczuciu.

Sara umiała mówić płynnie i wyraźnie, zanim jeszcze opanowała sztukę chodzenia. Błyskawicznie nauczyła się czytać i pisać, a pierwsze napisane przez nią słowa to były: rzeka, księżyc i wolność. Miała zaledwie trzy lata, kiedy zaczęła zadawać dziwne pytania — na przykład, co to znaczy, że się umiera, i co to jest wolność. *W wieku lat czterech zrozumiała, że powinna zachować milczenie. Stała się posłuszna i obojętna. Przekonała się, że marzenia można pielegnować jedynie po ciemku i w sekrecie. Tymczasem próbowała jakoś przeżyć na swojej wyspie. Jak Robinson. I jak Statua Wolności.* Bardzo wiele o tej Statui myślała, marzyła o tym, by skulić się w gnieździe, uwitym pomiędzy kolcami jej korony. Często wysyłała do przedstawicielki wolności, do bogini, której obrazem była Statua, myślowe telegramy, prosząc, by ją wydosłała z tej niewoli, w jakiej żyje.

Co tydzień, w sobotę, matka zabierała Sarę do babci, na Manhattan. Sara była ubrana wtedy w czerwoną pelerynkę i niosła koszyk zawierający tort truskawkowy. A czasem zdarzało się, że Sarze wolno było pobyc u babci trochę dłużej — przy takiej właśnie okazji usłyszała opowieść o Statui Wolności: Statuę przywieziono do Nowego Jorku z Francji, a autor rzeźby, alzacki artysta, nadał twarzy bogini rysy swojej matki, bardzo pięknej kobiety.

W dniu dziesiątych urodzin Sara została sama, ponieważ rodzice musieli pojechać na pogrzeb. I tego właśnie dnia wybrała się na Manhattan, kierowana przez swój głód wolności. Na Manhattanie poznała Miss Lunatic — bardzo starą, dziwną kobietę w łachmanach i wielkim kapeluszu, spod którego spadały jej na plecy bujne, śnieżnobiałe włosy, sięgające bioder. Miss Lunatic — która cechowała się zaskakującą umiejętnością przebywania w kilku miejscach równocześnie — zawsze ciągnęła za sobą pusty, staroświecki wózek dziecięcy. Miała wielu przyjaciół zarówno pośród możliwych tego świata, jak pośród biedoty, żebraków, wielonarodowego tłumu zapelniającego Nowy Jork. Uwielbiano ją powszechnie, bo lubiła z ludźmi rozmawiać i wołała słuchać raczej, niż być słuchaną. Mówiła, że dzięki temu zyskuje doświadczenie. *Ludzie się zmieniają. A każda osoba*

*to osobny świat — lubię, jak mi opowiadają różne historie. (...) Wszyscy mieli jej coś do opowiedzenia i historie te towarzyszyły później miss Lunatic w samotnych wędrówkach; przez pewien czas trzymały się jej lachmanów niczym poświata złotych serpentyn, broniąc przed odejściem w całkowite zapomnienie. (...) Byli ludzie, którzy wyśmiewali się z niej, ale raczej odnoszono się do Miss Lunatic z szacunkiem, co wynikało nie tylko z tego, że nikomu nie czyniła krzywdy, była rozumna i potrafiła wyrażać się z dużą elokwencją — zawsze z leciutkim akcentem francuskim — ale i z tego, że mimo żebraczych lachmanów zdołała zachować, w ruchach i w owym specyficznym sposobie poruszania się z podniesioną głową, godność i niezależność, nie dopuszczając do jakichkolwiek odruchów lekceważenia czy litości. Zawsze brała odpowiedzialność za swoje czyny i odnosiło się wrażenie, iż zamieszana jest tylko w to, w co zamieszana być chciała.*

Chodziła, podśpiewując (na ogół był to ten sam, stary hymn alzacki), a kiedyś, doprowadzona przed oblicze komisarza dystryktu Harlem (wmieszała się w bójkę i otrzymała kilka ciosów nożem, lecz z jej ciała nie trysnęła ani kropla krwi), zeznała, że przybyła do Nowego Jorku w roku 1885, kiedy to sprowadzono Statuę Wolności. Komisarz, znając jej wszędobylskość, zaproponował, by została płatnym informatorem policji, lecz ona odrzuciła tę propozycję z oburzeniem, dodając, że pieniądze jej nie interesują *stały się bowiem celem samym w sobie i uniemożliwiają nam radowanie się z drogi, którą przemierzamy.*

Komisarz wtrącił, że bez pieniędzy trudno żyć.

— *Ale co nazywacie życiem?* — padła replika Miss Lunatic. — *Dla mnie żyć, to znaczy nie spieszyć się. Wszystkiemu spokojnie się przyjrzeć, zastanowić, wysłuchać cudzych zmartwień, być ciekawym świata i ludzi, być wrażliwym, nie kłamać, dzielić się z żywymi szklanką wina albo kromką chleba, z dumą wspominać nauki zmarłych, nie pozwolić, by nas poniżano lub oszukiwano. (...) Ludzie tak poważnie traktują zarabianie pieniędzy po to, żeby żyć, że w rezultacie zapominają żyć. (...) Wolność i pieniądze są pojęciami przeciwstawnymi, podobnie jak wolność i strach.*

Miss Lunatic mieszkała we wnętrzu Statui Wolności i знаła — ona jedna — tajemne wejście do Statui, prowadzące przez pewien właz parkowego hydrantu. Była bardzo stara i żyła tylko siłą woli, jak Rycerz Nieistniejący. Zaczynała już odczuwać zmęczenie i myślała *o nieustannych przemianach, jakim podlegają ludzie i rzeczy, o pożegnaniach, o wszystkich ciężarach, jakimi czas nieubłaganie obciążał ludzkie plecy. Najchętniej przerzuciłaby swoje najsekretniejsze ciężary na kogoś młodszego i godnego przejęcia całego dziedzictwa.*

Sarę Allen, zagubioną z koszyczkiem w podziemiach metra, spotkała więc w samą porę.

*W oczach Sary pojawił się błysk ulgi i zaufania. A Miss Lunatic, która już od dawna nie spotkała tak czystego i otwartego spojrzenia, poczuła, jak od płomieni tego niespodziewanego ogniska ciepło przenika do jej serca.*

Od tej chwili zaczynają się najpiękniejsze partie książki. Przyjaźń małej dziewczynki i starej kobiety to w ogóle jest wspaniały temat literacki i cudowne zjawisko życiowe. Pani Carmen też to wie i opisuje tę przyjaźń w natchnieniu. Wprowadza nadto wątek „Słodkiego Wilka”, czyli Edgara Woolfe’a, Króla Tortów, zabawia się mieszaniami baśni, mitów, aluzji i skojarzeń, przez cały czas prowadząc od niechcenia, a konsekwentnie, czystą i szlachetną w tonie opowieść.

W finale książki widzimy Sarę Allen, która nocą dociera w pobliże Statui, wrzuca otrzymaną od Miss Lunatic starożytną, zielonkawą monetę do szczeliny przy włazie hydrantu i odczytuje z karteczki ofiarowanej jej przez starą przyjaciółkę słowa Pico della Mirandoli:

*Nie uczyniłem cię ani niebiańskim, ani ziemskim,  
ani śmiertelnym, ani nieśmiertelnym, abys  
sam w sposób wolny i godny siebie  
nadał sobie taki kształt, jaki zechcesz.*

*(...) płyta wżazu odsunęła się i Sara, wyciągnąwszy przed siebie ramiona, rzuciła się w dół, natychmiast porwana przez prąd chłodnego powietrza, który niósł ją ku Wolności.*

Tak brzmi ostatnie zdanie tej książki, napisane w Madrycie, 28 lutego 1990, w Środę Popielcową. W dziewięć lat później, dokładnie w Popielec, oglądam widniejący pod tym zdaniem rysunek: dziewczynka z uśmiechem wskakuje, głową naprzód, do czarnego otworu w ziemi.

Nie wiadomo dlaczego chce mi się płakać, ponieważ myślę, że ona umrze.

Lecz chyba pani Carmen chciała nam przekazać coś innego: że kto kocha wolność i wolności służy — ten nie umiera nigdy.

\* \* \*

Szanowna Pani,

z wielkim zainteresowaniem przeczytałam Pani tekst o „Lekturach dla tych, którym czytanie sprawia trudności” („TP”, 3/99), ponieważ jako redaktor przyczyniłam się do wydania książek z tej serii. Cieszę się, że dostrzegła Pani to, iż „Lektury...” powstały w dobrej wierze, oraz że docenia Pani wagę problemu, jakim jest dysleksja. Chciałabym jednak kilka rzeczy wyjaśnić, wydaje mi się bowiem, że nastąpiło pewne nieporozumienie.

Pomysł związany z opracowywaniem uproszczonych wersji lektur jest bez wątpienia kontrowersyjny, lecz wcale nienowy. Wystarczy wspomnieć o „Przypadkach Robinsona Kruzoa” czy o „Podróżach Guliwera” — książki te całe pokolenia Polaków znają wyłącznie z opracowań, zalecanych zresztą przez autorów programów szkolnych. Dotyczy to również Sienkiewicza — jeszcze za życia pisarza ukazało się „Ogniem i mieczem” w wersji dla młodzieży. Nowatorstwem lektur publikowanych przez Gdańskie Wydawnictwo Psychologiczne jest zatem nie samo opracowanie tekstu, ale mnogość towarzyszących mu objaśnień, ćwiczeń, ilustracji, bezpośrednich zwrotów do czytelnika oraz (co ma ogromne znaczenie w wypadku uczniów dyslektycznych) specyficzna szata graficzna. To wszystko nie tylko ułatwia czytelnikowi zadanie, lecz także uczy pracy z tekstem.

Z zaskoczeniem zauważyłam, że celowe ułatwianie zadania posłużyło Pani za podstawę do sformułowania zarzutu. Dzieci dyslektyczne napotykać w szkole na tyle barier i trudności, że zachęcanie ich, by więcej pracowały, jest — delikatnie mówiąc — nieporozumieniem. Słowa: „Musisz się tylko postarać”, jedynie pogłębiają ich frustrację i poczucie porażki. Uczeń, który jest w stanie przeczytać pół strony dziennie, mimo wysiłków i starań nie zdoła się uporać z kilkusetstronicową powieścią — na lekturę „Krzyżaków” musiałby poświęcić ponad dwa lata (przy założeniu, że będzie pracował codziennie, nie zrażając się trudnościami, i że będzie mu towarzyszył nauczyciel bądź terapeuta, gotów tłumaczyć, objaśniać i cierpliwie wysłuchiwać wypowiedzi o tym, jak to Sienkiewicz ani nie bawi, ani nie wzrusza, ani też nie zachwyca). Zdaję sobie sprawę, że dla osób, które na co dzień obcują z literaturą, jest to właściwie nie do pojęcia, ale cóż... tak jest.

Jeśli zatem odwołujemy się do rzeczywistości szkolnej (tej istniejącej, nie zaś postulowanej), mamy do czynienia z alternatywą: uczeń albo przeczyta wersję skróconą, albo w ogóle niczego nie przeczyta. Nie wyklucza to, rzecz jasna, lektury fragmentów oryginału, ale na tej podstawie nie można napisać planu wydarzeń, streszczenia ani charakterystyki postaci. W szkole w dalszym ciągu potrzebna jest fabuła i doprawdy nie wiem, czy to źle. Większość dzieci baczniej przygląda się przebiegowi zdarzeń niż pięknu języka. Zabiegi stylistyczne są dla nich dodatkową przeszkodą, utrudniającą zrozumienie tekstu. Dlatego w naszych „Lekturach...” pojawiło się tak wiele uproszczeń. Zapewniam Panią, że nie są one zamachem ani na Sienkiewicza czy Konopnicką, ani — z drugiej strony — na wrażliwość ucznia. Stanowią kolejne ułatwienie, które sprawia, że dziecko nie zraża się do tekstu, nie ucieka przed naporem niezrozumiałych słów czy zdań.

Opracowane przez nas książki nie udają oryginałów, nie próbują też ich zastąpić. Są jedynie propozycją rozwiązania problemów coraz liczniejszej grupy dzieci. Na Pani obawy dotyczące domniemanej szkodliwości tej propozycji mogę odpowiedzieć, powołując się na słowa rodziców, którzy dzwonią do wydawnictwa i ze wzruszeniem mówią o tym, że ich dzieci po raz pierwszy w życiu przeczytały całą książkę. Docierają do nas również sygnały od bibliotekarzy szkolnych, którzy zauważyli, że część dzieci po przeczytaniu wersji uproszczonej prosi o oryginał. Takie informacje utwierdzają nas w przekonaniu, że to lekturowe przedsięwzięcie ma sens.

Na zakończenie dodam jeszcze, że nasze poszukiwania sposobów pomocy dzieciom

*dyslektycznym wciąż trwają. Nieco inną propozycją jest wydanie „Zemsty” Aleksandra Fredry (z pełnym tekstem utworu), której egzemplarz chciałabym Pani ofiarować. Z wyrazami szacunku*

Małgorzata Jaworska  
Gdańskie Wydawnictwo Psychologiczne

Szanowna Pani — odpowiadam — nie ma nieporozumienia. Jest wzajemne niezrozumienie. Rozumiem, rzecz jasna, powody, dla których obstaje Pani przy swoim; lecz i ja pozostanę przy swoim. Fakt, że pomysł z opracowywaniem uproszczonych wersji lektur nie jest nowy, bynajmniej nie znaczy, że jest dobry. To, że *całe pokolenia Polaków znają pewne książki wyłącznie z opracowań, skrótów i bryków*, nie może służyć za usprawiedliwienie dla wydawania kolejnych. (Notabene, nie wierzę, że z uproszczonych wersji lektur korzystać będą tylko dyslektycy). Jak już pisałam, prawdziwe poczucie sukcesu nie towarzyszy zadaniom celowo ułatwionym. Dzieci dyslektyczne potrzebują terapii, potrzebują nietypowego prowadzenia, specjalnych ćwiczeń. Nie nadają się do zwykłej polskiej szkoły — nawiasem mówiąc, nie nadają się do niej także dzieci bez dysleksji, czytające i piszące bez kłopotów i nie mające kłopotów z pochłanianiem książek. One też nie dają rady i są przez szkołę dzisiejszą wychowywane do porażki. To właśnie dlatego szkołę polską trzeba zreformować, i to pilnie, i to koniecznie. A w ramach tej reformy — zająć się sprawą dyslektyków, zająć się na serio i od podstaw. Nie ułatwiać im życia przez upraszczanie zadań, lecz przez dostosowanie zadań do ich możliwości percepcyjnych. A to są oczywiście dwie różne sprawy. Zresztą, nadesłana przez Panią książka, najnowsza pozycja serii „Lektury dla tych, którym czytanie sprawia trudności”, ukazuje to najwyraźniej. Jest to „Zemsta” Aleksandra Fredry. W pierwszej chwili przestraszyłam się, że teraz nawet rozkoszne komedie Fredry będzie się skracać, uprzystępniać i upraszczać. Ale nie, komuś ręka drgnęła i z jakichś powodów tekst sztuki przytoczono w całości. Książka może służyć za wzór tego, jak omawiać dziś w szkole teksty dawne, sprawiające współczesnym dzieciom kłopot z racji języka. Wydaje mi się, że to właśnie tędy droga! — przez obfite przypisy i objaśnienia słów i pojęć, zjawisk i anachronizmów. Przenigdy nie zgodzę się natomiast z twierdzeniem, że nakłanianie uczniów do czytania skróconych wersji dzieł literackich może służyć czemukolwiek poza zwiększeniem dochodów wydawcy owych bryków. Proszę Pani, dzieci dyslektyczne nie potrzebują protez, bo nie są kalekami. Cierpią na — powiedzmy — pewien niedowład, który można i trzeba łagodzić terapią, ćwiczeniami, stopniowym zwiększaniem trudności. Zdecydowanie trzeba nakłaniać je do tego, by więcej pracowały! (Wiem, co mówię: jestem matką dyslektyka). Najgorszą rzeczą byłoby dla kogoś takiego zaniżanie oczekiwań i wymagań — ponieważ dyslektyk (dziecko w pełni inteligentne i w jakiejś mierze bardziej uzdolnione od rówieśników) będzie musiał przejść ze szkoły podstawowej do średniej i tam już nie „Krzyżaków” będzie czytał, ale „Braci Karamazow” i świętego Tomasza. Czy należy więc wszystkie dzieła literatury światowej, które napotkać może dyslektyk na swej drodze życia, przepisać na nowo, w wersji uproszczonej? A może w ogóle pokażmy mu wszystko na wideo?

Ależ nie. Nie ma dla dyslektyka lepszej drogi niż równomierne, intensywne ćwiczenie, niż wytrwała praca. Dysleksja bowiem, na szczęście, nie jest dana na wieki. Najczęściej w wieku dojrzewania w znacznym stopniu się z niej „wyrasta” pod jednym warunkiem: że się ćwiczyło.

Natomiast należy się dyslektykom uwaga i pomoc ze strony szkoły i całego systemu oświatowego — i o to należy się bić. A jeśli chcemy usprawnić im zmundny proces nauki, to na początek przetłumaczmy na uczciwy język polski, na język zrozumiały, klarowny i czysty, podręczniki historii i geografii. Proszę kiedyś zajrzeć do podręczników tych przedmiotów dla szkół podstawowych! — jak to w ogóle można zrozumieć, jakim cudem można się tego nauczyć? Wykuwając, słowo po słowie, na pamięć?! Osobiście ratowałam i ratuję wszystkie swoje dzieci,

oraz dzieci znajomych, za pomocą książki „Dzieje Polski opowiedziane dla młodzieży” przez profesora Feliksa Konecznego (Poznań–Warszawa–Wilno, 1922). Historia jest tam tym, czym jest naprawdę: wielką przygodą, barwną awanturą, skomplikowaną grą interesów o dość czytelnym zasadach, bujnym romansiem i bohaterskim czynem. Po wojnie już tak nie pisano podręczników. Nowy ustrój przyniósł rozumienie historii jako ciągu układów politycznych i ekonomicznych, i uczynił z tego przedmiotu w szkole straszliwą piłę i nudziarstwo. To samo dotyczy geografii: zamiast zachwycać się pięknem Ziemi, na której żyją, uczniowie muszą wkuwać na pamięć, jaki przemysł ciężki lub lekki, jakie kopalnie i porty znajdują się na naszej planecie, i w którym dokładnie miejscu.

Marzę o tym, żeby autorzy podręczników szkolnych nie oczekiwali od odbiorcy okrzyku: „Ach, jaki ten pan profesor mądry! Jakie trudne zna słowa!” — tylko: „Ach, jaka ta geografia w gruncie rzeczy prosta! Jaka ta historia ciekawa!”. Nie jest to zresztą głównie kwestia zawartości merytorycznej, tylko języka. Wielkość przejawia się prostotą i skromnością. A tymczasem nasi autorzy piszą w sposób napuszony, pseudonaukowy, ich język obfituje w terminy niezrozumiałe, pozbawiony jest klarowności, a co najgorsze ze wszystkiego — jest śmiertelnie nudny! Uwolnione od konieczności przedzierania się przez ten koszmar, nasze dzieci, być może, mniej bronąć się będą przed tekstami literackimi w oryginale. Pamiętajmy bowiem o tym, że nawet świeży umysł dziecka ma swoją barierę odporności.

Inna sprawa — jak już pisałam — czy aby na pewno niezbędne jest zamieszczanie dziś w spisach lektur obowiązkowych akurat „Krzyżaków”? Dzisiejsi mali telewizzowie nie odnajdują już dreszczyku emocji przy czytaniu przygód Juranda ze Sychowa, z powodu zbyt wolnego, jak na potrzeby gatunku, tempa narracji. Powieść przygodowa, zdaje mi się, umiera na naszych oczach śmiercią naturalną. Zabija ją zestawienie z tempem montażu filmowego — tempem wszechobecnym. Dzisiejsze dziecko uruchamia wyobraźnię raczej przy powieści obyczajowej lub fantastycznej, raczej przy baśni, niż przy powieści historycznej. Przeanalizujmy więc spisy lektur — ale lektur tych nie upraszczajmy, nie skracajmy, nie zabijajmy ich urody i stylu. Tego robić po prostu nie wolno.

\* \* \*

Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy, melduję się po dłuższej nieobecności, spowodowanej, jak zwykle o tej porze roku (męcząca regularność!), pisaniem nowej powieści („Tygrys i Róża”). Terminy w dzisiejszym świecie są bardzo obligujące, więc, żeby nie wypuścić jakiej fuszery, biedna autorka musi się maksymalnie skoncentrować na swej pracy, pisząc po osiemnaście godzin na dobę i nie zwracając większej uwagi na świat zewnętrzny. Taka koncentracja dobrze robi książce. Gorzej z autorką. Trzeba przynajmniej tygodnia, by się zreanimowała, kiedy już wreszcie odda tekst wydawcy i przestanie nawykowo przebieierać palcami w powietrzu, co ma miejsce jeszcze przez jakiś czas po tym, gdy ją — sztywną — wyniosą z za biurka. Jakież ciekawy jest ten pierwszy tydzień wolności! — zupełnie jakby się wyszło z piwnicy. Reanimację zaczęłam od wyleczenia spojówek. Od razu też ujrzałam rzeczywistość — ostro i wyraźnie. Jest niedobrze. Bardzo wielu lekarzy przestało leczyć, skłaniając się raczej do uzalania się nad swym losem. Bardzo wielu nauczycieli przestało uczyć, ograniczając się do działań pozornych i pobierania co miesiąc „tych nędznych groszy” oraz przelewania swej frustracji na Bogu ducha winnych uczniów. Bardzo wielu uczniów straciło wszelką nadzieję, radość życia i wiarę w swą udaną przyszłość. Bardzo wielu rodaków zaczęło używać najobrzydliwszych wyrazów, jakie zna polszczyzna. Kolejny twórca kultury wyznał z dumą w telewizji, że zdradza żonę i że „zaliczył” już trzysta sześćdziesiąt pięć kobiet.

Natychmiast przeszłam do drugiej fazy działań reanimacyjnych i pojechałam na działkę. Tam z zaskoczeniem ujrzałam, że mimo wczesnej jeszcze pory kalendarzowej na zielonych grządkach pyszną się pełnym rozkwitem bukiety tulipanów, żonkili, narcyzów i szafirków, a niezapominajki tworzą pod drzewami całe jeziora błękitu. Rzuciłam się do pielenia, kopania, sadzenia i nawożenia oraz siewów (maciejka). Następnie wskoczyłam na rower i ruszyłam wraz z córką na pierwszy w tym sezonie objazd naszej pagórkowo-leśnej okolicy. Chłodno, chmurno, zielono i niewiarygodnie pięknie było w lesie. Tuż obok piaszczystej drogi odkryliśmy całe dywany kwitnących leśnych fiołków! — pełnia szczęścia. Coś takiego godzi człowieka z życiem. Pędząc po błotnistych, pełnych kałuż drózkach, ustaliłyśmy, co wiosną pachnie najpiękniej: dym! — ten z pierwszego po zimie ogniska, w którym spala się suche badyle, zeszłoroczne liście i martwe gałązki, odpilowane z drzew owocowych. Ten dym pachnie nadzieją na nowe życie i nowe piękno.

Kolejnym moim działaniem reanimacyjnym miała być wytęskniona wizyta w ukochanym antykwariacie naukowym, tym przy Starym Rynku. Spędziłam tam wiele cudownych chwil mego życia, począwszy od wczesnej młodości. Zostawialiśmy tam, mój brat i ja, wszystkie nasze oszczędności, a także wszystkie dodatkowo wyludzone od rodziny pieniądze, kupując używanego Tuwima albo Hermanna Hessego, albo kompletując Prousta. Antykwariat im. Żupańskiego, jedna z najlepiej prowadzonych placówek tego typu w Polsce, cechował się niepowtarzalną atmosferą i wspaniałym ładem. W przestronnym wnętrzu na parterze zabytkowej kamienicy, zajmującej róg uliczki wiodącej do Fary, można było przebywać dowolnie długo i pożerać książki na stojąco, jeśli się akurat nie miało pieniędzy. Jak zauważyliście zapewne, używam czasu przeszłego, a ton nostalgii wkrada się do tekstu mimo mej woli. Antykwariatu już nie ma. W ciągu jednego tygodnia Poznań utracił dwie z najlepszych swych księgarni: antykwariat właśnie oraz Księgarnię Muzyczną, także dotąd mieszczącą się przy Starym Rynku, w kamienicy po przeciwnej jego stronie. Antykwariat Naukowy trwał na swym miejscu od lat czterdziestu. Księgarnia Muzyczna miała mniej szczęścia: wolny rynek wyrzucił ją z długoletniej siedziby w samym centrum i w zajmowanym przez nią dotąd wielkim, pięknym lokalu na rogu Gwarnej utworzył salon bielizny damskiej. Odtąd, zamiast płyt i kaset w jednym z wielkich okien wystawowych, a książek i nut w drugim, poznaniacy mogą podziwiać czerwone koronkowe majtki, czarne biustonosze i kuse

haleczki, których nie powstydziliby się paryskie miejsce zatrudnienia Piękności Dnia. Miejsce nowe, to przy rogu Starego Rynku, znalazło się dla Księgarni Muzycznej z pomocą władz miejskich. Było to dobre miejsce i z przyjemnością tam zachodziłam, zwłaszcza po płyty kompaktowe (dostałam tam całego Goulda). Lecz duch wolnego rynku czuwał. Na początku marca obie znakomite księgarnie otrzymały decyzję o drastycznym, czterokrotnym podwyższeniu czynszu miesięcznego. Księgarnia Muzyczna miałaby odtąd płacić dwadzieścia tysięcy złotych miesięcznie (!), zaś antykwariat — dwadzieścia pięć tysięcy. Jak się okazało, obie kamienice staromiejskie mają tę samą właścicielkę (prasa nie podała jej nazwiska w informacjach o kłopotach obu księgarń). Naturalnie, czynsz takiej wysokości może zapłacić wyłącznie salon masażu, pub albo pijalnia wódki, więc też takie zapewne lokale wzbogacą pejzaż poznańskiej Starówki, i tak już zapchanej pijackimi mordulami, nietrzeźwą młodzieżą oraz narkomanami.

Trzeba podkreślić, że nowe władze miejskie zrobiły wszystko, co mogły: Komisja Kultury Rady Miasta ustaliła, że wspomże finansowo antykwariat im. Żupańskiego, płacąc zabójczy czynsz do końca sierpnia. Prawdopodobnie miasto wydzierżawi antykwariatowi pusty obecnie lokal po zamkniętej jakiś czas temu bardzo dobrej księgarni „Pod Papugami”. Księgarni Muzycznej wynalazł „Dom Książki” miejsce przy jednej z bocznych ulic Starego Miasta. Dobre i to. Cieszy myśl, że władze miejskie mają serce dla książki i dla kultury. Dziwi mnie natomiast, że prasa nie podaje nazwiska owej damy, która będąc właścicielką dwu kamienic w najdroższym punkcie najdroższej dzielnicy (i, jak głosi fama, posiadając jeszcze czterdzieści dwie inne kamienice w Poznaniu!), potrzebuje pieniędzy aż tak bardzo, że przyczynia się walnie do schamienia naszego miasta w samym jego sercu i wyszarpuje kulturze ostatnie jej przyczółki.

Skąd ta dyskrecja prasy? Przecież chętnie byśmy poznali to nazwisko, chętnie byśmy ujrzeli tę twarz! Takie osoby powinny być powszechnie znane, tak jak znany jest Herostratos, szewc z Efezu, który w 356 roku p.n.e. podpalił jeden z siedmiu cudów świata starożytnego — świątynię Artemidy. Uczynił to, co prawda, z nieco wznioślejszych, niż poznańska dama, pobudek: nie chodziło mu o pieniądze, chciał zdobyć sławę nieśmiertelną (notabene, za swój uczynek skazany został na śmierć i zapomnienie — o, ironio losu!). Zła to sława, ale sława; Herostratos znalazł swe miejsce w historii ludzkości. Poznańska dama mogłaby je znaleźć przynajmniej w Poznaniu. Można by ją wpisać do kronik miejskich.

Ale nikt o niej nie pisze. Woal dyskrecji osłania jej kapitalistyczną osobowość. Opinia publiczna jej nie napiętnuje, bo zresztą czegoś takiego jak opinia publiczna już chyba nie ma. Może więc tylko bywalcy nowych lokali w dwu kamienicach staromiejskich wymierzą sprawiedliwość, siusiając do ich bram, wymiotując regularnie na klatkach schodowych, wybijając okna i smarując tynki, drzwi i ściany wewnętrzne sprayowymi napisami ohydnej treści, takimi właśnie, jakie pokrywają od góry do dołu marmurowe ściany przejścia podziemnego pod poznańską Kaponierą.

Ale słaba to pociecha, szczerze mówiąc.

Nie ma już antykwariatu na Starym Rynku, ciepłe, żółtawe światelko nie rozjaśnia już okien na parterze zabytkowej kamienicy. W dotychczasowej postaci antykwariat nie odrodzi się już nigdy — księgozbiór zostanie rozproszony, częściowo ukryty w piwnicach, częściowo przeniesiony będzie do wynajętych pomieszczeń w innej dzielnicy. Na Starym Rynku zostały już tylko dwie księgarnie. Ciekawe, kiedy na nie przyjdzie kolej. Jeśli i one znikną (odpukać!!!), jedynym w tym punkcie miasta przybytkiem kultury, do którego będzie można zajść, by ratować umysł, serce i duszę, będzie Muzeum Instrumentów Muzycznych.

Muszę natychmiast się dowiedzieć, kto jest właścicielem kamieniczki, którą Muzeum zajmuje. Obawiam się, że nadaje się ona na bank.

Kończę więc, Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy, i ruszam na zwiady. Tylko po to, by uspokoić się powierzchownie. W gruncie rzeczy wszyscy doskonale wiemy, że jesteśmy



kompletnie bezsilni.

\* \* \*

W tym ciężkim zapracowaniu, w tym pośpiechu, zapomniałam o mnóstwie rzeczy, i wiele też spraw musiałam odłożyć na później. Nie zawiadomiłam was na przykład — Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy — że zostaliśmy z panem Musierowiczem szczęśliwymi dziadkami (hm... „zostaliśmy dziadkami”? — to jednak brzmi nieco dziwnie, bo ja raczej zostałam babcią — ale tak się przecież mówi, prawda?). Słowem, po trzynastu latach znów w naszym domu gaworzy niemowlę, tyle że tym razem nie jest to nasze wspólne dziecko, lecz nasz wspólny wnuk. Ciekawe doświadczenie! Tacyśmy przecież młodzi oboje... Oczywiście wszyscy w rodzinie są bez reszty oczarowani, lecz tylko my, dziadkowie (hm...), przeobraziliśmy się nagle w szczebioczących, pełzających na zawołanie po podłodze i bełkoczących z zachwytu niewolników tego czarnookiego, łagodnego bruneta o ciepłym uśmiechu. Gratulacje i wyrazy podziwu przyjmujemy w soboty i niedziele, kiedy to nasz wnuk nas odwiedza, a my wyrwamy go sobie z rąk, demonstrując gościom jego urodę i inteligencję oraz dwa jego pierwsze ząbki. Nietypowe to zachowanie, przyznaję, ale kto mógł się spodziewać, że nasz Cyprian będzie taki cudowny?

Dobrze. To byłaby jedna sprawa. Teraz druga, znacznie ważniejsza zaległość: dopiero dziś zawiadamiam Was, że ukazała się, nakładem wydawnictwa „Wiedza o kulturze” (Wrocław, 1998), książka profesora Zbigniewa Raszewskiego „Weryfikacja czarodzieja”. Składa się ona z kilkunastu wielkiej urody szkiców o teatrze i niepodobna dostać ją w księgarniach. Mnie samej przysłała tę książkę pani Anna Raszewska, dołączając miły list, którego fragment zacytuje: *Zbyszek uważał, że „Weryfikacja czarodzieja” to jedyna dobra rzecz, jaką napisał. Był przywiązany do tego starego Juliusa z jego magiczną latarnią. Myślę, że i inne szkice dadzą się czytać, a wybrane przez Timka teksty polemiczne z lat 1957–1958 ukażą Pani dobrotliwego profesora, którego Pani знаła, jako ostrego polemistę, mówiącego „psiakrew”. (...) Na okładce — oczywiście portret autora.*

Rzecz jasna, wszystkie teksty Profesora „czytają się” świetnie, nawet jeśli on sam, z sobie znanych względów, wyróżniał ten jeden szkic. Co do portretu (jest to reprodukcja podkolorowanego sztychu), przedstawia on, jak wyjaśnia pani Raszewska, aktora Panczykowskiego w jednej z jego ról teatralnych; odziany w surdut i haftowaną kamizelkę, koszulę z żabotem oraz halsztuk, pod pachą trzyma rulon papieru, a za uchem ma gęsie pióro. Uroczy ten obrazek zdobił jedną z całej serii książeczek, zawierających teksty dramatyczne, a wydawanych około połowy XIX wieku pod wspólnym tytułem „Teatra warszawskie”. Bardzo trafnie dobrano ten portret autora, a zarazem — portret czarodzieja. Siwy pan w binoklach, pochylony w pozie pełnej niedzisiejszej galanterii, rzeczywiście czymś nieuchwytnym przypomina Profesora Raszewskiego, który sam nazywał się zwolennikiem staroświecczyzny. Mógłby też tak może wyglądać Antoni Julius, bohater tytułowego szkicu, małego arcydzieła traktującego o duchu wolnym, tłamszonym przez władzę, i o rezygnacji wobec przemożnej siły biurokratów. Na podstawie znalezionych w Archiwum Akt Dawnych dokumentów odtworzył Profesor losy właściciela latarni magicznej, zwanej też latarnią czarnoksięską. Publiczny seans takiej latarni *polegał na wyświetleniu jakiejś ciekawej historii, której epizody poznawała publiczność, oglądając kolejne obrazy, objaśniane przez narratora i mechanika w jednej osobie. Porównywanie tej sztuki z dzisiejszym kinem wydaje się niezupełnie przekonywające. Był to raczej komiks, który przemawiał głosem żywego człowieka, a zatem siłą swojego oddziaływania zawdzięczał nie tylko wyrazistości obrazów i pomysłowości fabuły, ale i sztuce narratora, jego możliwościom interpretacyjnym, zdolności nawiązywania kontaktu z widownią, zmysłowi improwizacji. Jesteśmy na pograniczu dramatu i epiki, ale jeszcze w świecie widowisk, w tym jego sektorze, w którym szczególne znaczenie miewa ludzka mowa. Nie można pomijać tego czynnika w*

*karierze Juliusa. (...) Był artystą wędrownym. Krążył (...) po centralnej Wielkopolsce, zapewne od karczmy do karczmy.*

Nawiasem mówiąc, Antoni Julius był analfabetą. Cały prześliczny szkic Profesora Raszewskiego przepojony jest dyskretnym uczuciem braterstwa wobec tego ubogiego człowieka, który przez większą część swego życia zarabiał na chleb, wędrując po wsiach z latarnią magiczną i „wyświetlał cienie”, a przemawiał przy tym z pamięci i tak, jak mu fantazja dyktowała. A że fantazję tę miał — to pewne, skoro przez tak długi czas udało mu się przykuwać uwagę słuchaczy. Jak tyłu innych artystów, byłby i Julius przeminął bez śladu, gdyby nie fakt, że po drugim rozbiore Polski do Poznania wkroczyli Prusacy.

*W ślad za wojskiem ściągnęła chmara urzędników o tytułach, zainteresowaniach i kompetencjach dotychczas nikomu tutaj nie znanych. Powstała Kamera Wojennoskarbowa. Zaczęło się urzędowanie. Przed sztabem (...) defilował lud umiłający mieszkańcom życie na odpustach, jarmarkach i sejmikach. Linoskoczkowie, niedźwiedznicy, sprzedawcy cudownych olejków, marionetkarze i kataryniarze składali pisemne prośby, odpowiadali napytania dotyczące swej przeszłości i swoich zapatrywań, uiszczali opłaty. I albo dostawali pozwolenie, albo odchodzili z kwitkiem. Nowy rząd nie był okrutny, ale był surowy i podejrzliwy, cenił stateczność i powagę, bardzo źle usposobiony do wędrowników. (A już najgorzej do wędrowników wyspecjalizowanych w pobudzaniu ludzkiej wyobraźni).*

Z protokołu przesłuchania Juliusa przez Kamerę Wojennoskarbowa w Poznaniu wyczytał Profesor Raszewski dalsze koleje losu „Schattenspielera”. Julius musiał zalegalizować swoją działalność artystyczną. Cała historia jego początkowego posłuszeństwa wobec urzędniczej maszyny, późniejszego pragnienia odmiany losu, a na koniec — buntu Antoniego Juliusa oraz reakcji władzy — jest treścią szkicu, którego pisanie musiało przysparzać Profesorowi wiele uciechy z powodu narzucających się porównań do rzeczywistości, która go otaczała (szkic ukazał się po raz pierwszy w roku 1987, w „Polskiej Sztuce Ludowej”).

Ponadczasowość i głębię wszystkiego, co pisał Profesor, widać doskonale w każdym z zamieszczonych w tomie utworów, nawet w tym, który powstał najwcześniej, w 1950 roku (rozprawa o Zapolskiej — aktorce; to właśnie po przeczytaniu tego tekstu młodym doktorem Raszewskim zainteresował się sam Schiller), a najbardziej chyba — w ostatnim szkicu tomu „Weryfikacja czarodzieja”. Drukowany po raz pierwszy w roku 1958, szkic ten nosi tytuł „Kiedy historyk teatru pisze »psiakrew«,„. — *Rzadko. Gorączkowa atmosfera teatru udziela się na ogół wszystkim jego współtwórcom, jednak położenie historyka jest wyjątkowo korzystne. Artyści muszą czytać recenzje fligeladiutanta polskiej krytyki teatralnej, dlatego bez przerwy się denerwują. Historyk może, ale nie musi. Kiedy czuje, że grozi mu utrata równowagi, przerywa lekturę i bierze się do recenzji Teofila Gautier. Historyk teatru od innych ludzi różni się tym, że plastyczniej odczuwa obecność historii w terażniejszości i lepiej rozumie, że sztuka bez historii jest jak drzewo o podciętych korzeniach. Umie zachować wiele spokoju, ale na widok bezmyślności rujnującej to, co przetrwało dziesiątki pożarów i rabunków, nie może powstrzymać się od przekleństw — tu następuje opowieść o wystawie (w krakowskim Muzeum Narodowym, sezon 1957/58) makiet, rysunków i kostiumów projektowanych przez Wyspiańskiego. Jeden zwłaszcza eksponat wprowił mnie w głęboką zadumę. Jest to dekoracja do „Bolesława Śmiałego”, którą autor obmyślił i namalował w roku 1903. Twórcy wystawy powiedzieli mi, że wydobyto ją z magazynu (...) spod stosu rupieci, odnowiono i uzupełniono o brakujące części, pomysłowo odtworzone na podstawie zachowanych zdjęć. Mogłoby się zdawać, że wywoła sensację. Nie ma już dzisiaj krytyka, który dziejów nowej scenografii polskiej nie zaczynałby od wzmianki o dekoracji do „Bolesława Śmiałego”. Była to, jak wiadomo, jedyna inscenizacja, którą Wyspiański zdołał sam zrealizować w całości. A jednak poza „Pamiętnikiem Teatralnym” nikt o niej nie wspominał ani słowem. (...)*

*Wystawa zostanie rozmontowana w listopadzie 1958 roku. Co się stanie wtedy z dekoracją Wyspiańskiego? Tego nikt nie wie. (...) Cudem ocalała i odnowiona izba Bolesława w najlepszym razie wróci do rupieciarni, a w najgorszym pójdzie w ogień. Ostatecznie, tyle już się w Polsce spaliło!*

Natychmiast zaczęła mnie palić ciekawość. Gdzie jest ta dekoracja?! Czy w rupieciarni? Nikt nie wie. Pan Jerzy Timoszewicz, redaktor naukowy tomu „Weryfikacja czarodzieja”, wybitny znawca teatru, wskazał mi dwie osoby, które wiedzieć by mogły — ale po prostu nie śmiem do nich zadzwonić w tej sprawie. Może ktoś się odezwie sam, nie indagowany?

A dalej Zbigniew Raszewski komentuje ważne dla historyka teatru wydarzenie: ukończenie kapitalnego remontu jednego z niewielu zachowanych w Europie teatrów wieku osiemnastego: królewskiego teatru w Pomarańczarni, *jedynego już dzisiaj wnętrza, w którym występował Wojciech Bogusławski. Rzecz charakterystyczna, że warszawski tygodnik ilustrowany nie wyobrażał sobie, aby takie wnętrza (...) mogło zainteresować dzisiejszego czytelnika, jeśli nie sfotografować na jego tle kilku rozmaitych póż młodej tancerki. Dobrze to harmonizuje — pisze Profesor — z użytkowaniem — tym razem — unikatowego zabytku na całym świecie, teatru stanisławowskiego na wyspie. Na co dzień służy teatr — jak wiadomo — beztroskiej zabawie dzieci, które na widowni bawią się w berka. Od święta pokazom mód lub koncertom („wielkim koncertom” — wedle afiszów), które daje na scenie orkiestra Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania. (...) Nie wiem, jaka jest wrażliwość Buszmenów w stosunku do tamtejszej tradycji artystycznej, ale z góry wątpię, żeby mogła ich cechować jeszcze pogodniejsza beztroska.*

Tym zdaniem kończy się ostatni szkic książki poświęcony czytelnikowi, który za pięćdziesiąt lat przeczyta te słowa. I natychmiast po ostatniej kropce czytelnik, który przeczytał te słowa czterdzieści jeden lat po ich napisaniu, nie może się opędzić od skojarzeń. Rozumie też, że choć mijają lata, choć ludzie umierają i rodzą się nowi, choć zmieniają się czasy, stroje, warunki ekonomiczne i społeczne oraz status Polski — „roztargnienie” wedle delikatnego określenia Profesora oraz „pogodna beztroska” w stosunku do rodzimej tradycji artystycznej, kulturalnej i wszelkiej innej — pozostają niezmiennie. A nawet, powiedziałabym, chylą się ku gorszemu.

Na zakończenie dobra wiadomość, której jestem absolutnie pierwszą głosicielką: pani Raszevska zaproponowała wydawcom kolejne tomy „Raptularza”, obejmujące lata 1977 do 1992. Podobno są niesłychanie ciekawe, a najciekawszy i najobszerniejszy jest tom dotyczący roku 1991, pisany już wtedy, gdy Profesor był bardzo chory.

Obyśmy jak najszybciej mogli tę książkę przeczytać!

Na przekór Buszmenom.

\* \* \*

*Biblioteka jest instytucją, która samym swoim istnieniem świadczy o rozwoju kultury. (...) Jest wymownym znakiem jedności kolejnych pokoleń, które z różnorodności czasów i kwestii tworzą wspólne patrymonium kultury i nauki. Biblioteka jest więc szczególną świątynią twórczego ducha ludzkiego, który odzwierciedla owo Boże tchnienie, jakie towarzyszyło dziełu stworzenia świata i człowieka* — powiedział Jan Paweł II w czerwcu tego roku, przy okazji poświęcenia nowego gmachu Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego na Powiślu. Marzę o tym, by te słowa, mało jakoś rozpowszechniane (znalazłam je tylko w „Gazecie Wyborczej”) przypomniały się każdemu decydentowi w chwili, gdy najdzie go pokusa, by zubożyć, zdegradować lub wręcz zamknąć jakąś bibliotekę publiczną. O, wstydzie bezmierny — decydentów takich jest całkiem sporo, a jeden z nich decydował w Poznaniu, o czym zaraz opowiem.

Hrabia Edward Raczyński, urodzony w Poznaniu w roku 1768, a wychowany w podpoznańskim Rogalinie — wybitna indywidualność, polityk, podróżnik, znawca antyku i marynista, wydawca i pisarz wreszcie, a także mecenas sztuki, postanowił, *przejęty chęcią ułatwienia każdemu środków nabywania nauk i wiadomości*, ufundować Poznaniowi bibliotekę, zaznaczając w statucie fundacyjnym, że tę bibliotekę wraz z gmachem i kapitałami *temuż miastu tytułem własności w wieczne nadaje posiadanie*.

Ufundowanie biblioteki w centrum Poznania (dzisiejszy plac Wolności i Aleje Marcinkowskiego) nie było sprawą prostą. Centrum to zostało zaprojektowane przez Prusaków dla potrzeb, jak byśmy to dziś określili, propagandowych. Miało stanowić tło dla defilad wojskowych i innych demonstracji siły militarnej. Na ten właśnie teren, stanowiący własność skarbową państwa pruskiego, „wdarł się” — jak pisze prof. Jacek Wiesiołowski w tekście „Miejmy odwagę działać” („Gazeta Wielkopolska”, 3–5 kwietnia 1999) — po kilkuletnich staraniach, polski hrabia, wykupując grunt od skarbu państwa pruskiego, a w sekrecie zachowując przeznaczenie projektowanej budowli. W obecnym gmachu Muzeum Narodowego przy pl. Wolności mieściła się wtedy niemiecka komendantura, biblioteka zaś — wspaniały gmach wzorowany na Luwrze, a dostępny „bez różnicy osób” dla wszystkich czytających poznaniaków — wyrosła po jej prawym boku. W parę lat później jedną z nielicznych polskich parcel w tej okolicy, położoną po lewej stronie gmachu komendantury, wykupiła polska Spółka Bazarowa i wzniosła tam słynny Hotel Bazar, w którym spotykali się przedstawiciele polskiej inteligencji z całego zaboru pruskiego. Takim sposobem poznaniacy storpedowali projekt pruskiego centrum miasta. Piękne gmachy zdobią Poznań do dziś — zresztą, podobnie jak inne dziewiętnastowieczne instytucje kulturalne: Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Biblioteka Kórnicka, czy wreszcie Teatr Polski, który na frontonie nosi dumny napis: „Naród sobie”.

Edward hr. Raczyński wyposażył Bibliotekę sownie. Zaopatrzył ją w fundusz, złożony w banku, oraz unikalny, odziedziczony po przodkach księgozbiór, liczący trzynaście tysięcy cennych woluminów; wzbogacił go zresztą o zakupione niebawem księgozbiory uczonych i kolekcjonerów, a także o rękopisy i druki, zwożone z dalekich podróży. Konstancja Raczyńska, żona fundatora, podarowała Bibliotece zakupiony od Juliana Ursyna Niemcewicza księgozbiór, w skład którego wchodziły listy królów do rodziny Radziwiłłów, cenne autografy pisarzy polskich, w tym samego Niemcewicza, oraz wiele druków i atlasów z XV do XVII w. Z czasem Biblioteka powiększała zasoby i dziś poszczycić się może półtoramilionowym zbiorem woluminów, z których najcenniejsza część — zabytkowa i naukowa — stanowi narodowe dziedzictwo kulturowe. Rzecz oczywista, Bibliotece brakuje miejsca, więc też księgozbiór jest przechowywany w paru punktach miasta. Ze zbiorów Biblioteki (rozszerzonej już na pięćdziesiąt siedem filii i trzydzieści trzy punkty biblioteczne) korzysta corocznie około sto tysięcy czytelników, w tym ponad dwadzieścia

tysięcy dzieci szkolnych.

Wspaniała instytucja. Chłuba naszego miasta. W maju tego roku minęło sto siedemdziesiąt lat od dnia otwarcia Biblioteki Raczyńskich. Przez ten czas żadna władza, z pruską włącznie, nie ośmieliła się wywłaszczyć Biblioteki z jej gruntów fundacyjnych.

Stało się to — podobno wskutek przeoczenia czy nieporozumienia — dopiero w wolnej Polsce, w roku 1993.

Decyzją ówczesnego wojewody poznańskiego przylegająca do Biblioteki część parceli, zakupionej przez hr. Raczyńskiego, a mająca służyć w przyszłości dla rozbudowy gmachu (czyli 3775 m<sup>2</sup> gruntu, o wartości — wedle obliczeń „Gazety Wielkopolskiej” — dziewięć milionów dzisiejszych polskich złotych) została подарowana Telekomunikacji Polskiej S.A., dla zbudowania tam kompleksu hotelowo–gastronomiczno–motoryzacyjnego.

Nie będę wnikać w zawłości prawne (ściśle biorąc: chyba bezprawne!) i wyjaśniać okoliczności tego zdarzenia; wystarczająco wnikliwie i wszechstronnie naświetliły to już poznańskie media. Chciałabym tu tylko opowiedzieć o tym, jak dzisiejsi poznaniacy zareagowali na pierwsze sygnały Stowarzyszenia Przyjaciół Biblioteki Raczyńskich, utworzonego natychmiast po ujawnieniu sprawy na łamach „Gazety Wielkopolskiej”.

Otóż, Stowarzyszenie to (mam zaszczyt znajdować się wśród jego założycieli) zorganizowało wielki happening na placu Wolności. Było to 22 czerwca, zaraz po odlocie Papieża. Pogoda była wstrętna — zimno, wicher i potoki lodowatego deszczu przez całe popołudnie. Organizatorzy obawiali się, że mimo licznych zawiadomień w mediach nikt nie przyjdzie na plac Wolności, by wziąć udział w happeningu i złożyć podpis pod petycją, broniącą Biblioteki.

A jednak ci kochani poznaniacy przyszli!

Kolumny pięknego gmachu Biblioteki były spowite kirem, czernią okryty został również posąg Hygiei, a pod kolumnadą, z wysokości piętra, poeta i bard Jacek Kowalski (Monogramista J. K.) wyśpiewywał balladę okolicznościową; aktorzy (znakomita Kazimiera Nogajówna w roli Konstancji Raczyńskiej) odczytywali Lamenty, a Juliusz Kubeł, twórca monologów Starego Marycha (co niedziela mówiącego gwarą poznańską do słuchaczy Radia Merkury), zagrzewał do boju z obcą flotą (papierowe łódeczki, pływające po wodach basenu fontanny). Kto mógł, pomagał zbierać podpisy, a ja sama zebrałam ich kilka bitych stron. Cóż to było za wspaniałe przeżycie, ujrzeć tylu naraz wiernych Czytelników i tyle ujmujących Czytelniczek! — do dziś mam w oczach te wszystkie miłe, inteligentne twarze, które przesunęły się przed moim stolikiem — nobliwe starsze panie i szlachetni panowie, mnóstwo młodzieży (podpisy składano, używając jako podkładki pleców pewnego muskularnego młodzieńca), mamy z dziećmi („A to jest, pani Małgosiu, najmłodsza czytelniczka — ma dopiero pięć latek!”), artyści i artystki, piękne damy, koledzy pisarze, koledzy plastycy, profesorowie i lekarze, nauczyciele i licealiści, i małomówny mężczyzna o spracowanych rękach i ciężkim spojrzeniu, i bojowa babcia w czerwonej pelerynie („Precz z Telekomunikacją!”). Petycję podpisała także miła pani Kasia Męczyńska, konserwator zabytków, której przodek, pan Zdzisław Szulc, ufundował naszemu miastu wspaniałe Muzeum Instrumentów Muzycznych, przekazując w darze swoje unikatowe zbiory z całego dosłownie świata. Po doliczeniu zebranych we wszystkich filiach Biblioteki głosów okazało się, że jest ich parę tysięcy, i że wciąż napływają nowe!

Rozeszliśmy się wreszcie do domów w nastrojach raczej dziwnych. Z jednej strony byliśmy zadowoleni, z drugiej — niepewni, co z tego wszystkiego wyniknie.

Ale oto 6 lipca w „Gazecie Wielkopolskiej” ukazała się notatka (przeczytałam ją już na wakacjach, bo właśnie siedzę na mojej kochanej działce, ciesząc się życiem i ogrodem, wyjątkowo bujnie kwitającym tego lata): „Rozmowy o Bibliotece”. *Pierwsze wielostronne rozmowy o przyszłości Biblioteki Raczyńskich odbyły się wczoraj w Poznaniu. Spotkali się prezydenci*

*Poznania, Ryszard Grobelny i Maciej Frankiewicz, dyrektor Telekomunikacji Polskiej S.A. w Poznaniu, Kazimierz Turza, oraz dyrektor Biblioteki Wojciech Spaleniak. Zadeklarowali, że chcą dążyć do ugody — uznając, że kompromis jest potrzebny i możliwy.*

A ja — muszę tu się teraz przyznać — byłam pesymistką w tej sprawie! — choć nikomu nie zdradziłam swych wątpliwości.

No i, jak widać, tak właśnie trzeba.

Upomnieliśmy się o należne Bibliotece miejsce. *Wypracowała to sobie przez 170 lat — napisali 11 maja '99 przedstawiciele związków zawodowych Biblioteki Raczyńskich i Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich, w petycji skierowanej do prezydenta Poznania. — Nie wolno upychać jej byle gdzie, zmieniać dowolnie lokalizację, rozstawiać po rozmaitych kątach tego miasta. Biblioteka to nie tylko zbiór książek, to także centrum życia, podstawowe ogniwo integracji społeczeństwa. (...) Biblioteka zawsze stanowiła jądro cywilizacji. To była przestrzeń, która formowała całą resztę — tradycję i pamięć, rozum i postęp. Dzisiaj nie jest inaczej.*

Z tekstu prof. Jacka Wiesiołowskiego (historyka, redaktora naczelnego „Kroniki Miasta Poznania”): *Miejmy odwagę pomarzyć o wielkiej, nowoczesnej Bibliotece Raczyńskich na tyłach jej historycznego gmachu. Gdy obliczymy jej koszt, to i tak okaże się znacznie mniejszy od inwestycji, na jakie miasto się odważyło — Szybkiego Tramwaju, mostów czy wiaduktu. Zafundujmy sobie miejsce do czytania książek — taki pomnik 750-lecia miasta Poznania. I dawny Poznań, i współcześni poznaniacy są tego warci. Miejmy odwagę marzyć i realizować marzenia.*

\* \* \*

Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy, ledwieśmy się obejrzeni, ledwieśmy nieco wypoczęli na naszej ukwieconej ziemi pośród lasów i łąk, ledwie nam się udało zapamiętać o mieście, szkole, polityce i innych schorzeniach życia publicznego, już nam jesień, jak to ona, zaczyna podsyłać swe subtelne aluzjki. A to, nakłoniony mocniejszym podmuchem, żółty liść spływa z czereśni, a to nieodwołalnie przekwitają królewskie lilie, a to znów pewnego ranka na zielonym, zwartym warkoczu mieczyka ukazują się cynobrowy czubek kwiatu, i wreszcie — o, melancholio! — dostrzegamy, że pod jabłonią różowieje pierwszy aster... „Lato, poczekaj chwilę!”... Cóż to, u licha, przecież lipiec jeszcze się nie skończył, a on już kwitnie?!... Miłe róże, one przynajmniej nie przejmują się aluzjami jesieni — kwitną tego roku wyjątkowo wspaniale. Zresztą — nie tylko moje. Przemykając na rowerze pomiędzy domkami sąsiadów, zaglądam przez płotki, płoty i żywopłoty, i cieszę się widokiem różanych specjalów. U pana Stanisława Żyły, w Chybach, tegoroczna wielkość i obfitość róż przechodzi ludzkie pojęcie. Byłam tam niedawno, z przyjaciółką Kasią; zawiozła nas do Chyb kochana pani Eugenia Żyłowa i ledwie nas wysadziła z samochodu — już musiała się śmiać. Zaczęłyśmy piszczeć jak nastolatki na widok tego rozległego pola pociętego barwnymi, długimi pasami (w tym roku pan Stanisław posadził róże wedle kolorów, kolejno: białe, seledynowe, kremowe, żółte, płowe, pomarańczowe, miedziane, różowe, cynobrowe, karminowe, amarantowe i fioletowe). Na te piski nadszedł przez pole, śmiejąc się z daleka, sam pan Żyła, ubrany w kapelusz z siatką, gumki oraz rękawice; właśnie zajmował się swoimi pszczołami. Ten człowiek szczęśliwy, wiceprezes Polskiego Towarzystwa Miłośników Róż, znany twórca nowych odmian, ma twarz brązową i białe czoło, a w ciemnych oczach błysk radości życia.

No i zaczęło się.

Państwo Żyłowie oprowadzili nas po swoim polu, ścinając z każdego krzewu po kilka świeżych kwiatów i obdarowując nas tak hojnie, żeśmy potem załadowały tymi klejnotami cały bagażnik samochodu. Kochane Czytelniczki, wiercie mi na słowo, kiedy tak człowiek stoi pośrodku wielkiego pola róż, w słońcu, pod lśniącym niebem pełnym mknących cumulusów, kiedy wieje lekki, wesoły wiatr, a tuż obok słodko i mocno pachnie fioletochoróżowa „Char—treuse de Parme” — to już jest pełnia szczęścia. A cóż dopiero, gdy się ma w ramionach rosnący z każdą chwilą bukiet — nie, naręcze!, nie — snop! — kwiatów, z których każdy jest skończoną doskonałością zarówno pod względem formy, jak i treści! Tego się nigdy nie zapomina. Naprawdę.

Shczęśliwy człowiek, który znalazł swoją pasję i swoje miejsce na ziemi, który przez ponad czterdzieści lat zajmuje się tym, co kocha, i w pracy tej odnosi wspaniałe sukcesy — pan Stanisław Żyła zapoznał nas ze swoim najnowszym dziełem, stworzoną przez siebie różą okrywową „Hokus—pokus”. Jest śliczna! — wesoła, żywotna i mocna, czerwono—karminowa. Znalazła się wśród sześciu najpiękniejszych odmian, wyhodowanych przez pana Stanisława (wraz ze słynnym „Chopinem”, żółtym w pąku, a kremowobiałym w fazie rozkwitu, z miniaturową, białą o różowym przebarwieniu, „Św. Tereską”, z płowo—ugrowym „Profesorem Kownasem”, z zawrotnie pachnącą karminową, wielką „Venrosą” oraz z najnowszą kreacją, nie nazwaną jeszcze koralowo—pomarańczową przedstawicielką gatunku floribunda), a wystawionych na zakończonej 19 lipca ogólnopolskiej wystawie róż w warszawskich Łazienkach. Wszystkie one zdobyły dla swego twórcy nagrodę — Złotą Różę. Nawiasem mówiąc, jest to pierwsza polska nagroda indywidualna dla pana Żyły, którego poza tym nagradza i podziwia cały świat. No, ale jest to niewątpliwie pewna norma krajowa i nic nas już w tej mierze nie zdumiewa. Róża „Profesor Kownas”, na przykład, wygrała dla pana Żyły główną nagrodę w klasie wielokwiatowych, w Bagatelle, w Paryżu. Było to w roku 1995 i do dziś nic byśmy o tym fakcie nie wiedzieli, gdyby



nam o nim nie powiedział, zapytany, sam autor. Podobnie było w sprawie wielkiego zaszczytu, jaki właśnie spotkał pana Stanisława, a także panią Irenę Gołębiowską, przez długie lata prezeskę Polskiego Towarzystwa Miłośników Róż, a obecnie — prezeskę honorową. Przy okazji lipcowej wystawy warszawskiej każde z nich odznaczono krzyżem I klasy, nadanym przez króla belgijskiego Alberta II. To wyjątkowe odznaczenie, utworzone edyktem królewskim z roku 1889, pani Gołębiowska i pan Żyła otrzymali za wspólną akcję dotyczącą przekazania dochodów ze sprzedaży róży „Chopin” na rzecz paryskiego Instytutu Walki z Rakim, dla leczenia dzieci chorych na białaczkę. To ostatnie wskazanie ma swoją smutną i piękną historię: mała Francuzka Joelle, umierając na raka, wyznała, że chciałaby stać się różą. Po jej śmierci ojciec poprosił o nazwanie imieniem dziewczynki jakiejś nowej róży i wtedy zgłosił się estoński hodowca, pan Kryloff (a pewnie: Kryłow?) ze swoją nową odmianą — delikatną, białoróżową. Nadano jej imię „Joelle”, a dochody z praw autorskich przeznaczył pan Kryloff dla paryskiego Instytutu. Po upływie trzech lat sam Meilland, wielki hodowca francuski, zgłosił dla tej sprawy swoją nową czerwoną „Espoire”, zaś nasz „Chopin” jest trzecią na świecie różą, której sprzedaż przynosi dochód funduszowi dzieci chorych na białaczkę.

To naprawdę ze wszech miar piękna róża. Cudowna.

Podziwiana powszechnie na świecie, rośnie także w ogrodach watykańskich. I tylko polskie media, donosząc o tym, jak adorowany był „Chopin” na warszawskiej wystawie, zapomniały podać, kto tę różę stworzył i kto przydał jej takiego znaczenia. No, ale to też jest polska norma, więc przestańmy się tak naiwnie gorszyć. Przecież wiemy, że w ojczyźnie naszej grzeczność już nie obowiązuje (nie wiem, kto ją odwołał i kiedy, ale przyznać trzeba, że zrobił to skutecznie).

No i co z tego. Pan Stanisław Żyła nie jest osobą, która by potrzebowała reklamy czy poszukiwała poklasku. Żyje, tworzy i pracuje jak prawdziwy artysta — dla Piękna. Żeby zachwycało.

Jestem szczerze dumna z tego, że go znam i że oboje — i pani Eugenia, współtwórczyni wszystkich sukcesów męża, i pan Stanisław, który właśnie opuścił Akademię Rolniczą w Poznaniu i jest najbardziej promiennym emerytem w Polsce, ponieważ nareszcie ma więcej czasu dla róż i pszczoł — zaszczycają mnie swoją przyjaźnią: piękni ludzie o dobrych sercach, przez całe wspólne życie pochłonięci wspólną pasją. Dzięki takim jak oni, świat wciąż jeszcze jest miejscem, gdzie chce się żyć.

Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy, postanowiłam dziś słowem nawet nie wspomnieć o nadejściu jesieni; stwierdziłam bowiem, że się robię monotematyczna. Poza tym fakt, że lato dobiegło końca, zauważyliście już sami bez mojej pomocy, a gdybyście nawet i nie zauważyli, i tak musielibyście doznać określonych skojarzeń, przeżywając w swych szkołach inaugurację roku szkolnego, skądinąd trudne do wytrzymania. Nie wiem, dlaczego wszelkie szkolne uroczystości i apele muszą zawsze tchnąć nudą i cechować się pompatycznym zadęciem. Czy nie można wychowywać młodzieży bez tego? Jedyne w szkole podstawowej o profilu teatralnym — „Lejery”, w Poznaniu, rozpoczęcie roku jest miłe, śmieszne i radosne. Rok temu, pamiętam, dyrektor Jerzy Hamerski fiknął nawet koziołka przed zachwyconym tłumem zerówkowiczów i pierwszaków. W obliczu nowego roku szkolnego życzę Wam, Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy, żeby i Wasi dyrektorowie mieli wdzięk i poczucie humoru, zwłaszcza na własny temat, żeby Wasi nauczyciele byli wyrozumiali, przyjacielscy i życzliwi, żeby uczyli Was wspaniale, uznając jednocześnie Wasze prawo do błędów, pomyłek, zapomnień i nawet chwilowych załamania pilności, żeby potrafili dostrzec, jak ciężko Wy pracujecie — tak jest, bardzo ciężko; wciąż jeszcze pracujecie dłużej i wydajniej niż niejeden górnik, ponieważ po ośmiu godzinach stresującej pracy w szkole musicie się ostro uczyć jeszcze po południu, wieczorem i w nocy. Nauczycielom z kolei życzę, żeby ich ciężka (w równie wielkim wymiarze godzin) praca została nareszcie doceniona przez państwo. Dla wszystkich powinno stać się jasne, że praca nauczycieli jest niezwykle ważna, niezwykle odpowiedzialna, że od tej pracy naprawdę zależy polskie jutro. Życzę też nauczycielom, żeby mieli uczniów dobrych, spokojnych i uczciwych, a także — pilnych, chętnych i pracowitych. Wszystkim zaś życzę, żeby reforma oświaty udała się, dla dobra Polski, na szóstkę — a życząc tego, walczę z poczuciem beznadziejności, która zawsze ogarnia człowieka, gdy zniemacka zda sobie sprawę, że oddaje się czczym marzeniom. Cóż, bądźmy więc realistami: życzę Wam po prostu wielu sił dla przetrwania kolejnego roku szkolnego.

I tyle.

A teraz spieszę przeprosić tych wszystkich, którzy napisali do mnie w ciągu trzech letnich miesięcy i nie doczekali się odpowiedzi. Listów przychodziło tyle, że choć starałam się odpisywać w miarę sił — po prostu nie dałam rady. Nie mogłabym robić niczego innego! W dodatku ciągle giną mi (przekleństwo!) koperty Waszych listów, a na nich — adresy zwrotne. Ale bądźcie pewni, że czytam każdy list i natychmiast odpowiadam na niego w myśli, cieszę się wszystkimi dobrymi wiadomościami. Najlepsza z nich to ta, że bardzo lubicie czytać i że „Frywolitki” podsuwają Wam propozycje książek naprawdę godnych uwagi. A najbardziej lubię takie listy, w których to Wy zachęcacie mnie do przeczytania książki, która Was zachwyciła!

*Piszę do Pani z prośbą, by zarekomendowała Pani na łamach „TP” dwie książki. Jedna z nich jest dla dzieci, druga o dziecku. Obie są o miłości — pisze Magdalena S., mieszkająca w Czechowicach-Dziedzicach. — „Jeż” Katarzyny Kotowskiej to przepiękna książeczka, wydana przez „Egmont”, o chłopcu, który chciał być kochany, ale miał kolce i bardzo trudno było go kochać i przytulać. Niby dla dzieci — ale chyba głównie dla rodziców.*

*Druga książka — „Mój syn nie odszedł” — Blanki Tabaszowej, to opis walki o życie Adasia, oczekiwanie cudu i stopniowa utrata nadziei. Cud nie nastąpił... Choć, jak pisze autorka, „może cudem jest, że nasza wiara pozostała mimo wszystko nienaruszona, może cudem jest, że przetrwało nasze małżeństwo...”. Chociaż niełatwo się wzruszam, podczas czytania obu książek towarzyszyły mi łzy. Dziękuję, Magdaleno — jak widać, Twojej rekomendacji wystarczy i wcale nie muszę specjalnie pisać o tych dwu książkach. Na pewno poszukam ich w księgarniach.*

*Z listu Kasi Janickiej z Poznania: Przczytałam z ciekawością Pani relację z akcji protestacyjnej w obronie Biblioteki Raczyńskich i żałuję, że sama nie protestowałam (złęklam się tego deszczu i teraz mi wstyd). Może zaciekawi Panią, że Edwarda hr. Raczyńskiego opisuje w*

książce „Dzieje moje własne”, wydanej przez Świat Książki, Wirydianna Fiszerowa, jego krewna. Jest tam też sporo o Rogalinie Raczyńskich! Proszę polecić tę książkę czytelnikom „F”, ponieważ napisana jest lekko, a przy tym mądrze, dowcipnie i ciekawie. Zawiera dużo interesujących wiadomości historycznych, spisanych przez niepospolitą kobietę o wielkim talencie literackim. Wirydianna Fiszerowa, której mąż, generał Stanisław Fiszer, był adiutantem Kościuszki i szefem sztabu wojsk Księstwa Warszawskiego, znała Napoleona. Była świadkiem wielu ważnych zdarzeń naszej historii, a z Kościuszką przyjaźniła się i korespondowała (dostała nawet od niego bukietek fiołków). Po pierwszym spotkaniu scharakteryzowała go tak: „Był całkiem inny, niż go sobie wyobrażałam na podstawie portretów widzianych w Polsce. Rysy jego twarzy nie były ciężkie, grubo ciosane, jakie mu się przypisuje; przeciwnie, delikatne i cienkie, co łagodziło ich nieregularność. Twarz miał bardzo pomarszczoną, oko bystre, nos mały i zadarty, a wargi cienkie, usta raczej szerokie i słabe uzębienie. Rodziną byli mu wszyscy rodacy. Ten przymiot wystarczał, by zapewnić jego przyjaźń. Już po kwadransie było się z nim na stopie tak niewymuszonej i bliskiej, jak gdyby się go było znało przez całe życie. Uderzyło mnie to od razu. Kościuszko nie troszczył się wcale o obmyślenie swojego postępowania; przejrzeć go nie było rzeczą trudną”. — Czy Pani nie uważa, że to nie jest dobra cecha u generała? — pyta celnie Kasia.

I wreszcie — fragmenty listu doktora Jana Łazowskiego z Wrocławia: Wychowawcy twierdzą (są na to źródła naukowe), że dzieciom należy dawać książki już w pierwszym roku życia, jeszcze zanim nauczą się mówić, bo to je rozwija i potem w życiu całym Umieją z nich korzystać i lubią w najszerszym tych słów znaczeniu. Należy przy tym zachować pewne warunki. Nie zmuszać do oglądania ani czytania, lecz tylko wtedy brać książkę, gdy dzieci na to się zgadzają lub same chcą i najlepiej (to ważne!) na kolanach najbliższych, kochających osób (wtedy zgodzą się z łatwością).

Inny warunek to odpowiednie książeczki dla odpowiedniego wieku. Myślę teraz o pierwszym i drugim roku życia, i może trzecim. O tym wieku właśnie, bo na ogół sądzi się, że książki należy dzieciom dawać, kiedy umieją lub co najmniej zaczynają czytać, i ten pogląd wyraża większość osób nawet z grona pedagogicznego. Tymczasem należy dużo wcześniej, choć pierwsza książeczka może być raczej zjadana niż oglądana. Myślę o tym wieku także dlatego, że jestem szczęśliwym dziadkiem (71) półtorarocznej wnuczki i sprawdziłem na niej z wielkim powodzeniem te nauki, poznane profesjonalnie i z ciekawości.

Chcę teraz powiedzieć, jakie to mają być książeczki. Otóż przede wszystkim kolorowe obrazki, tekst w nich tylko po to, aby ułatwić dorosłym komentarze. Ryciny jak najbardziej naturalistyczne i przedstawiające pogodnie przedmioty i sytuacje spotykane w życiu małego dziecka. Dla przykładu podam, że zainteresują bobasa obrazki z „podręcznika” dla młodych rodziców, np. Larousse’a, w którym zobaczy takie same bobasy, jak on sam, myte, karmione, chodzące itp., a także w pewnej chwili dojrzy, że jego nóżka jest identyczna z tą na obrazku, co wywoła fale radości, do wielokrotnego powtarzania. Zatem nie nadają się dla rocznego dziecka obrazki Disneya i inne stylizowane i zniekształcane figury (najczęściej straszliwe bohomyzy), których nie rozumie i nie może z niczym porównać (na szczęście!). Skąd wziąć takie książki? Polskie produkcje są dobre, ale tylko dla starszych dzieci (Brzechwy, Kownackie i mnóstwo innych), takich z naturalnymi ilustracjami nie ma. Zalewają półki wytwory amerykańskiego i azjatyckiego przemysłu księgarskiego, też nie dla małych dzieci, jeśli to jest w ogóle dla dzieci!

Na szczęście ratuje sytuację — proszę zgadnąć co? Książeczki tłumaczone z francuskiego! Tak właśnie! Jest ich niewiele i są adresowane do starszych dzieci, ale dzięki naturalnym, bardzo dobrym, licznym ilustracjom (szczególnie Pierre Couronne, w 4 tomikach o „Martusi” po 5 zł, wydanych przez DEBIT z Bielska-Białej), przedstawiającym zwykłe otoczenie, nadają się dla tych najmniejszych. Inna seria to droższe i grubsze (30 do 45 zł) „Martynki”, wydane przez Mużę S.A. z Warszawy, z prawie równie dobrymi ilustracjami Marcela Marliera. Powstały zdaje się w

*anty-amerykańskim nurcie kultury francuskiej. Tak sędzę. Bardzo cenię i lubię Amerykę, lecz w tym przypadku, jak i zresztą w wielu innych, Francja wygrywa. Marzę, by ktoś opracował książeczki specjalnie na pierwsze lata życia! Takie książeczki wywołują kaskady śmiechów, zachwycików, gaworzenia, a to niełatwo wywołać innymi sposobami.*

*Donoszę o powyższym, sądząc, że to są ważne sprawy. Może Pani znane, może nie, może zainteresują, może przydadzą się do jakiegoś tekstu i tą drogą upowszechni się wiedza o możliwości i potrzebie wczesnego zaznajamiania człowieka z książką. Przyznaję, tego bym chciał. Do pisania przypiliła mnie ukochana, półtoraroczna wnuczka.*

Najbardziej urocze i kurtuazyjne partie tego listu zmuszona jestem pominąć, z czystej skromności. Ale muszę przyznać, że czynię to z żalem: ileż by się moi młodzi Czytelnicy mogli nauczyć także i o tym, jak należy pisać listy do kobiet!

Serdeczne pozdrowienia dla Pana Doktora i małej Agnieszki, mnóstwo serdeczności dla Was wszystkich i, raz jeszcze, wyrazy otuchy, zrozumienia i solidarności z powodu rozpoczęcia nowego roku szkolnego!

\* \* \*

Dzieci w szkole, w mieście, ja na działce. Przyjechałam z samego rana, żeby pisać ten felieton, ale było tak ślicznie — słonecznie, chłodno i świeżo — że najpierw popracowałam trochę przy różach, a potem długo się gapiłam na wiewiórkę, bardzo pinowską, która urzędowała pod krzewem leszczyny. Wreszcie wybierałam z trawnika zeschnięte liście i małe czerwone jabłka — i postanowiłam pojechać na rowerze do sklepiku, po świeży chleb.

Cisza wszędzie, letnicy wyjechali. Tylko szkoła — nowa, trzypiętrowa — kipi hałasem. Duża przerwa. Kupiłam gorący bochenek i pojechałam z powrotem, piaszczystą dróżką wzdłuż szkolnego budynku, w chłodnym wietrze, pod gorącym słońcem. Co za błogie, błogie chwile — myślałam sobie, pełna wdzięczności.

Z bocznych drzwi szkoły wydostała się, poustawiana w pary, klasa ośmiolatków, w towarzystwie pani nauczycielki, odzianej w czarne legginsy. Pomaszerowali w stronę lasu — tam zwykle odbywają się lekcje przyrody i wychowania fizycznego. Podjechałam na tyły gromady, z przyjemnością patrząc na dwa rzędy lnianych główek, białych kołnierzyków i opalonych, rumianych twarzączek.

— ...i możesz, kułwa, wygłać dwa komputery multimedialne! — dobiegło z drugiej pary, idącej tuż za nauczycielką.

Poczułam się trochę anachronicznie.

Ciekawe.

Za moich szkolnych czasów drugoklasiści nie rozmawiali o komputerach.

No i — co jeszcze ciekawsze — nie używali brzydkich słów, przekleństw lub tak zwanych świńskich wyrazów.

Zwłaszcza w obecności nauczycieli.

Świńskie wyrazy, brzydkie słowa — to było coś, czego nasi rodzice i nasi nauczyciele nie tolerowali w ustach dzieci, co tępiłi niestrudzenie i czego — przede wszystkim — sami w naszej obecności nie używali. Najczęściej zresztą nie posługiwali się świńskimi słowami w ogóle! — rzecz dziś nie do pomyślenia, prawda? A przecież było to tak niedawno — w końcu lat pięćdziesiątych. W sześćdziesiątych, gdy już studiowałam na Wydziale Malarstwa i Grafiki, mięsem rzucali wyłącznie straceńcy, pragnący się wyróżnić — jak to na uczelni artystycznej — skrajną dekadencją i upadkiem moralnym.

Brzydkie wyrazy — to brzydkie myśli, a brzydkie myśli — to brzydkie życie — mówiła moja nauczycielka z podstawówki, tłumacząc, dlaczego w powieści Twaina „Przygody Tomka Sawyera” ciotka Polly kazała Tomkowi, kiedy zaklął grubo, szorować wewnątrz ust szarym mydłem.

A nauczycielka w czarnych legginsach ani drgnie, kiedy jej uczeń bluzga za plecami.

I ja też — o, proszę! — przyciskam pedały roweru i mijam szkolną gromadkę, uciekając od problemu. Dlaczego nie zatrzymam się, nie stanę naprzeciw tego chłopczyka, dlaczego nie powiem mu surowo: — Nie wolno tak się wyrażać! — Dlaczego nie zwrócę uwagi nauczycielce, że powinna skarcić takiego ucznia?

Głupio mi. No, tak. Dzieci patrzyłyby nierozumiejąco na nieznaną letniczkę, która, ni stąd, ni zowąd, czepia się i wytacza jakieś przedpotopowe zakazy, podczas gdy wszyscy wokół — rodzice, przechodnie, nauczyciele i oczywiście telewizor — wygłaszają bez żenady wszystkie te grubiaństwa. A nauczycielka dorzuciłaby może, że to nie są już dziś grubiaństwa.

Cóż, świat się nieustannie zmienia. Jaka szkoda właściwie, że na gorsze. Chociaż — pocieszyłam się, hamując przed furtką obrośniętą dzikim winem — świat zmienia się także na lepsze, bo przecież mamy prawa człowieka i wolność i dawno już zapomnieliśmy o latach

stalinowskiego terroru.

Ale dlaczego wolność od terroru miałyby się wiązać ze zwolnieniem od rygorów? — zadałam sobie pytanie, odstawiając rower pod jabłoń. — I od norm postępowania, które znośniejszą czynią koegzystencję ludzi we własnym kraju?

Nie rozumiem.

Można być przecież człowiekiem wolnym — a zarazem uprzejmym.

Zaparzyłam herbatę, zjadłam chrupiącą piętękę chleba z masłem i miodem. I pracuję.

Ale męczy mnie taka myśl: skoro stwierdzono, że przeciętna liczba słów, używanych przez dzieci sześciu–czternastoletnie, wynosząca w roku 1945 dwadzieścia pięć tysięcy, spadła dziś do dziesięciu tysięcy (dane pochodzą z książki Neila Postmana „Zanik dzieciństwa”, cytowanej w arcyciekawym artykule Joanny Petry–Mroczkowskiej „Amerykańska kultura masowa” — miesięcznik „W drodze” 6/99) — czy nie byłoby dobrze wyrzucić z dziecięcego leksykonu — powiedzmy — dwadzieścia najbardziej ordynarnych słów i wepchnąć dziatwie w umysły jakieś inne, ładniejsze wyrazy? Może na przykład jakieś wiersze, Słowackiego albo Mickiewicza... Nikt teraz nie każe dzieciom uczyć się wielkiej poezji na pamięć. Dlaczego? Poukładane w pamięci frazy, zdania, piękne polskie słowa, przychodzą przecież później niespodziewanie na myśl, dyktują tok myślenia, a więc i postępowanie... A jeśli w pamięci zalegają świńskie słowa — jakież postępowanie spowodują?

Albo: skoro dzisiejsze dzieci mają trudności z czytaniem i rozumieniem prostych nawet tekstów (tak twierdzą specjaliści, nie ja!) — czy nie byłoby wskazane, żeby miały szansę zrozumieć to, co pisze się w ich podręcznikach historii czy geografii? Żeby rodzice nie byli zmuszeni tłumaczyć tych podręczników z języka naukowego na polski? Żeby nauka historii stała się barwną, porywającą przygodą, a nie nudną mordęgą?

Że to niemożliwe? Że nie można?

Można, można.

Proszę tylko porównać.

Podręcznik dla klasy VII, Warszawa 1997, WSiP, podrozdział pod tytułem: „Początki kariery Napoleona Bonaparte”:

*Dyrektoriat okazał się władzą tak słabą, że Francja popadła w chaos. Potrzebny był jej człowiek, który wprowadziłby rządy silnej ręki. Najlepszym kandydatem do odegrania tej roli okazał się generał Napoleon Bonaparte, zwany małym kapralem. Napoleon Bonaparte urodził się w 1769 r. w Ajaccio (czyt. Ajaczio) na Korsyce. Wykształcenie wojskowe zdobył we Francji i w wieku 16 lat otrzymał stopień podporucznika artylerii. Od 1793 r. zaczął służbę w rewolucyjnej armii francuskiej. Za zasługi w zdobyciu Tulonu w 1794 r. otrzymał stopień generała brygady. W 1795 r. stłumił w Paryżu zamieszki zwolenników monarchii, czyli rojalistów. W 1796 r. objął dowództwo armii francuskiej we Włoszech. Koniec.* Autor tych słów chyba nigdy nie miał dzieci. Które dziecko zainteresowane jest czyjąkolwiek karierą?!

Proszę zobaczyć, jak o tym samym pisze Ernst H. Gombrich w książce „Krótka historia świata”, wydanej właśnie przez Prószyńskiego i S-kę (dziękujemy!):

*Najmilsze dla mnie w historii świata było zawsze to, że jest ona istotnie prawdziwa i że te wszystkie dziwne rzeczy istniały kiedyś rzeczywiście tak samo, jak dziś istniejecie wy i ja. A zdarzyły się przy tym rzeczy dziwniejsze i bardziej godne podziwu niż wszystko, co by można wymyślić. Jedną z tych zadziwiających i podziwu godnych historii, które prawdziwe były tak jak moje i wasze, chcę wam teraz opowiedzieć. A działo się to wszystko wcale nie tak strasznie dawno. Mój pradziadek mógł mieć wtedy tyle lat, co wy dzisiaj.*

*Samego początku jednak nie pamiętałby zapewne. A był on taki: niedaleko Włoch leży skalista, słoneczna, uboga wyspa Korsyka. Żył tam pewien adwokat ze swoją żoną i ośmiorgiem dzieci.*

Nazwisko jego było włoskie i brzmiało: Buonaparte. Właśnie w 1769 roku, gdy przyszedł na świat drugi jego syn, Napoleon, sprzedali Genuńczycy tę wyspę Francuzom. (...) Młody Napoleon miał zostać oficerem, toteż wysłał go ojciec w dziesiątym roku życia do szkoły wojskowej we Francji. Był biedny. Ojciec nie mógł mu wiele pomagać. Dlatego był poważny i smutny. Nie bawił się ze swymi kolegami. „Wybrałem sobie w szkole kącik — opowiadał później — w którym zwykłem być siedzieć i marzyć, ile tylko serce zapragnęło. Kiedy towarzysze moi chcieli mi zaprzeczyć prawa do tego kąta, broniłem się ze wszystkich sił. Wyczuwałem już wtedy, że moja wola musi zwyciężyć i że to, co mnie się podobało, osiągnę na pewno”. Miał świetną pamięć i uczył się wiele. W wieku siedemnastu lat został podporucznikiem armii francuskiej. Ponieważ był bardzo mały, nazwano go złośliwie „małym kapralem”. Przymierał niemal z głodu. Czytał ogromnie dużo i pamiętał wszystko. (...) Przypadkiem służył jakiś rodak Napoleona jako wysoki oficer w armii, którą rewolucjoniści wysłali przeciw zbuntowanemu (...) Tulonowi. Zabrał on ze sobą dwudziestopięcioletniego porucznika i nie miał powodu żałować tego. Napoleon dawał takie dobre rady, gdzie ustawić armaty i dokąd strzelać, że wkrótce miasto zostało zdobyte. W uznaniu tych zasług otrzymał rangę generała — i tak dalej, i tak dalej, anegdoty, obrazy, bon moty. A przecież to nie podręcznik! — i jak sądzicie, który z tekstów łatwiej zapadnie w pamięć dziecka? Który utrwali się w niej na dobre? Ten pierwszy trzeba wykuć na pamięć tylko po to, by za tydzień go zapomnieć. Ten drugi będzie dziecku towarzyszył bardzo długo, może i przez całe życie.

Z braku miejsca nie mogę już cytować dalej, choć bardzo bym chciała. Niestety, rozpisawszy się o brzydkich wyrazach, pozbawiłam się sama miejsca na omówienie Gombricha, a także ulubionej i służącej naszym dzieciom od lat książki profesora Uniwersytetu Wileńskiego, **Feliksa Konecznego**, „**Dzieje Polski opowiedziane dla młodzieży**” (nakład Księgarni św. Wojciecha, Poznań–Warszawa–Wilno, 1922). Z tej ostatniej więc wypiszę tylko (bo nie zdołam już zacytować ślicznej opowieści o „lilji Wawelu” i zestawie jej z suchą relacją współczesnego podręcznika ze ślubu królowej Jadwigi z Władysławem Jagiełłą) kończącą tę książkę odezwę do młodzieży:

*Odzyskanie niepodległości ułatwia nam wszelką pracę, ale też nakłada na nas jeszcze większe obowiązki. Teraz nie ma wymówki, że czegoś nie da się zrobić. Wolno wszystko, co dobre, wolno jawnie pracować dla Polski, a więc pracujemy. Uczmy się, ażeby umieć dobrze pracować; pracujemy, żeby innym potem naukę ułatwić.*

Proszę mi przysłać choć jeden współczesny podręcznik historii, który zawierałby podobne przesłanie.

Hm?

No, tak.

Za mojego własnego życia słowa: „świntuch”, „świńskie wyrazy”, „świństwo” — straciły swój pejoratywny wyraz, całkiem tak samo, jak określenie „mentalność przekupnia” lub zarzut: „bo ty myślisz tylko o pieniądzach”.

I to się jakoś wiąże ze zubożeniem i nieudolnością dydaktyczną współczesnych podręczników historii dla szkół podstawowych.

Pójdę chyba do księgarni i poprzeglądam te najnowsze, wydane dla zreformowanej szkoły. Może już jest lepiej?

Jeśli tak — nie omieszkam Was o tym powiadomić, Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy. Bardzo lubię być zwiastunką dobrych wiadomości.

\* \* \*

Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy,

już jestem po „Panu Tadeuszu” Wajdy. Jakiś czas temu dostałam zaproszenie na uroczystą premierę tego filmu, ale że nie lubię uroczystości, przedkładając nad nie cichutkie i zwykłe seanse czy wystawy, postanowiłam oddać swoje zaproszenie jakimś znajomym dzieciom. Jednakże dotarło do mnie, że dostałam jakiegoś niezrozumiałego wyróżnienia, kiedy w „Gazecie Wielkopolskiej” wyczytałam, iż „zwykli śmiertelnicy” nie dostaną się na tę imprezę wielkiej rangi. Ponieważ uważam się za zwykłą śmiertelniczkę, coraz bardziej nie chciało mi się iść do kina „Wilda”; lecz zadzwoniła do mnie red. Wrońska z Radia Merkury i wpłynęła na moją decyzję. Zaprosiła mnie, mianowicie, do studia zaraz po premierze, na rozmowę w gronie kilku osób. Grono to zamierzała wzbogacić o osobę pani prof. Zofii Trojanowiczowej z UAM, specjalistki od romantyzmu, zajmującej się Mickiewiczem od lat i wiedzącej o nim absolutnie wszystko. Niestety, pani profesor nie otrzymała zaproszenia na uroczystą premierę „Pana Tadeusza”. Chyba też jest zwykłą śmiertelniczką, jak większość inteligentów w dzisiejszej rzeczywistości. Grażyna Wrońska poprosiła, żebym wobec tego koniecznie udała się na imprezę. Rzeczywiście istniała obawa, że na premierze będą już sami nieśmiertelni, i kto wtedy będzie komentował nowy film Wajdy przez radio.

Nie było jednak aż tak źle. W gęstym tłumie dostrzegłam kilku polityków nowych i starych, a w kącie za filarem natknęłam się na znajomego historyka sztuki z córką. Po półgodzinie mrużenia oczu pod jaskrawymi światłami reflektorów telewizji mogliśmy wreszcie wejść na salę kinową. Bank, sponsorujący widowisko, uhonorował każdego z zaproszonych gości torbą zawierającą luksusowe materiały informacyjne oraz tajemniczą monetę w plastikowym etui. Wepchnęłam torbę pod fotel i — pełna niecierpliwego oczekiwania — rozejrzałam się po sali. Nie zauważyłam nikogo znajomego. Dyskretny szmer rozmów towarzyszący znanym mi uroczystym premierom, tu nie był dyskretny. Nie był też szmerem, jeśli chodzi o ścisłość.

— Witam wszystkich bardzo, bardzo serdecznie i ciepło — powiedziała do mikrofonu, ustawionego pod ekranem, konferansjerka, po czym jęła wymieniać z wdzięcznością różne firmy, dodając ostrzegawczo i stanowczo: — Proszę, żebyście serdecznymi brawami podziękowali wszystkim, których teraz wymienię — i wymieniła firmę Knorr, McDonald’s i wiele innych. Potem przedstawiła nam szybko dwóch z sześciu zaproszonych na scenę aktorów, przez cały czas zwracając się konsekwentnie do widowni per „wy”, jakby w języku polskim nie istniała uprzejma forma „państwo”. Wreszcie przywołała na scenę zespół cymbalistek z Lidy, które naprawdę ładnie odegrały „Witaj, majowa jutrzeńko”, Mazurka Dąbrowskiego oraz „Pożegnanie ojczyzny” Ogińskiego. Przy Mazurku publiczność wstała jak jeden mąż, co wydało mi się zachowaniem z jakiejś innej rzeczywistości.

I wreszcie na ekranie zajaśniał film Wajdy.

Powiało czystością, pięknem i spokojem. Ta inna rzeczywistość była tu właśnie — wszystko miłe, kochane, znajome, jakby wyjęte z głębin nieświadomej pamięci. Sala ucichła i zataiła dech. Nie patrzyłam już, jak reagują sąsiedzi — zupełnie zapomniałam o ich istnieniu.

Piękny film! — choć, moim zdaniem, Andrzej Wajda popełnił błędy obsadowe: wszystkie główne role męskie powinien był powierzyć Danielowi Olbrychskiemu, rozmaicie go charakteryzując. Ten człowiek jest nadzwyczajny! — obdarzony dziwnym magnetyzmem i siłą wyrazu, przekonujący w każdej roli, jako Gerwazy stał się główną postacią tego filmu, przykuwał uwagę widza natychmiast po pojawieniu się w kadrze.

Telimena Szapołowskiej okazała się bardzo dobra — a jeszcze przed projekcją żałowałam, że nie ujrzę w tej roli Joanny Szczepkowskiej. Owszem — żałuję nadal, lecz już nie tak beznadziejnie.



Ta Telimena przekonała mnie do siebie. Zosia — śliczna, naturalna i miła; podobnie Tadeusz w wykonaniu Michała Zebrowskiego — bardzo sympatyczny, choć gapa. Świetny Hrabia Marka Kondrata (w zaproszeniu na premierę nazwanego, notabene, Markiem Konradem). Bardzo piękne zdjęcia. Piękna muzyka. Dobra scenografia i kostiumy.

Co mnie denerwowało: identyczny, jak w „Ogniem i mieczem” Hoffmana i jak w reklamach piwa oraz innej margaryny, tłum szlachty. Co za sztampa: czy nikt już nie potrafi zagrać raptusa, warchoła, rębajły inaczej, niż prezentując gamę zachowań współczesnego miejskiego chama? Czy nikt już nie pamięta Jana Kurnakowicza, Jana Świderskiego, Mieczysława Pawlikowskiego i tylu innych, którzy doskonale umieli zagrać i rubasność, i zapalczywość, i pyszałkowatość — nie wrzeszcząc ochryple, nie szczerząc nienawistnie zębów i nie opluwając sobie kołnierza? Może aktorzy ci, po prostu, pamiętali ze swej młodości, jak wyglądał i jak się nosił szlachcic, i jak godny, stateczny był włościanin?

Obawiam się, że film „Ogniem i mieczem” dostarczył statystom i epizodystom nowych wzorców w tej materii. Odtąd już zawsze będziemy oglądać szlachciców, którzy równie dobrze mogliby stać obok nas w autobusie — obrzękli, bladzi i rozlani — bekając i wybuchając wrzaskiem na przemian. Ojej, jakie to smutne.

Poza tym podobało mi się wszystko, choć żałowałam, że film, z konieczności, poddano tak wielu cięciom i tak okrojono. W zapowiedziach i wywiadach czytałam, że w realizacji „Pana Tadeusza” sprawdziły się świetnie Mickiewiczowskie opisy przyrody, czytane spoza kadru przez narratora. Niczego takiego nie zauważyłam, ale nie będę się upierać — może coś mi umknęło. Zresztą, film Andrzeja Wajdy wygrywa i tak, na całej linii, przede wszystkim jednym: wiernością wobec ducha oryginału.

Byłoby świetnie, gdyby tak powstał obszerny (na przykład: dwunastoodcinkowy!) serial „Pan Tadeusz”, oczywiście będący dziełem tych samych twórców i grany przez tych samych aktorów. Wtedy może nie miałyby się, po zakończeniu, tego uczucia niedosytu, tego: „Juuuz”?

Nawiasem mówiąc, w zakończeniu filmu Wajda przemawia najbardziej przejmująco — myślę o owych postarzałych i zgorzkniałych bohaterach, o tęsknej inwokacji i wreszcie — o pokoju zionącym pustką, zapomnieniem i smutkiem.

Szanowny i Drogi Panie Andrzeju — proszę przyjąć od naszej skromnej rubryczki wiele najlepszych życzeń i myśli, a przede wszystkim wiele podziękowań za to, co wniósł Pan i wnosi do naszego życia. Wszyscy w Polsce bylibyśmy kim innym, gdyby nie Pan. To pewne.

\* \* \*

*...przywykłem do tego, by w każdej chwili być przygotowanym na najgorsze. Bo śmierć, jeśli się dobrze zastanowić, jest prawdziwym i ostatecznym celem naszego życia. A ja już od kilku lat tak żyłem się z tą prawdziwą i najlepszą przyjaciółką człowieka, że dla mnie wcale nie jest przerażająca, przeciwnie — uspokajająca i pocieszająca! Uważam to za wielkie szczęście i dziękuję Bogu, że pozwolił mi uświadomić sobie, że śmierć jest kluczem do szczęśliwości prawdziwej. (...) Kiedy się kładę spać, zawsze pomyślę, że choć jeszcze jestem młody, już jutro może mnie nie być, a przecież nikt, kto mnie zna, nie może powiedzieć, że w towarzystwie jestem posepny albo mrukliwy, i właśnie za to codziennie dziękuję Stwórcy i tego też z całego serca życzę moim bliźnim — pisał do ojca trzydziestojednoletni Wolfgang Amadeusz Mozart, w kwietniu roku 1787. Zostały mu jeszcze cztery lata życia — umarł w grudniu 1791. Czytałam te słowa 30 października 1999, po powrocie z cudownego koncertu (hymn „Adoramus Te, Christe”, „Ave Verum” i „Requiem” Mozarta, chór „Poznańskie Słowiki” pod dyrekcją prof. Stefana Stuligrosza, doskonała orkiestra, czworo wspaniałych solistów), ułożonego i wykonanego z okazji zbliżającej się uroczystości Wszystkich Świętych. Koncert zrobił na nas ogromne wrażenie i długo jeszcze wieczorem słuchaliśmy w domu naszych trzech różnych nagrań „Requiem”, porównując je i oceniając. Później, już w nocy, zaczęłam czytać „Listy” Mozarta (PWN, 1991), żeby stwierdzić, czy jest w nich choć ślad pracy nad „Requiem” (nie ma! — mowa jest tylko o „Czarodziejskim flecie”, powstającym równolegle w tym ostatnim roku życia kompozytora). Zjrzałam też do „Sumy po przemyśleniach” Saula Belowa (Zysk i s-ka, 1998) — jest tam, otwierający tę książkę, szkic „Mozart: uwertura”. I wreszcie zatopiłam się na dobre w najczęściej czytanej i wertowanej książce mojej biblioteki. Jest to „Mozart — człowiek i dzieło” Alfreda Einsteina (Polskie Wydawnictwo Muzyczne, 1975). *Książka ta nie jest wprowadzeniem w życie i twórczość Mozarta. Zwraca się do czytelników, którzy już znają niektóre fakty z jego życia, a przede wszystkim do tych, którzy przynajmniej niektóre jego dzieła słyszeli i pokochali* — pisze autor we wstępie. Co do mnie, słyszałam już bardzo wiele dzieł Mozarta i kocham je wszystkie, więc zawsze mam wrażenie, że Einstein napisał tę książkę specjalnie dla mnie, słabo się znającej na teorii muzyki, a poszukującej przewodnika.*

W „Listach” doczytałam się, że 31 października Mozart obchodził imieniny. W całym grubym tomie są trzy o nich wzmianki — trzy charakterystyczne obrazki. W roku 1778 pisał:

*31 października — w dniu moich imienin — przez kilka godzin bawiłem się, a właściwie bawiłem innych; na usilną prośbę panów Frank Beyera i kilku innych powtórzyłem koncert, który po opłaceniu kosztów (tym razem niedużych) przyniósł mi jednego ludora.*

*1781: właśnie były moje imieniny. Kiedy skończyłem modlitwę poranną i już zabierałem się do pisania, zostałem nagle obłożony przez gratulantów. (...) O 11-ej w nocy obdarowano mnie serenadą na 2 klarnety, 2 rogi i 2 fagoty, mojej własnej kompozycji. (...) Sześciu grajków to chudziaki. (...) Kazali sobie otworzyć bramę, stanęli na środku podwórka i, jak już się miałem rozbiierać, zaskoczyli mnie początkowym akordem w Es-dur, w najmiłszy na świecie sposób.*

*1783: Przed południem byliśmy w Lambach, akurat w dobrym momencie żeby zagrać na organach Agnus Dei podczas odbywającej się właśnie sumy. Prałat, jak mnie zobaczył, nie posiadał się z radości. (...) Zostaliśmy tam cały dzień, a ja grałem na organach i klawikordzie.*

Muzyka — tylko ona. To muzyką żyje, o muzyce pisze, muzyką się cieszy i bawi. Jego praca jest jego ukochaną zabawą, radością i pasją, wypełnia jego myśli, listy, życie. Układał muzykę — jak pisze Einstein „od razu w głowie” — nawet podróżując czy rozmawiając. Potem wystarczyło już tylko przenieść ją na papier nutowy. Mając już w głowie „il filo” — czyli wątek, następstwo i wzajemny związek myśli muzycznych, *przenosił kompozycję na papier, tak jak się pisze list, przy*

*czym nie drażniły go żadne przeszkody czy przerwy — zapisanie było właśnie niczym więcej, jak tylko zafiksowaniem gotowego utworu, czysto mechanicznym. Postępowanie Mozarta można łatwo prześledzić dzięki częstemu przycinaniu gęsich upiór i zmianom barwy atramentu: najwidoczniej gęstniał szybko i bardzo często wymagał rozcieńczenia lub odnawiania. Mozart nigdy nie zapisuje części lub fragmentów części, które byłyby we wszystkich od razu głosach wykończone, lecz zawsze pisze całość. Szkic i czystopis stapiają się w jeden akt zapisu — u Mozarta nie ma brulionów.*

*Kiedy podejmiemy próbę zrozumienia istoty tej muzyki — pisze Saul Below — jej głębi i oryginalności, pochodzącej z Bóg wie jakiego źródła, tej drogi nieskończenie bogatej i wzniosłej — w pewnym momencie trafiamy na mur nie do przebycia. Istnieje w muzyce pewien wymiar, który nie podlega ostatecznemu zrozumieniu i wymyka się naszym nawykom poznawczym. Żywimy przekonanie, że nie istnieją tajemnice — są tylko rzeczy nie poznane. (...) Wyrażę odmienny pogląd: w sprawach fundamentalnych jesteśmy równie ciemni, jak zawsze była ludzkość. (...) Dlaczego jego muzyka jest taka nieprzerwanie płodna, pomysłowa, nowatorska, niewyczerpana, dlaczego potrafi nam powiedzieć znacznie więcej niż inne języki i dlaczego jest nam ofiarowywana z taką łatwością — nie jest bowiem owocem wysiłku. (...) Są rzeczy, które muszą przychodzić łatwo. Łatwo albo wcale — taka jest prawda o sztuce. Koncentracja bez wysiłku — to sedno sprawy. Woła i pragnienie zostają zagłuszone — i praca przeradza się w zabawę.*

*Mozart — jak zauważa Einstein — był tradycjonalistą. Zachowywał wszelkie formy, wybierał najprostsze i najbardziej niepozorne punkty wyjściowe, by dotrzeć do najdalszych i nieprzeczuwalnych celów, był więc w istocie o wiele bardziej niezależny niż wszyscy rewolucjoniści. Szedł za tradycją — ale zarazem z nią igrał, odbiegał od niej z wdziękiem, humorem i odwagą. Aria jest arią, sonata sonatą, część sonaty ma ustalone prawa, których Mozart nigdy nie naruszył. Dlaczego obalać takie bariery, dlaczego nie korzystać z takich gotowych norm, jeśli wśród nich można swobodnie się poruszać? Dopiero wtedy, kiedy zna się i wyczuwa te normy, widzi się twórczą inteligencję Mozarta, jego oryginalność, indywidualność, śmiałość. (...) Kiedy się pomyśli o somnambulicznej pewności i gracji, z jakimi Mozart włada środkami wokalnymi czy instrumentalnymi, ogarnia nas bezgraniczny podziw dla fenomenu jego uniwersalności muzycznej, nie mającej żadnej analogii. (...) Muzyczny i duchowy rozwój Mozarta dokonał się całkiem niezależnie od jego osobistych losów, w niedostępnej czy zamkniętej w sobie sferze, ponad wszelkimi poprzednimi doświadczeniami. (...) U Mozarta związek między życiem i dziełem jest głęboko ukryty i tajemniczy. W ostatnich miesiącach roku 1789 sytuacja Mozarta była znowu rozpaczliwa, a przecież skomponował wówczas „Cosi fan tutte”, dzieło najczystszej szczęścia i pełnego upojenia sztuką. Głębia tej muzyki nie jest „poetyczna”, lecz muzyczna i osobista. Nie jest to w żadnej sprzeczności z faktem, że dzieła Mozarta, poza bardzo nielicznymi wyjątkami, są okolicznościowe, iż jest to muzyka pisana na z a m ó w i e n i e. (...) Mozart nigdy nie pisał „dla wieczności” i właśnie dlatego napisał wiele dzieł wiecznotrwałych.*

*Widok takiego geniusza — pisze z kolei Below — każe się domyślać ingerencji niewidzialnych zamiarów. Takie stworzenia jak Mozart zmuszają do rozmyślań o transcendencji.*

*Przytaczam tak obficie głosy tych poważnych znawców, bo — choć od siebie mogłabym powiedzieć to samo i nawet więcej — nie chcę być posądzona o romantyczny sentymentalizm. W istocie zarówno Below, jak Einstein nie szczędzą Mozartowi określeń o najwyższym stopniu emocjonalności (Muzyka jednocześnie dziecinna i boska, pełna najwyższej prostoty i najwyższego mistrzostwa. Mozartowska niewinność uczuć i czystość, klarowność techniki. Skrajna prostota, jaka dostępna jest tylko ludziom wielkim, posiadającym ową wtórną naiwność, która jest najwyższym kwittem artystycznego i ludzkiego doświadczenia. Jak inaczej możemy ją nazwać, jeśli nie tajemniczą? W niej słyszymy, poprzez nią wyraża się nasze poczucie radykalnej tajemnicy*

*naszego bycia. Wszystko, co możemy powiedzieć o Mozartowskiej metodzie drążenia problemów istnienia, to że pochodzi „nie stąd”*). Ja zaś mam do Mozarta stosunek jeszcze bardziej emocjonalny: jest dla mnie istotą najbliższą. Uważam, że był geniuszem uczucia, i na pewno mam rację, on sam pisał o muzyce jako o intensywniejszej formie u c z u ć . Muzyka była jego prawdziwą mową. Sądzę, że na zwykłej drodze miał trudności w komunikowaniu się z ludźmi, nosił brzemień wrodzonej wyższości, która musi budzić zawiść — dlatego ukrywał się za błazeństwem. Musiał się przystosowywać, udając głupszego. Dziwny w sposobie bycia (*patrzył na każdego przenikliwym spojrzeniem, na każde pytanie udzielał wyważonej odpowiedzi, czy był wesoły, czy smutny, lecz wydawał się zarazem zatopiony w myślach o czymś zupełnie innym. Nigdy nie stał spokojnie, uderzał piętą o piętę, i zawsze był zamyślony. Wciąż poruszał dłońmi i stopami, wiecznie czymś się bawił, np. kapeluszem, kieszeniami, łańcuszkiem od zegarka, stolikami, krzesłami, tak jakby to były fortepiany — wspomnienie bratowej o Mozarcie z ostatnich lat jego życia*) — przez współczesnych oceniany był jako człowiek niepoważny i nieroztropny. Interesy swoje prowadził fatalnie. Mocno frywolny, na granicy, a może i poza granicą przyzwoitości, miewał dziecinne narowy, błaznował, płatał figle, zachowywał się jak niesforne dziecko. Niektórzy badacze sądzą, że te ekscesy były automatyczną kompensacją wyższego umysłu: przejawiało się w nich to, że duchem znajdował się Mozart gdzie indziej. W gruncie rzeczy interesowała go tylko muzyka i tylko o niej pisał, i mówił na serio. Wszystko inne — to mogła być tylko próba przerzucenia pomostu pomiędzy wyżynami, na jakich się znajdował, a resztą świata. Może domniemywał, że tego się od niego oczekuje? Może próbował przełamać olbrzymie zapewne poczucie swojej inności? Był „obcym”, który nigdy nie zrozumiał natury swej obcości. *Był tylko gościem na tej ziemi — pisze Einstein — zarówno w najwyższym, duchowym znaczeniu, jak i w zwykłym, ludzkim sensie*. Wydaje się, że już w młodości zdecydował, co jest w życiu zbędne i bez czego może się obejść. Odrzucił więc z intuicyjną pewnością akurat to, do czego zwykli ludzie przywiązują tak wielką wagę. Pozory. Politykę. Władzę. Wyrachowanie — które było czymś najzupełniej obcym jego naturze. Rzadkie u niego były oznaki miłości własnej czy pospolitej próżności — *Mozart nie skupiał się na sobie, lecz na tym, do czego został stworzony* — zauważa Einstein. Czysta, autentyczna wolność — oto, co cechowało tego tajemniczego człowieka o niepozornej powierzchowności (*był drobny i nieładny, a nieuleczalna choroba wycisnęła na nim wcześniej swoje piętno*) i nieodgadnionym charakterze. (*Charakter jest ukryty za jego muzyką, a my nigdy nie dotrzemy do jej dna*). Dezynwoltura, ironia, lekkość, swoboda, nic z pozerstwa. Stale w ruchu, w podróży, nigdzie nie zakotwiczony, wiecznie w tymczasowej siedzibie.

*Bez niego każde pokolenie byłoby nieskończenie uboższe — pisze Einstein, wyjmując mi te słowa prosto z serca. — Nie pozostało po nim nic doczesnego, prócz kilku marnych portretów, z których żaden nie przypomina pozostałych; to, że wszystkie odlewy jego maski pośmiertnej, która ukazałaby jego prawdziwe oblicze, rozpadły się na kawałki, jest jakby symbolem. To tak, jakby duch świata pragnął wskazać: oto czysty dźwięk, uładowany w nieważki kosmos, przewyciężenie wszelkiego ziemskiego chaosu, duch z mego ducha.*

Jest listopad, miesiąc błogosławionych Duchów. Myślmy o Mozarcie, Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy. Słuchajmy Mozarta. *Recordare* z „Requiem”. *Andante* z koncertu fortepianowego nr 22 (KV 482). *Larghetto* i finał koncertu 24 (KV 491). „*E nel tuo, nel mio bicchiero*” z ostatniej sceny „*Così fan tutte*” to moja lista przebojów na ten miesiąc. I jeszcze, koniecznie, cały koncert fortepianowy nr 27 (KV 595), o którym Einstein pisze tak pięknie: *Rezygnacja nie objawia się już w głośnych czy mocnych wybuchach. Mozart odsuwa na bok albo tłumi każdy impuls energii; ale tym bardziej niesamowite są otchłanie żalu, o jakie ocieramy się w niuansach i zбочnieniach harmoniki. Nad *Larghetto* unosi się aura religijnej, „franciszkańskiej” łagodności; finał tchnie zawołaną pogodą — jak gdyby błogosławione dzieci igrały w Elizjum*

— pogodny, lecz bez nienawiści i miłości. (...) Pożegnanie z życiem jest zarazem pewnością nieśmiertelności.

\* \* \*

Podobno w Krakowie spadły bajeczne śniegi. Nie mogę tego powiedzieć o Poznaniu; mamy tu chmury tuż nad głowami, mrok przez większość dnia, wichury z północy i to, co gwara wielkopolska nazywa celnie chlabrą. Na działkę jechać nie ma po co i byłoby zupełnie nieznośnie, gdyby nie blask życia kulturalnego. Erwin Axer wyreżyserował w Teatrze Nowym komedię Georga Bernarda Shawa „Androkles i lew” (przekład Stanisława Barańczaka, scenografia Ewy Starowieyskiej, choreografia Ewy Wycichowskiej). Przedstawienie jest świetne — mistrz pokazał lwi pazur, że użyję niewyszukanej frazeologii. Mój podziw jest tym większy, że już wcześniej przeczytałam „Androklesa i lwa” (po raz pierwszy w życiu zresztą, bo w powojennych wydaniach Shawa, rzecz ciekawa, sztuki tej nie było) i wydała mi się ta komedia raczej błaża i odrobinę zwietrzała, jak zapaszek we flakonie, zawierającym niegdyś modne perfumy. Erwin Axer udowodnił, że tak nie jest. Przynajmniej nie wtedy, gdy ON się bierze do odczytywania i opowiadania.

Sam Shaw wyznał, iż tylko dlatego oddał się twórczości dramatycznej, że znalazł w niej platformę do głoszenia prawd moralnych i społecznych, i że sam czuje, iż znacznie więcej ma w sobie z kaznodziei niż z autora dramatycznego. Przemyślując nad problemami i wadami współczesnego sobie społeczeństwa angielskiego, w kolejnych sztukach dawał Shaw analizę błędów i schorzeń społecznych. Był przy tym na tyle zarozumiały, by do diagnozy dołączać własne propozycje leczenia i metod naprawy. Fabianin, socjalista, w młodości po lekturze „Kapitału” Marksa popadł w naiwny zachwyty; *Marks otworzył mi oczy na fakty historii i cywilizacji, dał mi całkowicie nową koncepcję wszechświata, obdarzył mnie celem i misją w życiu* — pisał. Kiedy po Rewolucji Październikowej fabianie atakowali ostro bolszewików, Shaw na otwartym zebraniu Towarzystwa Fabiańskiego wygłosił: „Jesteśmy socjalistami, strona rosyjska jest naszą stroną”. *Zapadła cisza pełna oszołomienia* (Pearson; „Bernard Shaw”), **lecz kiedy podjęto debatę, nikt już bolszewików nie atakował**. W roku 1931 G. B. Shaw odbył podróż do Związku Radzieckiego i tam obchodził siedemdziesiątą piątą rocznicę swych urodzin. *Wszystko wydało mu się nowe i pełne nadziei* (Pearson). Trudno uwierzyć w zachwalane talenty Shawa w demaskowaniu fałszywych pozorów i obłudy, gdy się zważy, że jesienią tego samego 1931 roku datuje się na Ukrainie początek „żniw rozpaczy”, które doprowadziły do śmierci — według różnych źródeł — od 3,3 mln do 15,2 mln ludzi. Trudno oprzeć się wrażeniu, że Wielki Kpiarz i Demaskator zdzierzał, owszem, *plaszcz cnoty z tego, co się weń dla własnej korzyści przybrało*, lecz najlepiej mu to szło, gdy do zdemaskowania miał resztki obyczajowości wiktoriańskiej. Prawdziwa groza pozostawała poza zasięgiem jego ostrza. *Wesoło i błyskotliwie stawiał sceptyczne znaki zapytania nad wszystkim, nad życiem jednostek i społeczeństw* — pisze Edmund Misiołek w przedmowie do „Pigmaliona” (PIW, 1977). Nie postawił ani jednego nad nową, śmiertelnie niebezpieczną utopią, którą mu zademonstrowano w kuszących barwach. *I w życiu, i w sztuce zachował świeżość spojrzenia, które pozwala dostrzec prawdziwe oblicze rzeczywistości, dysproporcje między pozorami a prawdą* (Misiołek). Tak, rzeczywiście. Ale nie w ZSRR. Tam Wielki Kpiarz był jak małe dziecko w rękach swych złowieszczych gospodarzy, a jego przenikliwa inteligencja z niezbadanych przyczyn nie była zdolna przeniknąć przedstawionych mu pozorów i dostrzec tego, co się za nimi czaiło. Dreszcze chodzą po plecach, gdy się pomyśli o rozmiarach jego intelektualnej porażki. Zresztą być może każdy twórca, usiłujący z tak niezbitą pewnością wypisać recepty na zło świata, jest równie naiwny jak G. B. Shaw. Może po prostu należy tylko stawiać odważne pytania, a z pokorą wystrzegać się dawania przemądrzałych odpowiedzi?

Ale pokora nie leżała w naturze tego człowieka. Sam się porównywał z Szekspirem. Wielki inkwizytor mieszczaństwa (jak pisał **Antoni Słonimski** w „**Gwalcie na Melpomenie**”),

*rewolucjonista, milioner, wegetarianin, poeta businessman, wiecznie młody i stary.* G. B. Shaw był człowiekiem pełnym wigoru i rozmachu, wyzywającym ekscentrykiem słowa, uczciwym i przepełnionym słusznym gniewem moralistą, nieco też zaślepionym własnymi teoriami.

*Sztuka ta dzisiaj przypomina świetne malowidło, częściowo rozmyte przez deszcz* — pisał w roku 1933 Antoni Słonimski, recenzując powstałą w 1906 sztukę „Major Barbara”. — *Nie przez zwykły, szary deszcz czasu. To był deszcz krwi wielkiej wojny światowej. Shaw widział rąbek tego księżycy, który blaskiem upiornej pełni oświetlił Europę, zalaną krwią. (...) Bawiąc się po omacku klawiaturą przyszłych zdarzeń, irytuje nas niejednym fałszem, ale i zadziwia często trafnością uderzeń.* A w recenzji z „Człowieka i nadczłowieka” pisał Słonimski (swoją drogą — cóż to za cudowna lektura, ten zbiór recenzji, wydany przez Czytelnika w roku 1959!): *Intelektualne zalety tego pisarza, mądry dowcip i wdzięk nie fałszowany, okupuje najzupełniej jego przysłowiowe gadulstwo. Starzec ten bowiem nigdy, nawet w młodości nie odmawiał sobie rozkoszy wyczerpania raz poruszonego tematu. Elokwencja ta jednak nie jest nudna — zawsze słuchamy go z przyjemnością, nieraz z najwyższą satysfakcją.*

Rzeczywiście postacie Shawa nie tchną życiem, a zaledwie ucieleśniają różne jego koncepcje intelektualne. Ale zarazem wnoszą tyle jasności, inteligencji i wesołości, tak zręcznie demonstrują i konfrontują różne idee i postawy życiowe, że w efekcie budzą sympatię i skłaniają do myślenia. *Każdy żart jest zarodkiem poważnej myśli w łonie czasu* — pisał Shaw. Niekoniecznie każdy, dorzucić możemy my, żyjący w latach obecnych, mieszkańcy schamiałych miast, ale na pewno każdy dobry. Żarty Shawa, jego ironia i odważna satyra, jego apele do sumień i do rozsądku, jego chłodne i uszczypliwie widzenie świata, z pewnością i dziś zrodzą niejedną poważną myśl. Zwłaszcza że „Androkles i lew” odczytany przez Erwina Axera i opowiedziany w jemu tylko właściwy sposób — spokojny, mądry i wyważony, ironiczny i zarazem pełen pobłażliwego ciepła oraz elegancji bardzo miłej i ujmującej — nieoczekiwanie okazał się sztuką całkiem aktualną. Osadzony w realiach starożytnych czytelny wykład o zachowaniu się człowieka w obliczu przemocy, pełna gama postaw ludzi, deklarujących się jako chrześcijanie, rozprawa o wolności, godności i dumie (*Chodź ze mną i rzuć szczyptę kadzidła na ołtarz. Tylko tyle — i wychodzisz na wolność* — mówi nadzorca do Androklesa, przeznaczonego na arenę, gdzie mają go rozszarpać lwy), o słabości i jej przewyciężaniu — pod ręką Erwina Axera rozkwitły w pełne czaru przedstawienie. Zachwytiło ono dzisiejszą premierową publiczność, tak jak w roku 1964, gdy Axer wystawił tę sztukę w Warszawie. *Okazało się, że są u nas nie tylko chrześcijanie, ale jest i cesarz, a nawet kilku czy kilkunastu, którzy się mają za cesarów. Chrześcijanie i poganie sto kilkadziesiąt razy wypełnili widownię, cesarowie i dworacy — tych było wielu — obrazili się na nas. Był czas względnej odwilży i teatr uszedł cało. Upewniłem się wtedy, że bajka filozoficzna opowiedziana z odrobiną humoru bywa aktualna w każdej sytuacji i o każdym czasie* — pisze Erwin Axer w tekście „Od reżysera”, zamieszczonym w programie poznańskiego spektaklu. — *Bajka nie straciła na aktualności, choć tym razem — być może — nikt się na nas nie obrazi.*

To się dopiero okaże.

Na premierze, w każdym razie, wszyscy bawili się wspaniale tym błyskotliwym przedstawieniem, zmierzającym do wdzięcznego finału z lekkością i nieomylną precyzją. Doskonale skonstruowane, zajmujące i zabawne, spowodowało owacje na stojąco i pozostawiło zachwyconą publiczność w pysznym humorze. Zachwyt ten obejmował także znakomitą scenografię Ewy Starowieyskiej, pełną prostoty formy i wyszukanego przepychu barw, pomysłową i bogatą w skojarzenia, bardzo funkcjonalną. Sympatyczny lew, przez panią Starowieyską zaprojektowany, a wytresowany przez Ewę Wycichowską zapracował na eksplozje śmiechu i brawa. Co do zespołu aktorskiego — dał prawdziwy koncert gry, od ról głównych po nieme epizody. Jednym słowem, Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy, musicie tu

koniecznie przyjechać. Wiercie mi, że warto. Po takim przeżyciu teatralnym (zwycięstwo myśli i stylu, logiki i dowcipu, zabawa w dobrym guście, a oprawa plastyczna — w najlepszym) człowiek czuje się podniesiony na duchu (a czy dużo dziś mamy powodów do takiego stanu?) i wręcz ocalony z odmętów głupstwa, grubiaństwa i brzydoty, które go otaczają, jak wody potopu.

Dla tych samych celów należy koniecznie przeczytać Słonimskiego „Gwałt na Melpomenie” — dwa tomy Czytelnika z roku 1959, lub (o tej samej zawartości) Wydawnictw Artystycznych i Filmowych, 1982. On się w ogóle nie starzeje!



\* \* \*

Mamy jubileusz! — czy widzicie tę dorodną, tłuściutką, złocistą setkę, Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy? Tak, tak, panie dziejaszku, kto by to pomyślał! Już sto razy frywolitkowaliśmy sobie na tych dostojnych łamach. I nawet nas tu polubili! Słowo daję. Są dowody. Przyjemnie jest obchodzić taki lśniący jubileusz zwłaszcza w grudniu, kiedy jest mroczno. Krótki, krótki dzień, słoneczko kompletnie bez charakteru, ledwie się dźwignie, a już się skłania ku upadkowi. Amarylisy na oknie wyciągają rozpaczliwie swoje grube łodygi, żeby nałapać jak najwięcej anemicznego światła — idzie im nieźle, może zakwitną na samą Wigilię, jak obiecywały. O zmroku, czyli około trzeciej po południu, moszczę się z lekturą na kanapie, pod lampą z pomarańczowym abażurem — a tu już tak ciemno, że zaraz się zrywam i zapalam nie tylko tę koło kanapy, ale i wszystkie inne lampy, w całym domu. Robi się jasno i wesoło, więc czytam dalej, ale — hu, ha! — teraz w książce jest mroczno, zimno i surowo, bo to opowiadania Finki, piszącej po szwedzku, czyli „**Córka rzeźbiarza**”, autobiografia **Tove Jansson** (w przekładzie pani Teresy Chłapowskiej, która tłumaczyła też prawie wszystkie tomy „Muminków”). Piękna książka! — bardzo piękna. Po pierwsze dlatego, że tak starannie i ze smakiem wydana (przez słowo/obraz terytoria), złożona wyszukaną czcionką na papierze miękkim, żółtawym, zaopatrzona w nieliczne, ale pełne znaczenia, nieomal magiczne fotografie, z których każda jest osobnym okienkiem do surowego świata, pełnego dziwności. Po drugie — dlatego, że napisana jest czystym, prostym i klarownym językiem o niespotykanej sile wizji. I jeszcze dlatego, że pełno tu niezwykłości, strachów i lęków dzieciństwa, lecz zarazem i ciszy domowego bezpieczeństwa. Surowa prostota podszyta jest tu delikatną, czułą wyrozumiałością, każda rzecz i każde zdarzenie ma wiele różnych stron i znaczeń. Zastanawiałam się, czy dziwna, nieco chorobliwa aura tej książki nie bierze się stąd, że pisała ją kobieta już stara, bardzo mądra, usiłująca na powrót wcielić się w owo niegdysiejsze dziecko (a to przecież nie może się udać, kiedy ma się na plecach bagaż smutku i doświadczeń życia, i kiedy się już zagląda śmierci w oczy). Ale nie, nie — po lekturze całości już wiem, że ta dziwność była w małej Tove od początku. Na otwierającej książkę fotografii paromiesięczne niemowlę w ramionach ojca: jasne, zamglone oczy o magnetycznej sile spojrzenia, wyraz twarzy (nie: buzi) — taki, jakby dziecko rozumiało i widziało już wszystko; mały troll, który słyszy skądś, z daleka, zastanawiające, nagłące głosy. Strona dwudziesta: trzyletnia Tove, wyprostowana i surowa, przyciska policzek do twarzy swej pięknej, łagodnej i ciemnowłosej matki. Jakie niepodobne! Tove wydaje się doroślejsza z nich dwóch — posepna, niezależna i stanowcza, oderwana od rzeczywistości. Strona dwudziesta szósta, w ostatnim akapicie: mała Tove znalazła wielki srebrny kamień i toczy go przed sobą do domu, przez ruchliwą ulicę. *Miałam już za sobą wiele godzin toczenia, ani razu przez ten czas nie podniosłam wzroku, nie słyszałam, co do mnie mówiono. Patrzyłam wciąż na srebro pod pyłem węglowym i innym brudem i robiłam sobie bardzo małe miejsce, gdzie nie istniało nic prócz kamienia i mnie. Teraz jednak musieliśmy się znaleźć po drugiej stronie ulicy. (...) Zepchnęłam go do rynsztoka i dalej toczyłam, bardzo szybko, nie podnosząc wzroku i trzymając nos tuż nad nim, żeby miejsce, w którym nas schowałam, zrobić możliwie najmniejsze. Było bardzo dobrze słycać, jak samochody zatrzymywały się i złościły, ale narysowałam kreskę między nimi a sobą i nic, tylko pchałam i turlałam. Można wyłączyć pewne sprawy, jeżeli są naprawdę ważne. To się bardzo dobrze udaje. Trzeba się skulić, zamknąć oczy i przez cały czas powtarzać jakieś wielkie słowo, aż się poczuje, że jest bezpiecznie.* Bezpieczeństwo — kluczowe słowo w tej książce. Najważniejsza ze spraw. Rodzice Tove — para pięknych, uduchowionych i pełnych uroku artystów (ona — ilustratorka, malarka, on — rzeźbiarz, oboje wybitni) robili, jak wynika z książki, wszystko, by zapewnić córeczce barwne, szczęśliwe dzieciństwo w spokojnym, ciepłym domu. Może był aż tak ciepły i bezpieczny, że groza świata,

surowość przyrody, szokowały to wrażliwe dziecko, nawykłe tylko do piękna? — też nie. To dziecko znajdowało upodobanie w grozie. Z morza wylaniały się *straszne obrazy*, nadciągały tysiące szarych, łopoczących ptaków, *i w tym właśnie momencie zaczęło się mruczenie za horyzontem* (co za przerażające zdanie!). Huczące fale, białe szkielety ptaków, padlina, wyrzucana przez sztorm na skaliste brzegi. *Niebezpieczeństwo jest wszędzie*. Nawet do pracowni ojca wpełzały po ciemku czarne, groźne zwierzęta bez kształtu, szurając i hałasując po kątach, póki dzielna mała dziewczynka nie zapaliła światła i nie przegnała ich ostatecznie, otwierając na przestrzał wszystkie drzwi, okna i szyby w piecach kaflowych. *Śnieg szeptał, wpadając przez okno. Wszystkie zwierzęta na Hog–holmen uspokoiły się i przestały wyć, miały teraz towarzystwo. Zastony trzepotały i niektóre rysunki na ścianie trochę się ruszały. Pokój był wyziębiony i wyglądał inaczej niż przedtem, a mnie ogarnął spokój i uznałam, że z mojej strony wszystko zostało całkiem dobrze załatwione. (...) Chodzi mi o to, że przegnać niebezpieczeństwo potrafi byle kto, ale sztuką jest gdzieś je potem ulokować.*

Zdjęcie na stronie siedemdziesiątej trzeciej: to już nie złudzenie i nie przypadek. Dziesięcioletni troll znów ma oczy zamglone, zapatrzone w dal, znów wygląda, jakby słyszał jakieś ciche, groźne głosy. Bardzo inteligentne, stanowcze dziecko o wielkiej wrażliwości i zarazem o niezwykłej sile wewnętrznej. Ta dziesięcioletnia osoba wie już wszystko o swoich Muminkach, wie też aż nadto dobrze, gdzie jest Buka, to wcielenie lęku. Dobrze, że po zejściu z tej puste, kamienistej plaży dziwne dziecko ma gdzie się schronić: czarodziejski dom rodziców wiernie na nią czeka. W tym domu był tylko jeden pokój, sypialnia na antresoli. Poza nim wszędzie była pracownia. *W Szwecji robi się domowe kielbasy, leje się w domu świece i przez kilka miesięcy znosi się biednym koszyczki z darami. Wszystkie mamy szyją nocami prezenty, a w wigilijny wieczór stają się Łucjami, z dużym wieńcem i mnóstwem świec na głowie. (...) Na balustradzie dookoła naszej antresoli stały setki świec, czekających na zapalenie tuż przed ewangelią o Bożym Narodzeniu. Wówczas po pracowni zaczynają wędrować wszcz i wzdłuż jakby migoczące sznury pereł. I jest ich może nawet z tysiąc.* — A pamiętacie film Bergmana „Fanny i Aleksander”? Pamiętacie ten radosny, bogaty, szalony dom z czerwonej cegły, cały opleciony wieńcami z jedliny? Świece stały tam setkami na parapetach białych okien i na balustradach schodów. Szwedzi wiedzą, co robią, zapalając tyle świateł — teraz to rozumiem, kiedy nagle zaczęłam nie lubić zimowych ciemności.

Chyba kupię mnóstwo świec i ustawię je długimi rzędami na regałach, meblach, parapetach okien i ościeżnicach drzwi. Będą jeszcze, oczywiście, liczne świeczki na choince i świece w szklanych lichtarzach na stole. A w oknie — wielka złota gwiazda ze Szwecji, z małymi otworkami, ułożonymi we wzorek, z lampą w środku.

Świat na zewnątrz nas bywa bardzo mroczny, ale wciąż jeszcze możemy zapalić jasne światełka i światła, ognie i płomyczki — wszędzie, gdzie się da. Także w sercach. Tam — przede wszystkim.

\* \* \*

Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy, jeszcze dyndają pod naszym sufitem białe i złote baloniki, jeszcze na parapetach widnieją dziesiątki ogarków świec i kałuże zastygłej stearyny, a ja już mknę do Was z noworocznym felietonem. No? No, jak tam? — czy i wy wpadliście po Sylwestrze 2000 w doskonały nastrój? Ja — wpadłam. Wbrew wszelkim krakanom i proctwom, a także wbrew utyskiwaniom faceta w kapeluszu, który w ostatnich godzinach Starego Roku bawił smętne tłumy na warszawskim placu Zamkowym (widziałam w TV) kiepsko rymowanymi utworami wokalnymi o „polskiej rzeczywistości” — mnie ta rzeczywistość objawiła się na przełomie sylwestrowym jako doskonale zorganizowana, bezpieczna, działająca bez awarii i zasługująca na zaufanie. (Może to dlatego, że mieszkam w Poznaniu). Swoją drogą, co to za fatygujący sposób spędzania Sylwestra — na zimnie i w ścisku, w ogłuszającym łoscocie i oślepiającym blasku reflektorów. W naszym mieście wielbiciele takiej rozrywki też się udali na Starówkę. My, muzyczni konserwatyści, wyprawiliśmy sobie jednak bal domowy, w gronie rodziny i przyjaciół. Koszt całej imprezy — przemycam tę sensacyjną informację dla pouczającego jej zestawienia z prestiżowymi cenami balowymi, podawanymi w prasie — wyniósł około trzystu złotych na wszystko, z szampanem i fajerwerkami. A bawiliśmy się fantastycznie! (Sztuczne ognie odpalaliśmy z balkonu).

Tym razem urządziliśmy sobie Białą Noc. W związku z powziętymi na rok milenijny Dobrymi Postanowieniami, uznaliśmy, że już możemy wszyscy — gospodarze i goście — przebrać się wstępnie za anioły. Kolację mieliśmy odpowiednio monochromatyczną: biały ser i białe pieczywo, biała kiełbasa i białe mięso, białe wino i ryby w białych sosach, białe sałatki i surówki, kalafior w sosie czosnkowo-śmietanowym, sernik i bułeczki rodzynekowe, oblane białym lukrem i biała kawa, a wszystko na białym, rzecz jasna, obrusie, w blasku białych świec i w miłym towarzystwie ogromnego amarylisa, który w sam wieczór sylwestrowy rozwinął życzliwie pięć śnieżnobiałych, cyzelowanych kielichów. Do wysokich oparcz krzeseł przykleiliśmy wycięte z brystolu skrzydełka, tak że nawet ci z gości, którzy nie zdążyli przygotować kostiumów, i tak byli bardzo anielscy (obowiązywał strój biały), zwłaszcza że każdemu przylepiło się na czoło złotą gwiazdkę. Kolację jedliśmy przy muzyce z Radia Klasyka (transmitowało z Opery Poznańskiej galowy koncert Franka Bonisollego). Potem grano walce Straussa i byłoby to naprawdę zachwycające, gdyby nie odzywał się co pewien czas prowadzący audycję jowialny i wielce zadufany pan, z typową dla dzisiejszego radia zadyszka i nonszalancką wymową, z „1” tylnopodniebieniowym. Na szczęście odzywał się rzadko, więc po kolacji puściliśmy się w tany, starając się mknąć ponad parkietem, żeby nie zawalił się pod nami sufit sąsiadów (mieszkamy w kamienicy z roku 1911). Bardzo dobrze wyglądał ten tłum aniołów, poruszający się zwiewnie w walcu „Nad pięknym modrym Dunajem”.

Nasza promienna córka w powiewnej białej szacie (trzy metry podszewki po 4,60 zł), z prerafaelickimi złotymi skrzydłami wyciętymi osobiście z papieru (60 gr) płynęła w ramionach pięknego archanioła, obleczonego w zgrzebne płótna (prześcieradło) i szeleszczącego skrzydłami z karbowanego brystolu (90 gr). Jej młodszy brat, któremu zostawiła zaledwie półtora metra podszewki, przepasał te resztki rzemieniem i doczepił sobie tekturowe skrzydełka za pomocą zszywek biurowych. Spod kusej szaty anielskiej wystawały mu grube portki z kieszeniami na kolanach, ale i tak był śliczny. Nie chciał tańczyć, tylko zasiadł przed telewizorem, naprawionym po półrocznej bezczynności na tę milenijną okazję. Dzięki temu mógł nas wołać na ciekawsze transmisje ze świata. Były piękne! Ze wszystkich milenijnych uroczystości najbardziej podobała mi się ta pierwsza, z archipelagu Tonga. Król tego kraju zwrócił się z mową do Pana Boga, a dziesięć tysięcy poddanych odśpiewało bezbłędnie, ze wzruszeniem i zapałem, „Alleluja” z

„Mesjasza” Haendla. My, Polacy, jako Naród–Który–Wydał–Papieża, pokazaliśmy go sobie na telebimie, ustawionym obok Grobu Nieznanego Żołnierza, zaraz po występie rzeźkiej Karin Stanek („Malowana lala, la–la–la” i „Jedziemy autostopem”). Francuzi przepięknie, z fantazją, finezją i dowcipem, iluminowali wieżę Eiffla. Nasz natomiast Tort Narodowy zamienił się w nowobogacką kupę huku i dymu. Nie chciałabym wysnuwać wniosków zbyt daleko idących, ale jakieś symboliczne znacznie to wszystko jednak miało. Bezsprzecznie. Podzielona Irlandia, właśnie u progu historycznego pojednania, transmitowała z dwóch zwaśnionych dotąd miast wspólne, równoczesne wykonanie prześlicznej pieśni narodowej „Danny Boy”. Na Akropolu, gdzie Partenon, oświetlony intensywnym błękitem, lśnił jak diament ponad ciemnym miastem, wspaniałe chóry witały nadejście trzeciego tysiąclecia chrześcijaństwa. Niemcy uczcili je odśpiewaniem „Ody do Radości” z IX Symfonii Beethovena. My mieliśmy bardzo dużo Karin Stanek i na pociechę Janusza Olejniczaka, który dumnie zagrał Chopina na charakterystycznym czarnym fortepianie w białe kwiatki. Fikające rock and rolla pary taneczne na ten czas uprzejmie opuściły estradę, za to wcisnęli się na nią absolutnie wszyscy notable i sponsorzy. Na zakończenie, wśród huku, bałaganu, gwizdów i dymów, ryknął mazur ze „Straszego Dworu”. Oj, straszny ten dwór, straszny. Trudno się z nim identyfikować.

Nazajutrz ujrzałam jednak w dzienniku coś, co poprawiło mi nastrój: o piątej rano na usłany tysiącami potłuczonych butelek plac Piłsudskiego przybyło osiemdziesięciu pracowników MPK wraz z ciężkim sprzętem i sprawnie, czyściutko wszystko wysprzątało. To krzepiące. I także jakoś symboliczne. Prosimy o więcej takich działań.

Po południu w Nowy Rok ożywił się nasz faks i wypłuł odpowiedź mego brata Stanisława na przesłane mu w Sylwestra życzenia:

*1 I 2000 (rzeczywiście dziwna data — nienaturalna jakaś). Podziękuj Mamie za list z opisem białej kolacji. Piękny pomysł, tylko dlaczego zabrakło beżów, combra z zającą–bielaka, białej czekolady, białej fasoli, rosółu z białego kruka i peklowanych łap niedźwiedzia polarnego? Dlaczego nie zaproszono ani jednego białogwardzisty? Czy z obawy, że mu oko zbieleje albo że dostanie białej gorączki i sięgnie po białą broń? A co z białym tangiem i białym mazurem? Czy ktoś pamiętał o tym, żeby zaśpiewać „Spostrzegłam dzisiaj pierwszy siwy włos na twojej skroni”? I w ogóle dlaczego wszystko odbyło się w nocy, a nie w biały dzień? Z powyższymi pytaniami na posiwiiałych przez tę jedną noc wargach pozostaje, etc.*

A my tymczasem bawiliśmy się do białego rana!

Pierwszy dzień nowego roku spędziliśmy rozkosznie — porozkładani w fotelach i na kanapach, każde ze swoją książką, a ja nawet z wieloma książkami. Dostałam ich mnóstwo na Gwiazdkę, także od Autorów. Pan **Tadeusz Kukiz**, na przykład, przysłał mi „**Madonny kresowe — i inne obrazy sakralne z Kresów w archidiecezji wrocławskiej i w diecezji legnickiej**”. Książka ta, interesująca i bogato ilustrowana, jest już trzecią z serii poświęconej Madonnom Kresowym — poprzednie dwie dotyczyły obrazów znajdujących się obecnie w diecezji gliwickiej oraz w opolskiej. Autor urodził się w roku 1932 w Tarnopolu. W roku 1940 został z matką i siostrą zesłany do Kazachstanu, skąd powrócił w roku 1946 i zamieszkał na Śląsku Opolskim. Lekarz, specjalista chorób wewnętrznych, Tadeusz Kukiz należy do organizatorów Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo–Wschodnich. Od wielu lat zajmuje się losami obrazów Maryjnych, przywiezionych po II wojnie z archidiecezji lwowskiej oraz diecezji przemyskiej i łuckiej. Nadzwyczajna i wzruszająca jest jego pasja pisarska i pozwalałam sobie przesłać panu Tadeuszowi wyrazy podziwu i szacunku oraz najserdeczniejsze życzenia noworoczne.

Wam także, Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy, składam życzenia udanego roku 2000. Niech będzie d o b r y — to znaczy: pełen dobrej roboty!

\* \* \*

Właśnie się napawałam podarowaną mi przez Stefana Bratkowskiego jego „**Najkrótszą historią Wielkopolski**” (W drodze, 1999), co jakiś czas powracając, nie ukrywam, do strony przedtytułowej, gdzie lśni jak gwiazda najpiękniejsza dedykacja, jaką otrzymałam w życiu — gdy poczta przyniosła niespodziewany suplement: książkę wydaną przez Stowarzyszenie Pisarzy Polskich w Poznaniu — „**Nie tylko Beatrycze — niebieska i ziemsa misja cystersów na Kresach Zachodnich**” (pod redakcją Sergiusza Sterny–Wachowiaka). Tak więc historia Wielkopolski oraz historia wielkopolskich cystersów zajęły mnie na czas dłuższy (bo obie książki grube, szczegółowe, ciekawe i smakowite!) — dlatego dopiero dziś mogę Wam, Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy, zdać sprawę z tej lektury. Będzie to działanie nawet bardzo na czasie, bowiem u schyłku tysiąclecia, gdy Europa ma nadzieję na nową jedność, bardzo wzrosło zainteresowanie cystersami i ich rolą w tworzeniu, u progu nowego wówczas tysiąclecia, wspólnej Europy.

Francuzi, na przykład, wymyślili program turystyczny „*Peuple et Culture*”. Pod patronatem Rady Europy utworzono w ramach tego programu wielkie szlaki turystyczne o ogólnoeuropejskim zasięgu. Pokonywanie przestrzeni ma — jak pisze Kazimierz Rogoziński w kończącym książkę tekście „Cysterskim szlakiem” — w myśl tego założenia stać się zarazem podróżą w czasie, pozwalającą dotrzeć do wspólnych korzeni kultury europejskiej. Turyści wędrują więc Szlakiem Romańskim, Szlakiem Barokowym, Szlakiem Wikingów etc. Szlak Cystersów, prowadzony z Portugalii przez ich kolebkę w Burgundii, wschodnim swym odcinkiem dociera do brzegów Wisły.

*Średniowieczna Europa* — pisze Andrzej M. Wyrwa („Zakon cystersów i jego klasztory na ziemiach polskich”) — *budząc się do życia po „barbarzyńskim” letargu — (...) od ok. XI wieku zaczęła kształtować swoje nowe, własne oblicze. Czynnikiem, który coraz mocniej zaczął łączyć europejskie społeczeństwa, było chrześcijaństwo. Obok monumentalnych katedr i skromnych drewnianych kościołów w coraz większej ilości powstawały klasztory. Powstanie zakonu cystersów, którego początkiem było wyjście benedyktynów z klasztoru w Molesmes i utworzenie przez nich nowej wspólnoty, miało miejsce w roku 1098. Mnisi, którzy opuścili wspólnotę benedyktyńską, utworzyli wówczas klasztor w Citeaux (po łacinie: Cisterium), który stał się pramacierzą zakonu cystersów. Oficjalnie został zatwierdzony przez papieża Paschalis II dnia 19 października 1100 roku.*

„Szarzy” czy też „biali mnisi” — jak nazywano cystersów — cieszyli się wielkim mirem i zaufaniem. Określani byli jako „szczepionki rozkwitające przepięknie we wszystkich krajach chrześcijańskich”, jako „zwierciadło i kwiat wszystkich zakonów”, „kwiaty i towarzysze aniołów”, *pielgrzymi w utrapieniu świata, winni pozostałemu ludowi przykładem świecić i dobrą drogę pokazywać.*

Wszystkie klasztory cysterskie były podporządkowane Kapitułce Generalnej w Citeaux — nie krępowała ona samodzielności opactw, ale łączyła rozproszone po świecie domy zakonne i spowodowała wytworzenie się zwartej formacji religijnej na terenie całej Europy. Do zakonu przyłączały się też inne wspólnoty, które chciały realizować ideały duchowości monastycznej, proponowane przez cystersów, chciały odkrywać korzyści duchowe, płynące z życia w ścisłej wspólnocie (której fundament stanowiły bezwzględnie obowiązujące śluby posłuszeństwa, czystości i ubóstwa), życie z owoców pracy własnej, w symbiozie ze środowiskiem naturalnym. Patron zakonu, św. Bernard z Clairvaux, uczył: *Więcej znajdziesz w lesie aniżeli w księgach; drzewa i skały nauczą cię rzeczy, o których żaden nauczyciel ci nie powie.* Nazywany Białym Opatem, Patriarchą Pustelników, ostatnim z Ojców Kościoła, całe swe życie i dzieło związał ściśle z cystersami. *Najwybitniejsza osobowość XII wieku* — jak pisze o nim Kazimierz Rogoziński —

*był mistykiem i ascetą. Jego fenomen polega na tym, że będąc osobistością publiczną, powszechnie znaną i niesłuchanie popularną, nigdy nie zaniedbywał realizacji zasadniczego celu swego życia. Było nim dążenie do odnowienia i rozkrzewienia na ziemi prawdziwej, po chrześcijańsku pojętej miłości. (...) Ascetyczna abnegacja dóbr doczesnych była dla niego sposobem na uwolnienie się od tego, co człowieka zniewala, co utrudnia osiągnięcie „wolności z miłości”.* Był najwyższym autorytetem moralnym swoich czasów, doradcą papieża, powiernikiem królów, nauczycielem biskupów. Dawał niezliczone przykłady heroizmu życiowego. Doskonale też znał się na psychologii tłumu i zarazem na psychologii indywidualnej. Tłumy, całe miasta, szły za nim; gdy werbował uczestników drugiej wyprawy krzyżowej, mobilizował i porywał całe prowincje. Był św. Bernard reformatorem i filarem Kościoła — niemal połowę życia spędził w podróżach!

Zakon cystersów, niosąc z Burgundii swoje przesłanie, szybko rozprzestrzenił się na tereny całej Europy. (Do końca wieku XV było już siedemset czterdzieści klasztorów cysterskich). Był, przede wszystkim w średniowieczu, jedną z pierwszych instytucji jednoczących Europę. Wszystkie klasztory połączone były siecią wzajemnych zależności i doskonale skomunikowane, władza zaś w zakonie była scentralizowana. Co roku wszyscy opaci spotykali się na Kapitułe Generalnej w Citeaux, gdzie wymieniali doświadczenia i nowiny z całej Europy — stawali się dzięki temu ambasadorami Kościoła i — zarazem — społeczeństw europejskich.

Na początku lat czterdziestych XII wieku dotarli cystersi do naszej części Europy. Na ziemi polskie przybyli w okresie największego rozwoju swego zakonu, czyli w latach 1140–1153. Na te czasy przypadły rządy papieża–cystersa, Eugeniusza III, którego duchowym mistrzem był św. Bernard z Clairvaux. Uważano wtedy w Polsce cystersów za mistyczną elitę społeczeństwa chrześcijańskiego. Do końca XIII wieku było już na ziemiach polskich dwadzieścia sześć klasztorów cysterskich linii męskiej, rozlokowanych we wszystkich historycznych dzielnicach, tj. w Wielkopolsce, Małopolsce, na Śląsku i na Pomorzu. Zakony cysterskie w Małopolsce były filiami zakonów francuskich, stąd w architekturze ich klasztorów, niemal identycznych, zachowano wzorce gotyckiej architektury burgundzkiej. Zakony natomiast śląskie i wielkopolskie były filiami konwentów niemieckich — w ich architekturze obowiązywały jeszcze elementy sztuki romańskiej. *Opactwa i zakładane klasztory były to dla św. Bernarda czasowe przyczółki lepszego świata w tym gorszym, doczesnym bycie, w którym ojcowie cystersi wznosili swe klasztory, porównywane przez nich samych do namiotów — pisze Agata Ławniczak w uroczym eseju „Cysterskie namioty”. — Zakładane na planie kwadratu, mocno trzymające się ziemi, pozbawione strzelistych wież, proste i regularne jak muzyka, którą ze wszystkich sztuk cenili najwyżej. A w konstrukcji architektonicznej sama solidność i chłodna surowość. (...) Architektura cysterskich kościołów zdawała się łączyć z architekturą przyrody, której wolno było pod cysterską ręką jaśnieć wszelkim blaskiem, bogactwem i urodą.*

A Dorota Matyaszczyk („Znaczenie klasztorów cysterskich dla kultury Wielkopolski”) dodaje: *Program funkcjonalny szedł w parze z określonym programem artystycznym. Architekturę cysterską cechowała prostota wynikająca z ustawowego nakazu ograniczenia dekoracji rzeźbiarskiej, szczególnie zaś motywów figuralnych, nie wolno było stosować witraży i ozdobnych płytek posadzkowych. Jasność i hierarchia podziałów architektonicznych cechuje wszystkie budowle cysterskie, unikające zbędnych komplikacji formy i bogactwa wystroju. Wznoszono budowle, wynikające z rzeczywistych potrzeb, bez niepotrzebnego przepychu. Te surowe reguły obowiązywały przede wszystkim w XII wieku, w późniejszym okresie uległy znacznemu osłabieniu.* — No, jasne. Oczywiście. Zawsze jest tak samo.

Jak łatwo można zauważyć, wpatrując się w mapę, XII- i XIII-wieczne fundacje dla cystersów zostały rozlokowane wzdłuż historycznych granic Wielkopolski. („Wielkopolska Pętla szlaku cysterskiego” — jak ją nazywa p. Rogoziński — idzie przez Świebodzin — Paradyż — Babimost

— Wolsztyn — Obrę — Wieleń — Przemęt — Lubią — Pызdry — Łą — Gniezno — Wągrowiec — Łekno — Międzyrzecz — Rokitno — Paradyż). Wokół każdego z opactw grupowały się ich posiadłości, swoiste enklawy dóbr cysterskich. Lokalizacja wszystkich klasztorów — męskich i żeńskich — była bardzo ściśle związana z obecnością wód: jezior i rzek. Właśnie dochody z użytkowania wód były głównymi źródłami utrzymania dla zakonników. Klasztory zakładali w dolinach rzek, by móc korzystać z młynów wodnych, przeobrażali krajobraz, zakładając stawy rybne na dużym obszarze, lub wykorzystywali istniejące jeziora. Reguła narzucała im osadzanie się z dala od miasta, zajmowanie się jedynie rolnictwem, a nie nauką i sztuką.

Zajrzyjmy do książki Stefana Bratkowskiego, gdzie w rozdziale „Wolni goście mądrzy mnisi” czytamy: *Żyli cystersi na co dzień skromnie. (...) Ich klasztory gromadziły ogromne zasoby (...) i musiały coś zrobić ze swym bogactwem. Niemieccy cystersi wymyślili więc rentę wykupną, zwaną z niemiecka „wyderką”, od „wiederkaufen”. W ślad za tym narodziła się właśnie w Polsce, najwcześniej w Europie — hipoteka. Ale też tam, gdzie bogactwo rodziła ziemia, obrót pieniężny musiał na niej oprzeć swój rozwój. (...) A że panował tu względny, jak na Europę, spokój, Wielkopolska XII wieku mogła się rozwijać wręcz bujnie.*

Profesor Jacek Wiesiołowski, uzupełnia ten obraz (w książce „Nie tylko Beatrycze”) swoim krótkim tekstem „Mitografia misji cysterskiej”. Wynika z niego, że późniejsi cystersi podkoloryzowali nieco swą historyczną misję na ziemiach polskich, prezentując siebie jako liderów we wprowadzaniu nowoczesnych form gospodarowania, zaś ludność polską — jako masy zacofanych ciemniaków. Udowodniono liczne fałszerstwa dokumentów i pieczęci, fałszowanie przywilejów. Istnieją też świadectwa o procesach prowadzonych w Wielkopolsce przez klasztory cysterskie od końca XIV wieku. Większość z zatargów dotyczyła podtapiania łąk, dopływu wody do młynów czy pustoszenia jezior i stawów. *Nic tak nie niszczy mitu gospodarki cysterskiej, jak zebrane pracowicie przed laty przez Józefa Krasonia wiadomości o procesach cysterskich w sądach ziemskich — kończy trzeźwo profesor Wiesiołowski.*

My jednak, dla wdzięcznego zakończenia felietonu, posłużmy się raczej cytatem z tekstu Sergiusza Sterny–Wachowiaka („Ziemskie niebo Bartka z Piekła”): *Średniowieczne wyobrażenie błyszczących na nocnym niebie gwiazd jako główek złotych ćwieków, którymi Bóg przybił do nieboskłonu i mądrze udrapował draperię nieba, może służyć do wytłumaczenia mistycznej misji średniowiecznych rycerzy, przyjmujących regułę życia zakonnego cystersów, mieszkańców leśnych opactw. (...) Pokrywająca Europę od Irlandii do Italii i od Portugalii do Polski sieć cysterskich opactw, błyszczących wśród leśnych ostępów i bagien, przypomina złote ćwieki, którymi „biali” lub „szarzy” mnisi zapragnęli przybić, przycumować ponownie do ziemi materię dryfującego nieba, oderwanego od ówczesnego świata.*

A w czasie letnich wakacji wyruszmy w Polskę, rowerem, samochodem lub pieszo, szlakiem cysterskich „złotych ćwieków”. To może być bardzo ciekawa i bardzo piękna wędrówka.

\* \* \*

Stare przedmioty, stare meble i zegary promieniują, jak wiemy, zagadkowym urokiem. D a w n i e j umiano tworzyć rzeczy piękne! Elegancja formy, harmonijna konstrukcja, wykwintne proporcje, wytworność i precyzja wykonania, które mogą przecież cechować nawet zydeł z chłopskiej chaty, wywołują w człowieku radość spowodowaną obcowaniem z pięknem: dziełem rąk ludzkich, efektem biegłości, miłości i zachwytu. A kiedy przedmiotami dawnego kunsztu są instrumenty muzyczne, trudno się nie zdumiewać różnorodnością i pomysłowością tych dzieł, wytwarzanych z takim pietyzmem dla tak niepoważnego użytku: dla uzyskania brzmienia. Dęcie. Dmucanie. Uderzanie. Potrząsanie. Przesuwanie. Przyciskanie. Te wszystkie fizyczne działania wobec specjalnie przystosowanych przedmiotów wytwarzają — dźwięk. Ludzki duch chce wyrzeźbić strukturę w czasie — za pomocą brzmienia instrumentu muzycznego. Ta abstrakcyjna struktura, ta niewidzialna siatka napięć i energii, ma sprowadzić pomiędzy ludzi, w realny ich świat, to, co jest Tajemnicą. Ma więc łączyć skończoność ludzką z nieskończonością tego, co Niepojęte. Właściwie każdy instrument muzyczny powinien nas wtrącać w głęboką zadumę, Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy — w zadumę nad tą zagadkową potrzebą człowieka, która go zmusza do wiercenia otworków w wydrążonym patyku, do lepienia glinianych okaryn, do klejenia pudeł rezonansowych z preparowanego starannie drewna, do naciągania na kołeczkach strun i do odlewania dzwonek oraz dzwonów.

A teraz wyobraźcie sobie dwa tysiące najróżnorodniejszych instrumentów muzycznych, zgromadzonych w jednym miejscu — w starej kamieniczce poznańskiej!

Odwiedzam Muzeum Instrumentów Muzycznych, odkąd umiem chodzić. Prowadzam tam własne dzieci, prowadzam gości zza granicy, przyjaciół z innych miast. W pokojach, położonych na trzech kondygnacjach, pachnie woskowanym starym drewnem. Lśni mosiądz i miedź, srebro i nikiel, połyskują pudła starych skrzypiec i mandolin, gitar i wiolonczeli, po kątach stoją afrykańskie bębny i góralskie trombity, pośrodku sal pyszną się inkrustowane fortepiany i klawesyny. Dwa tysiące eksponatów z całego świata. Powietrze aż wibruje od ciszy, nasyconej potencjalnymi dźwiękami. Tyle muzyki utajonej w tych przedmiotach!

Dopiero niedawno Poznań sobie przypomniał, kto mu podarował ten wyjątkowy zbiór: Zdzisław Szulc, kupiec zbożowy.

*Wszystko, co tylko wydawało dźwięk, przykuwało uwagę zbieracza i przeważnie znajdowało w nim nabywcę. Gwizdki, dzwonki pasterskie, huculskie trombity i gitary, zamieniały mieszkanie Szulca w prywatne muzeum — napisał Norbert Karaśkiewicz w „Ruchu Muzycznym” (1959) po śmierci Zdzisława Szulca. A Jerzy Sokolnicki (Kronika Miasta Poznania, nr 3/97) wspomina: Odbił praktykę w zawodzie zbożowca i został kupcem tej branży. Ale nad jego głową pochyliła się chyba Euterpe z fletem, będąca zagrożeniem dla statecznego zawodu kupca zbożowego. Mówiło się w Poznaniu, że już od najmłodszych lat Zdzichu ma niegroźnego „fiolka”, a mianowicie zbiera instrumenty muzyczne. I to wszędzie, i wszystkie, które go zainteresowały. Różnił się jednak od innych kolekcjonerów instrumentów, bowiem prowadził drobiazgowo i długoletnie studia porównawcze. Objechał Balkany, kraje skandynawskie, Niemcy, Holandię, Francję, Hiszpanię, Turcję, a nawet Egipt. (...) Zaczęło się od zwykłego hobby, wędrówek po komisach, jarmarkach i odległych nieraz regionach folklorystycznych. Kolekcjoner był jednocześnie badaczem, urlopy i zaoszczędzone pieniądze przeznaczał na podróże. (...) Przyjaciele (wśród nich Arkady Fiedler) przywozili mu z egzotycznych podróży afrykańskie tam-tamy, hawajskie ukulele, indyjskie ravanastroy — wspomina Katarzyna Męczyńska, konserwator zabytków, stryjeczna wnuczka Zdzisława Szulca, w tekście „Kustosz wraca” („Gazeta Wielkopolska”). We wrześniu 1938 r. przedstawił swoją kolekcję publiczności. (...) Zachował się skromny katalog z kompletem*



fotografii, na których podziwiać można piękną paryską harfę Erarda i XVIII-wieczne flety, ale także „smyczek skrzypcowy, kupiony u Cygana w Tyliczu” oraz „tenor, instrument blaszany z posiadania pruskiego pułku huzarów poznańskich”.

Z kolekcji 147 instrumentów zebranych przez Szulca do 1939 r. II wojnę światową niemal cudem przetrwało 80. Na parterze domu przy pi. Wolności, w którym mieszkał Zdzisław, miał swoje przedsiębiorstwo jubilerskie Stanisław Szulc, jego brat. Tam właśnie, za ogromnymi mahoniowymi szafami, w których lśniły srebra i tykały zegary, nie wysiedleni przez Niemców pracownicy firmy schowali większość instrumentów. Po wojnie opowiadali, jak wielkie emocje przeżyli, gdy raz w charakterystycznej dla sklepu jubilerskiego ciszy rozległ się niemal artyleryjski wystrzał. Pękła struna harfy. Treuhander oniemiał. Nielatwo mu było wytłumaczyć, że takie właśnie dźwięki wydaje od czasu do czasu stara mahoniowa szafa. Nawiasem mówiąc, Stanisław Szulc, świetny znawca sztuki złotniczej, zamyślił stworzenie w rodzinnym mieście cechowego muzeum złotnictwa. Zebrał całą kolekcję wspaniałych dzieł sztuki złotniczej i po wojnie, kiedy wiadomo było, że powstanie tu muzeum rzemiosł artystycznych, ofiarował uratowany zbiór na ręce prof. Stanisława Lorentza, z życzeniem, aby dar ten został przekazany Muzeum Narodowemu w Poznaniu.

Najstarszy z braci Szulców, Tadeusz, lekarz i społecznik, wybrany w roku 1924 na radcę miejskiego, naczelnik Wydziału Zdrowia i przez pewien czas wiceprezydent miasta, członek miejskiej Komisji Kultury i Sztuki, prezes Wydziału Lekarskiego Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, stały recenzent muzyczny „Kuriera Poznańskiego”, od 1911 roku prezes towarzystwa muzycznego „Lutnia”, jest autorem pisanego aż do śmierci (1957) 900-stronicowego pamiętnika, wydanego w roku 1995 pod tytułem „W Poznaniu i wkoło niego. Wspomnienia poznańskiego lekarza”.

Bracia Szulcowie i ich siostra Helena wychowani zostali w duchu patriotycznym, w rodzinie o pięknej tradycji. Ich ojciec, Walerian Szulc, syn Jana Nepomucena Szulca, a chrześniak Karola Libelta, przez wiele lat był prezesem Towarzystwa Przemysłowego w Poznaniu. Na uroczystym obchodzie — w roku 1893 — jubileuszu pracy Augusta Cieszkowskiego, wybitnego filozofa i reformatora społecznego, ekonomisty, prezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu i członka Akademii Umiejętności w Krakowie, jubilat zwrócił się do Waleriana Szulca ze słowami: *A teraz, szanowny prezesie, który wstępujesz tak chlubnie w ślad Karola Marcinkowskiego, nie tylko znakomitą uprawą właściwego pola, ale i zapobiegliwością, i inicjatywą we wszystkich pracach narodowych, dziękuję Ci za Twoje trudy i proszę Cię, nie schodź nigdy z tej drogi, prawdziwie organicznej, wytrwałej pracy, bo tylko wytrwałością i poświęceniem dojdziemy do tego, co jest najwyższym naszym serca marzeniem.*

Szkoda, że dziś, kiedyśmy wreszcie doszli, tak mało jest ludzi podobnych Szulcom. W nekrologach, jakie ukazały się po śmierci Waleriana Szulca, czytamy m.in. że należał do każdej dobrej sprawy i chętnie był powoływany do wszelkiej pracy obywatelskiej jako mąż zasad uczciwych, rozumnego sądu i powagi — pisze Jerzy Sokolnicki w tekście „Z dziejów poznańskich mieszczan. Rodzina Szulców” (Kronika Miasta Poznania 3/97). Ciekawe, o ilu działaczach doby obecnej można by powiedzieć to samo.

Co do Zdzisława Szulca, kolekcjonera instrumentów muzycznych, był on i żołnierzem, i powstańcem. Ożenił się z Marią Wysocką, sanitariuszką i towarzyszką broni z Powstania Wielkopolskiego. Okupację hitlerowską przetrwali, ukrywając się w Generalnej Guberni. Po wyzwoleniu Poznania państwo Szulcowie powrócili do swego miasta. Rozpoczęło tu działanie Muzeum Wielkopolskie (które z czasem stało się Muzeum Narodowym) i Zdzisław Szulc na bazie swej kolekcji stworzył w nim Dział Instrumentów Muzycznych, którego sam został kustoszem. W roku 1952 powstało w odbudowanej kamieniczce przy Starym Rynku pierwsze i jedyne w Polsce

Muzeum Instrumentów Muzycznych. Kolekcjoner, który stał się badaczem, kupiec zbożowy, który wyrósł na znawcę, jako kustosz nadal prowadził poszukiwania ciekawych i zabytkowych instrumentów. Był autorem teorii o polskim pochodzeniu skrzypiec! — i nawet udało mu się przeprowadzić dowód w tej sprawie, dzięki badaniom instrumentów ludowych — od grającego łuku, poprzez mazanki i gęśle. W roku 1953 wydał pionierską pracę o dziejach polskiego lutnictwa „Słownik lutników polskich”. Był współzałożycielem i wieloletnim prezesem Stowarzyszenia Lutników Polskich. Zainicjował Międzynarodowy Konkurs Lutniczy im. Wieniawskiego.

Kim on nie był jeszcze! W październiku 1918 — jak podaje p. Męczyńska — kupił od zrewoltowanych żołnierzy niemieckich z Cytadeli 10 karabinów i dwie skrzynki amunicji. Kiedy 27 grudnia wybuchło powstanie, kapral Szulc rozdał broń młodzieży bazarowej i stanął na czele oddziału — pacyfikowali m.in. bunt policji pruskiej w gmachu rejencji. Potem była jeszcze wojna 1920 roku i demobilizacja — wojsko polskie opuścił Zdzisław Szulc w stopniu porucznika.

Był też czynnym zawodnikiem klubów sportowych Warta i AZS, odnosił sukcesy w mistrzostwach Poznania i Wielkopolski. Był współzałożycielem i pierwszym prezesem Polskiego Związku Lawn-Tenisowego, który powstał w roku 1921, właśnie w Poznaniu. I, jakby jeszcze mało było tego wszystkiego — był wydawcą pierwszego polskiego podręcznika do gry w tenisa!

Doprawdy, na widok takiego bogactwa człowiek musi sobie zdać sprawę, że należy dziś do pokolenia mocno skarłałego.

Dobrze się stało, że staraniem rodziny i władz miejskich wmurowano właśnie tablicę pamiątkową (autorstwa Marka Zielonki) na froncie kamieniczki należącej do Muzeum Instrumentów Muzycznych. Może pamięć o tym człowieku — i o jego wspaniałej rodzinie

— pozwoli współczesnym mieszkańcom Poznania odetchnąć — od czasu do czasu — aurą dawnego poczucia obywatelskiego, obowiązku pracy organicznej dla dobra własnego kraju, poczucia odpowiedzialności za jego rozwój, pomyślność i charakter.

Ciekawe, czy to się jeszcze kiedykolwiek da odtworzyć.

\* \* \*

Który z wierszy Joanny pamiętasz najlepiej? — strzelił pytaniem Jan Kulma, kiedy oddzwoniłam w odpowiedzi na jego telegram. Urzędowy ten papierek wzywał do natychmiastowego nawiązania kontaktu i straszliwie mnie przeraził; spodziewałam się czegoś okropnego. Zaskoczona pytaniem, jak zwykle w takich przypadkach zająknęłam się, zacukałam i nie powiedziałam mc.

Jankowi chyba zrobiło się przykro.

A przecież pamiętam tyle jej wierszy! — tylko że kiedy myślę o Joannie Kulmowej, przede wszystkim pamiętam ją samą — jaki to piękny człowiek o szlachetnej głowie i jaki ma na tej głowie aksamitny beret. I — jak niezrównanie czyta swoje wiersze, ta radosna Joanna, i jak w rozmowie, śmiejąc się beztrudno, sypie rymami, metaforami i kalamburami. I jak je! — zupełnie nie zwracając uwagi na rodzaj, smak i wygląd potraw; tak jakby odżywiała się tylko z grzeczności, z poczucia tradycji; i jeszcze dlatego, żeby swoją eterycznością nie urazić innych, którzy jedzą także, ale z innych pobudek. I jaka jest roztargniona, życzliwa i serdeczna. Bliska i daleka. Wyniosła i pełna pokory.

*Być prostym  
a nie chępić się swojo, prostotą —  
jak trudno.  
I jak trudno nie wyśmiewać pysznych.  
Może łatwiej przewinom o świętość niż cnotom —  
jak łatwiej w zgiełku tęsknić do ciszy.  
Do ciszy.*

Nie, wcale nie ten wiersz zapamiętałam. Ten — to fragment „Psalmu wyciszenia” z tomiku „Suplement mój” (W Drodze, 1990) — czytam go właśnie świeżym okiem i myślę o Joannie: jest dobrym człowiekiem. Potrafi, owszem, wydawać ostre sądy, ale nie umiałaby zastawiać złośliwych pułapek, sprawiać komuś umyślnie przykrości. Nie umiałaby być prymitywna. Nie umiałaby być zła. Ani nawet — niezadowolona.

*Ja tak lubię nic nie mieć zupełnie  
i zdobywać z trudem pożywienie,  
bo czymkolwiek wtedy brzuch napelnę,  
to smakuje mi wszystko szalenie.  
Ja tak lubię, kiedy całkiem źle mi,  
to tak miło, kiedy tak niemiło,  
bo cokolwiek się wówczas odmieni,  
to na lepsze od tego, co było*

— śpiewała szkapka Leokadia, bohaterka jednej z najmądrzejszych i najpiękniejszych książek dla dzieci, jakie w ogóle w Polsce powstały. Nawiasem mówiąc, to też nie jest wiersz, który zapamiętałam najlepiej; prawie wcale go nie zapamiętałam. Utrwaliło mi się natomiast w pamięci (kiedy „Leokadia” ukazała się w roku 1965, miałam lat dwadzieścia), że z książki tej bije czarująca swoboda ducha, kapryśna i pełna wdzięku odwaga. Z pewnością żyłoby się nam wszystkim inaczej w PRL-u, gdyby nie ona — która marzyła o lataniu i pewnego dnia, wbrew wszystkiemu, poczuła, że ze swędzących pleców wyrastają jej skrzydła. Pofrunęła. Była wolna. Nic już nigdy nie

mogło być takie, jak dawniej — nawet gdyby te skrzydła jej z g o l o n o , nie stałyby się zwykłą szkapą. Byłaby już zawsze — szkapą, która miała skrzydła.

O, co za dzień, wspaniały dzień, słoneczny i pachnący! Wolę być NIKIM w taki dzień niż KIMS wśród ciemnej nocy. Dzień dobry, światła! Serwus, cienie!

*Cześć wędrującym smugom!  
Już lepiej żyć przez JEDEN DZIEŃ  
niż nie żyć BARDZO DŁUGO.*

Ale to także nie jest wiersz, który najlepiej pamiętam, Drogi Janie. Szczerze mówiąc, stwierdziwszy, że gdzieś mi przepadła moja „Leokadia”, musiałam dziś jechać przez całe wielkie miasto, do pani Emilii Waśniowskiej, poetki, która pożyczyła mi tę książkę z dedykacją Autorki. Tak więc dopiero przed chwilą przypomniałam sobie, pamiętaną dotąd jak przez sen, piosenkę Leokadii. Ach, i wzruszyłam się bardzo rozdziałkiem o ogrodzie zoologicznym, czyli o miejscu, gdzie — jak mieli nadzieję Leokadia i jej przyjaciel Alojzy — *ludzie szanują zwierzęce dziwactwa.* (Ale okazało się, że nie ma tak dobrze i że *wystarczy kogoś zamknąć w klatce, żeby go wszyscy przestali poznawać.*)

Kiedy Leokadia zasypiała w niewoli w *krótkich drzemkach* przychodziła do niej *koniczyna, kapiąca od miodu (...), przychodziły zboża, mokre od rosy, tak że budziła się nagle z tą rosą na policzkach i długo patrzyła w niebo, wolne od krat.*

*Alojzy też budził się wtedy — nigdy nie mógł spać, kiedy Leokadii było smutno — i ocierał rosę z policzków Leokadii.*

— *Nie martw się — mówił. — Masz takie piękne skrzydła...*

No, proszę. Okazuje się, że miała i policzki! Trzeba znać Ich Niezwykłości, Joannę i Jana, by docenić, jak bardzo osobista jest ta poetycka opowiadka — ten klejnocik wdzięku i mądrości.

— *Chce pan przespacerować się trochę, panie Alojzy? — spytał Dyrektor Ogrodu Zoologicznego. — Brodaty Człowiek jest także człowiekiem i musi mieć swoje święto.*

— *Mam przejść ze swojej klatki do pańskiej klatki? — spytał Alojzy, bo dla niego obie strony kraty były już jednakowe. — A Leokadia?*

— *A Leokadia wyjdzie, jak pan wróci. Żeby zawsze KTOŚ był do oglądania. Ludzie bardzo nie lubią patrzeć na puste klatki.*

O, tak, tak — ten kawałek o obu stronach kraty pamiętam bardzo dobrze. Ale to przecież nie są wiersze, proszę Alojzego. Wiersze łatwiej się zapamiętuje niż prozę — ot, na przykład, ten kawałek ze „śpiewanki o dwóch aniołach”:

*Mój niebyt z lepszego kleju  
tra la la niżli twój byt.*

W roku 1961 Ich Niezwykłości opuściły Warszawę. Zamieszkali w leśniczówce pod Szczecinem. W Strumianach. Halina Pytel-Kapanowska w książce „Zakon we dwoje” pisze: *Swoją samotność we dwoje zamienili na samotność indywidualną. Widywali się tylko podczas posiłków. W ciągu dnia każde pracowało w swoim pokoju. Jeśli drugie chciało wejść, musiało pukać.*

Goście, którzy ich odwiedzali, musieli podporządkować się temu stylowi życia. Ale nikogo to nie odstraszało, podobnie jak nikogo nie zniechęcały skromne posiłki: herbata i chleb z serem.

Joanna pisała i pisała. Jan komponował, reżyserował, filozofował. Kiedy nadszedł grudzień 1981 — zostali nagle bez grosza.

Jan udał się do parafii i zaproponował księdzu swoje usługi w roli organisty. Ale Ich Niezwykłości nie mogły poprzestać na tym tylko. Jan założył chór, który z początkowych dwunastu osób rozrósł się do osiemdziesięciu. Zaczął pracować z wiejskimi dziećmi — reżyserował jasełka i misteria do tekstów Joanny. Życie religijne w parafii ożywiło się wydatnie, ludzie zżyli się ze sobą dzięki chórowi. Kulmowie organizowali odpusty, wyjeżdżali z chórem na pielgrzymki po polskich katedrach. Byli i u Papieża.

Nie mają własnych dzieci. Ale mają pięćdziesięcioro dzieci s w o i c h. Mówią one do Joanny i Jana: „ciociu” i „wujku”. Rozsiało je, dorosłe, po świecie, ale kontaktują się nadal z Kulmami, chociaż ci już nie mieszkają w Strumianach. Musieli stamtąd odejść, nie oglądając się za siebie, zostawiając na podłodze stosy książek, zostawiając fortepian, bo w malutkim warszawskim mieszkaniu nie ma na nic miejsca.

I znów są w mieście.

*Ślepa między ślepymi na taśmach pędzących miast  
nie widzę kiedy idzie  
i jest między nami.  
Tylko fala gorąca gdzie stał pośród nas.  
Nagle światło pękniętej szyby.  
Błysk drzwi w supersamie.  
W oknie tramwaju promień z daleka —  
za daleka.  
Kałuża krwi na jezdni  
skąd wzięto Człowieka.*

(„Psalm ślepy”)

Jedno z tych dzieci — Basia — pisze: Cały ich dom jest wspomnieniem minionej epoki — czasów wielkopańskich. Atmosfera ta unosi się tam w powietrzu i mimo że nazywają siebie wieśniakami, Ich duch jest wielkopański. Bo tu o ducha chodzi, a nie o status, chodzi o szczególny stopień wrażliwości, o możliwość kontaktowania się bez rozmowy, o obecność mimo nieobecności, o godne postępowanie w sytuacjach niegodnych. Z wielką dumą i podziwem na Niech patrzę, widząc, że ciągle się rozwijają, że duch w nich nie gaśnie, ale ciągle wzrasta. Oni się ciągle odmładzają, nie na nowo, ale coraz bardziej. Teraz, gdy jestem samodzielna i daleko, staram się rozmnażać dary, które kiedyś od nich otrzymałam.

I tu byłoby, Janie, miejsce na przytoczenie pewnego wiersza dla dzieci, z tomiku „Garbata modlitwa” (Ottonianum, 1993). Ten wiersz zapamiętałam bardzo dobrze (choć nie — najlepiej).

*„Trawa dziękuje”*

*Jestem zdziebelkiem.  
Drobiną.  
Szybko soki przeze mnie przepłyną.  
Uschnę w stogu  
W samym środku soczystego lata.  
A jednak dziękuję Bogu  
że zostanie po mnie na górskich polanach  
zapach siana —  
najwonnejszy z zapachów świata.*

Joanna lubi pisać dla dzieci. Nie ma dla niej poważniejszej różnicy pomiędzy małym a dorosłym odbiorcą. I tych, i tych traktuje z największym szacunkiem i powagą. Z prawdziwie — dziecięcą powagą.

A ten wiersz, który pamiętam najlepiej i najmocniej, deklamowała Joanna jakieś trzy lata temu, na Czwartku Literackim w poznańskim Pałacu Działyńskich. Nabita po brzegi sala zamarła, ucichła, przestała oddychać, słuchając spokojnego, przejmującego i gorzkiego głosu:

*...Ajaj, mały Mesjaszku, Boże Dziecię,  
a i po co żeś się rodził na tym świecie?  
Już się ludzie rozpytują a gdzie Ty,  
już szykują Tobie palki i kastety.  
Nie uciekniesz, obrzezany, poznają Cię,  
między lotry, nieczystego, powieszą Cię.  
Aj, Gewalt, Syneczku, znikąd nadziei.  
Czemu Ty się narodziłeś w Judei? ...*

No, więc to jest właśnie ten wiersz, Janie.

Nawiasem mówiąc, z tamtej naszej rozmowy telefonicznej zapamiętałam niejasno, że w przygotowaniu jest książka wybranych wierszy Joanny. Czy tak? — czy też jest to tylko moje gorące pragnienie, żeby ujrzeć nareszcie „Dzieła wszystkie” Joanny Kulmowej, porządnie wydane, z pięknymi ilustracjami, obecne w każdej księgarni, a więc i w życiu każdego z nas?

W swojej autobiografii Joanna pisze:

*Dzisiaj, jeśli za siebie spoglądają, to dla świętego obowiązku, dla pozoru przyzwoitości wobec umarłych; patrząc wstecz, zaciskają mocno powieki, żeby NIE dostrzec i NIE skamienieć; dlatego czasy teraz aż tak straszne w swojej lekkości i pustocie, tak nieuchronną grożącą katastrofą — rośnie próżnia, wsysająca w siebie duszę, uduchowanie, duchowość świata; takie to patetyczne, że aż śmiać się chce.*

Mnie tam nie do śmiechu.

Dobrze, że jesteście, Wasze Niezwykłości.